

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Ludwik Stomma

**Żywoty zdań
swawolnych**

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Wstęp

Świat wokół nas jest ciekawy. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że jest to zdanie beznadziejnie banalne. A jednak powtarzam je sobie każdego dnia. I nie bez kozery. Basia przygotowała właśnie sałatkę z pomidorów. Pomidor pochodzi z Meksyku. Przywieźli go do Europy żołnierze Corteza. U Azteków nazywał się *tomatl*, co Hiszpanie przerobili, nie wysilając się specjalnie, na *tomata*. Stąd też prawie w całym cywilizowanym świecie nazywa się to warzywo podobnie (angielskie: *tomato*, francuskie: *tomate*, niemieckie: *Tomate*). Do nas jednak, na dwór Zygmunta Starego, dotarły pomidory za pośrednictwem Włochów, którzy mieli fantazję nazwać je złotymi jabłkami (*pommodoro*). Tak oto sałatka na stole przypomina nam tajemniczych Azteków (*notabene* z ich języka *nahua* pochodzi wiele używanych w Polsce słów, jak choćby hamak czy huragan), a także królową Bonę z dalekiego Bari, gdzie z kolei znajduje się grób świętego Mikołaja, który – jeżeli istniał – nie miał nic wspólnego z sankami ani śniegiem etc.

W ogrodzie zakwitły tulipany. Ojczyzną tulipanów jest Holandia? – Ależ skąd! Docierają one do Europy z Turcji dopiero w 1562 roku dzięki ambasadorowi francuskiemu na dworze Sulejmana Wspaniałego. I najpierw do Anglii. W Polsce pojawiają się w czasach panowania Stefana Batorego. Z tym że rzeczywiście hodowla tulipanów stanie się od XVII wieku specjalnością flamandzką. I nie jest wcale fikcją literacką opowieść o czarnym tulipanie...

Pod czereśnią usiadł kos. Nic dziwnego? – A jednak. Jest już przecież listopad. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu odlatywały kosy na zimę do ciepłych krajów. Dlaczego zmieniły obyczaje?

Już wieczór – Basia się kąpie. Wydaje się to całkiem naturalne? Kolejny błąd. Tak naprawdę zaczęliśmy się kąpać pod koniec XIX wieku.

Mają swoją historię i rzeczy, i przyzwyczajenia, i zwierzęta, i rośliny, i uczucia nawet. W historii zaś pełno jest ciekawostek, pomyłek, ludzkiego geniuszu i zwykłej ludzkiej głupoty. Naprawdę, nie sposób się nudzić!

Benedykt Chmielowski dedykował ongiś swoje „Nowe Ateny”: „Mądrym dla memoriału. Idiotom dla nauki. Politykom dla praktyki, Melancholikom dla rozrywki”.

Doprawdy, lepszej dedykacji nie znalazłem. Może więc tylko dorzuciłbym: i pięknym paniom, żeby gdy się spotkamy, uśmiechnęły się do mnie.

Armagnac

W XV wieku, w ramach tak zwanej wojny stuletniej, toczyła się we Francji krwawa i zaciepła walka między potężnymi stronnictwami armaniaków i burgundczyków. Od około 1420 programy przeciwników były już dość jasno zarysowane. Sprzymierzeni z Anglią burgundczycy proponowali unię personalną między Londynem i Paryżem, a w dalszej konsekwencji coś na kształt naszej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Armaniacy, których wsparła i poprowadziła do zwycięstwa Joanna d'Arc, byli – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – radykalnymi nacjonalistami. Francja dla Francuzów. Nie może być nic bardziej francuskiego niż Armagnac. Armaniak – rycerz, ale również, co dla nas najważniejsze, armaniak–trunek.

Armaniak jest to wódka pędzona z wina, czyli można by powiedzieć – rodzaj koniaku. Niech się jednak koniak schowa. Zupełnie niezłe koniaki pędzi się na Kaukazie, na Bałkanach, nawet w Kalifornii. Armaniak jest unikatowy, ojczysty i jedyny w swoim rodzaju. Koniak jest często produktem ubocznym przy produkcji wina. Winnice Armagnac służą tylko jemu. Wino, acz całkiem niezłe (mogłem go jednak spróbować tylko dzięki znajomościom), jest tu tylko półproduktem, nie jest nigdy komercjalizowane ani butelkowane.

Dekret z 1909 roku wyznacza precyzyjnie region, z którego pochodzić może armaniak. Leży on na północ od Pirenejów, między Adour i Garonną, i dzieli się na trzy części: Haut-Armagnac (Górny Armagnac), Bas-Armagnac (Dolny Armagnac) i Ténarèze. Uwaga! Na butelce prawdziwie wykwiutnego armaniaku musi (!) widnieć adnotacja o jego dokładnym pochodzeniu z jednego z tych trzech podregionów. Jeżeli jej nie ma, a widnieje tylko ogólna nazwa „Armagnac”, wiemy, że mamy do czynienia z popłuczynami niższej kategorii. Mogą być one dobrej jakości, ale to jednak nie to. Armaniaki dolne mają wyjątkowy bukiet zapachów i smaków; za każdym łykiem odnajdujemy w nich nowy ton, są przepojone słońcem i wonią ziół. Armaniaki górne są surowsze, twarde, niosą w sobie echo chłopskich serów z okolic, mają posmak ziemi. *Ténarèzes* są może najprostsze w wyrazie, dodają za to sił, pobudzają aktywność, dodają odwagi i chęci do życia.

Pijemy armaniak w kieliszkach okrągłych i przezroczystych. Podkreślamy to ostatnie, gdyż zawodowi degustatorzy używać muszą szklanic niebieskich, żeby nie wydawali opinii na podstawie samego koloru napoju. My jednak możemy się tym kolorem do woli delektować. Trzymamy kieliszek pełną dłońią, ogrzewając w ten sposób płyn. Nie należy się spieszyć. Kiedy pocujemy, że szkło przestaje być chłodniejsze od naszych palców, wypijamy kieliszek po polsku, jednym haustem. Owszem, jest to kieliszek poniekąd zmarnowany; usuwa on jednak z naszego gardła wszelkie pozostałości smaków, które mogłyby zakłócić lub umniejszyć degustację następnego. Ten drugi pijemy już nie łykami nawet, ale delikatnymi zwilżeniami warg i podniebienia. Przerwijmy na chwilę rozmowy i poświęćmy się całkowicie smakowaniu. Nie potrzeba już pieniędzy na bilet lotniczy. Jesteśmy we Francji. Z dali widać wyniosłe szczyty Pirenejów.

Byłoby śmieszne tłumaczyć Polakom, jak się pędzi wódkę z wina czy czegokolwiek innego. Armaniak ma jednak parę wymagań specyficznych. W trakcie destylacji miejscowego

wina uzyskujemy otóż alkohol mający pomiędzy 52 i 72 procent. Rasowy armaniak ma ich mieć 40 – ani mniej, ani więcej. Nie ma mowy o żadnym rozrzedzaniu wodą. To byłby doprawdy skandal. Wiadomo natomiast, że beczkowany w suchych i wapiennych warunkach traci trunek 1,5 procent rocznie. Trunek 72–procentowy osiągnie więc normę po 21 latach, 52–procentowy już po ośmiu... Nie jest to, wbrew pozorom, takie proste. Bo gdzie substancję przechowywać!? Powiedziało się, że w beczkach. Ale beczka beczce nie równa, a płyn obcujący z drewnem przesiąka jego sokami albo podsmakami.

Beczki do dojrzewania armaniaku zrobione być mogą tylko z dębów z lasu w Monlezun. Ale – stop! Nie każdy dąb z tego lasu na beczki się nadaje. Specjalista wie, że wybrane drzewo ma być płodne w żółędzie, co najmniej pięćdziesięcioletnie i rosnąć musi na terenie suchym, oddalonym od wszelkiej wody, a w szczególności od źródeł mineralnych. Występowanie w pobliżu nazbyt licznej populacji grzybów dyskwalifikuje drzewo, podobnie jak zakwitanie sasanek koło pnia na wiosnę. Sasanki lubią wilgoć, a nasz dąb winien być na pograniczu usychania. Szczapy dębu idealnego składujemy w odpowiednich pomieszczeniach przez cztery do siedmiu lat. Jeżeli ich aromat nic nie stracił na wartości, możemy tworzyć beczkę.

Mijają lata i już armaniak gotowy? – Błąd. Odląć trzeba to, co na wierzchu beczki i to, co na spodzie. Jedno zbyt wyraziste smakowo, drugie zbyt mdłe. Trzeba znaleźć ową prawdziwą równowagę. Nie darmo pisze Jean d’Ourcq, że „wytwarzać armaniak, to jakby wychowywać własne dziecko”.

Ale oto już pijemy nektar. Zapamiętajmy, po pierwsze, co pisze Jean–Pierre Coffe: „Armaniak, jest to trunek dumny. Chować go można tylko na stojąco”. Po drugie – że wchodzimy do Europy.

„Jestem z Europy, to widać; jestem z Europy to widać, słysząc i czuć”. W tym ostatnim bez armaniaku się nie obejdzie. Zdrowie!

Bidet

W domu, który kupiłem w Szampanii, a który służył przedtem co najmniej ośmiu pokoleniom całkiem dobrze sytuowanej rodziny zajmującej się pośrednictwem w handlu szampanem, brakowało łazienki. Na parterze był tylko malutki zlewozmywak i oczywiście... bidet.

Wynika z tego jasno, że przez dwieście lat z okładem żaden z dawnych mieszkańców mojej siedziby nie odczuł nigdy potrzeby położenia się i wyszorowania w ciepłej wodzie. Stop. Nie wyciągajmy z tego faktu przedwczesnych wniosków. Nie chodzi tu bowiem o brak higieny, ale o wierność zasadom elementarnej przyzwoitości. „Kąpiel – stwierdza raport Rady Regionalnej Nantes do spraw czystości publicznej z roku 1852 – jest praktyką niemoralną. Wiadomo to dobrze i z wielu źródeł, jakie niebezpieczeństwo moralne budzić musi przebywanie nago w wannie”. Jeszcze bardziej *explicite* wypowiada się Pavet de Courteille w dyskusji nad wprowadzeniem wanien do internatów („Hygiene des colleges et des maisons d'education”, Paris 1827): „Jeżeli, co wobec ilości uczniów byłoby niezbędne, zainstalowano by większą ilość wanien, wychowawca nie byłby w stanie dopilnować wszystkich kąpiących się jednocześnie. Tymczasem myśli ucznia podnieconego przebywaniem w gorącej wodzie skłaniają się ku złu, co grozi osłabiającym młode organizmy samogwałtnym nierządem”. Kropkę na „i” stawia wreszcie Vincent Trillat, radny miasta Caen (1821): „Dowiedziane jest, że zanurzanie ciała w gorącej wodzie pobudza nieprzyzwoite myśli i niezdrowe tęsknoty. Nie należy więc ustępować przed chwilową i bezcelową modą dyktowaną przez pozbawionych skrupułów fabrykantów wanien. Wiadomo przecież, że całkowite moczenie się nie jest bynajmniej konieczne dla zdrowia ani estetyki. W rzeczywistości drażniący zapach wydzielają niekiedy, i to w przypadku nielicznych tylko osobników, miejsca pod pachami, podeszwy nóg oraz rejony kroczone. Tylko tych ostatnich spośród nich nie da się, ze względu na delikatność tkani, odpowiednio wyperfumować...”

Oto i cała logika bidetu. Stworzyć urządzenie do wymycia tych wyjątkowych zakątków, które trudno zdezodorować. Na mycie reszty szkoda czasu i atlasu. Wierzy się też powszechnie w antykonceptyjną skuteczność splukiwania przez panie bijącym od dołu strumykiem wody intymnych części ciała bezpośrednio po stosunku seksualnym. Dlatego też nawet ostateczny triumf prysznicza i wanny nie będzie oznaczał klęski bidetu. Nie pokonają go również pigułki i wszelkie inne, realnie skuteczne, środki zapobiegania ciąży. Albowiem...

Pojawiające się we Francji począwszy od 1760 roku, a upowszechniające się na przełomie XVIII i XIX wieku bidety budziły od początku – dziwnie o tym zapomnieli przeciwnicy wanien – nader dwuznaczne skojarzenia. Nicolas-Anne-Edme Rétif de la Bretonne pisze o tym z rozbijającą szczerością: „W mieszkaniu Madame N. zobaczyłem porcelanowy bidet. Kazał mi on zwrócić uwagę na kształty właścicielki. Jakże byłem ślepy na wczorajszym obiedzie. O błogosławione naczynie (*sic!* – LS) zachęty. Natychmiast zniżyłem głos, a moje ruchy nabrały tej dziwnej giętkości, której doznałem poprzednio na widok żony Le Pelletiera

de Mofrontaine. I pomyśleć, że głupia Agnès (chodzi o Agnès Lébégue – eks-żonę pisarza. LS) nigdy nie chciała zainstalować bidetu...”

Bidet ma także konotację społeczną. Jeszcze w latach dwudziestych XIX wieku spotyka się go niemal wyłącznie w rezydencjach szlacheckich i domach bogatych mieszczan. Jest więc znakiem luksusu, a także – toż dopiero minął wiek libertynizmu – erotycznego wyrafinowania. Nie darmo „Revue de Comté Archéologique de Senslis” podkreśla ze zjadliwą satysfakcją, że podczas inwentaryzacji dóbr zmarłego w 1786 kanonika C.F. Afforty’ego, dziekana Saint-Rieul, znaleziono w jego łazience bidet. *Sapienti sat*. Nie warto nawet wspominać, że ów „Przegląd Archeologiczny” redagowany był przez wolnomularzy.

Georges Vigarello, autor ciekawej książki „Czystość i brud. Higiena ciała od średniowiecza do XX wieku”, wspomina o bidecie w rozdziale pod jakże eufemistycznym tytułem: „Ablucje częściowe”. Niestety, nie możemy się z nim zgodzić. Bidet od wielu już lat, ponad wieki, przestał być urządzeniem ablucyjnym. Bidet to po prostu propozycja.

Camambert

27 listopada 1790 rewolucyjne Zgromadzenie Narodowe przegłosowało sławetny dekret zobowiązujący księży do przysięgi na wierność państwu. Wszyscy deputowani duchowni (a było ich niemało) odmówili stanowczo podporządkowania się ustawie, za co zresztą nic im nie groziło. „Mieliśmy tę szlachecką fantazję – skomentuje później arcybiskup Narbonne – bo przecież nie o religię nam chodziło”. I rzeczywiście, konstytucję 1791 roku nazwać można antyfeudalną czy może antykrólewską; w żadnym jednak przypadku antyreligijną.

Czasy się jednak zmieniają. Terror jakobiński wykorzystał dekret o przysiędze do gruboskórnego szantażu: przysięgniesz – sprzeniewierzysz się tym, którzy odmówili; nie przysięgniesz – jesteś kontrrewolucjonistą ze wszystkimi konsekwencjami, jakie to ze sobą niesie, czyli od pozbawienia probostwa do gilotyny. Istotna treść ślubowania przestała się liczyć. – Wolisz być szmatą czy potencjalnym trupem? – przyznajmy, że niełatwa to alternatywa.

Nic dziwnego, że wielu księży wybrało w tej sytuacji podziemie. Rzecz uciążliwa. Nie to nawet, żeby gorliwie szukali; ale z czego żyć, gdzie mieszkać, kto opierunek zapłaci?...

Są na szczęście na tym świecie pocziwe dusze. Przygarnęła opornego księdza (bo tak się ich zaczęło nazywać: oporni *réfractaires* i „konstytucyjni”) zażywna Marie-Fontaine, po mężu Harel, z przysiółka koło Vimoutiers w Normandii.

Przysiółek... Nazbyt to pompatyczne słowo dla dwóch chałup i gnojowiska pośrodku. Jedna krzywa studnia, wykorzystywana przez bydło i chłopów, pół krowy w oborze i trzy kury na krzyż, nie licząc zabłąkanej gęsi i wykastrowanego indyka.

Co tam się działo przez trzy lata? Historycy się spierają, a my wolimy nie wiedzieć. Dzieci przybyło dwoje, choć stary Harel skręcił sobie kark już na jesieni 1790. Spadł podobno z jabłoni prosto na widły... Pomińmy te krwawe detale.

Ksiądz umiał być wdzięczny. Na wieść o upadku Robespierre’a ochrzcił oboje dzieci, a co więcej, zostawił Marie-Fontaine pewną na ser recepturę, którą przez ten czas wymyślił.

W 1926 roku znamienity lekarz amerykański Joe Knirim ustawił w przysiółku granitowy pomnik pani Harel, gdyż serem jej przepisu uleczył w Ohio całe rzesze pacjentów cierpiących na raka, zapalenie płuc, reumatyzm, kamicę nerkową, zezą i inne tym podobne choroby...

Bombardowania hitlerowskie zniszczyły posąg. Został on zrekonstruowany (tym razem w marmurze) na koszt mieszkańców stanu Ohio w 1956 roku. W pobliskiej wiosce założono też muzeum imienia Marie-Fontaine.

Zapomniałem powiedzieć, iż zapyziały nasz przysiółek nazywał się Camembert...

Podług francuskiego rocznika statystycznego zysk z eksportu camembertów (konsumpcja rodzima nie jest tu więc wliczona) wyniósł w 1989 roku 790 milionów franków, czyli około 155 milionów dolarów. Głównymi nabywcami były: USA, Japonia, Niemcy, Włochy i... Filipiny.

A morał z tej opowieści? – Prześladowanie kleru zawsze się jakoś opłaci.

Corrida

Zagrzmiały trąby i oto byk pojawił się na arenie. Kim jest byk? – „Byk, dorosły samiec bawoła, jaka, zebra, bizona, łosia, jelenia, renifera, bydła domowego” – podają leksykony. Uściślijmy od razu. Byk z areny to potomek tura *bos taurus*, ściślej jeszcze rasy *bos taurus africanus*, a jeszcze ściślej odmiany andaluzyjskiej lub nawarryjskiej. Jako taki, należy nasz byk do bydła domowego. Jego partnerką jest mlekodajna krowa, zaś wytrzebioną wersją roboczy wół. Nasuwa to od razu elementarną opozycję pomiędzy wynaturzonym i ujarzmionym a integralnym. W przeciwieństwie do zdegenerowanych krowy i wołu jest byk zwierzęciem naturalnym i dzikim (niezdatnym do zaprzęgu ani możliwym do ujeżdżenia). Ten atrybut naturalności byka jest niezwykle mocno podkreślany we wszelkich regulaminach i przepisach hodowlanych.

Byk bojowy hodowany być musi w warunkach maksymalnej wolności. Pastwiska mają po wiele tysięcy hektarów, na których żyją byki życiem dzikich przodków. Zabronione jest zabezpieczanie zwierząt przed dolegliwościami warunków klimatycznych (np. budowa obór), sztuczne ich dożywianie (furaż) etc. „W dzień i w nocy, zimą i latem – zachwyca się Claude Popelin – życie byka toczy się na łonie dziewiczej natury. Zimą byki same muszą się bronić przed schodzącymi z gór zgłodniałymi wilkami”. – W tym ostatnim zdaniu nie ma, wbrew pozorom, dużej przesady. Najśłynniejsze hodowle Hiszpanii usytuowane są często wysoko w górach. I tak przeciętne wyniesienie pastwisk Albarracin wynosi około 1800 metrów, Cesera Chico około 1500 metrów etc. Poznają tam byki i upał, i śnieg, i susze, i powódzie. Powracają do natury. Przypomnieć tu też należy kategoryczny zakaz ingerencji w integralność fizyczną byka, na przykład ostrzenia czy tępienia mu rogów, podawania wszelkiego rodzaju używek stymulujących etc.

Nie darmo użyliśmy terminu „byk bojowy”. Drugim bowiem, obok „naturalności”, atrybutem byka, jedyne zwierzęcia udomowionego atakującego człowieka i inne zwierzęta domowe, jest jego „wojowniczość”. Lecz nie każdy groźny byk jest bykiem bojowym. Prawdziwą „bojowość” uzyskuje byk najczęściej w szóstej–ósmej generacji, gdy wykazali już tę cechę, i to w wysokim stopniu, wszyscy jego przodkowie. Stąd wielka waga, jaką przykłada się do genealogii stad, ich jednorodności i heraldyki. I tak na przykład stado Jandilla, w którym pieczętuje się byki sześcioramienną gwiazdą, wyprowadza swoją wielokrotnie sprawdzaną genealogię, poprzez pięć innych stad, z prastarego stada Salvador Varea.

W odróżnieniu od genealogii psich lub końskich, byk bojowy nie może być fenomenalnym znajdującym udekorowanym medalami na wystawach lub wygrywającym wyścigi, a więc nobilitowanym przez swoją obiektywną rasowość czy sprawność. Odwrotnie – byk może być czasem znacznie nieforemny, byleby pochodził „z rodu”. Ileż sporów toczy się dziś jeszcze wokół rzeczywistego pochodzenia wspaniałych byków Don Eduardo Miury, najpiękniejszych i najodważniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć, z których wywodzą się między innymi:

słynny zabójca Domingo del Campo „Deserter”; „Yoletto”, który 25 lipca 1904 w Santander powalił po kolei dziewięciu pikadorów, czy „Islero”, który w sierpniu 1947 położył kres życiu legendarnego Manolete. Widać z tych dyskusji jasno, że „bojowość” byka to nie tylko jego atrybut fizyczny, ale także historyczny i – nie bójmy się słowa – metafizyczny.

Trzecim wreszcie atrybutem byka, nad którym nie będziemy się długo rozwodzić, gdyż wystarczająco dobitnie dokumentują go magia, legenda czy paremiologia, jest jego seksualna „męskość”. Byk naturalny, byk waleczny, byk męski... Lecz oto zagrzały trąby i byk pojawił się na arenie. Naprzeciw toreador z szeroką szkarłatną płachtą z jedwabiu lub perkalu oczekuje zwierzęcia, by wykonać z nim swoisty taniec: ciąg kilkunastu z około dwudziestu pięciu skodyfikowanych figur, pomiędzy którymi nieunikniona „Weronika”. Za każdym razem złowroga płachta przyciągająca uwagę byka i stanowiąca cel jego szarży przesuwa się w ostatniej chwili po jego rogach i łbie. Płachta ta nazywa się *capa*, czyli po hiszpańsku – spódnica.

Przypomnijmy w tym miejscu, iż wielu spośród najsłynniejszych torreadorów hiszpańskich, jak choćby Gitanillo de Triana, El Gallo, Fernando Gomez czy Jose Gomez Ortega, było Cyganami. To jedno tylko z licznych i dobitnych świadectw pokrewieństwa folkloru cygańskiego i hiszpańskiego, a w szczególności andaluzyjskiego (flamenco!). Istnieje też w folklorze andaluzyjskim obyczaj odpowiadający cygańskiej *te zamegerel les i podžitko mageripen*, a polegający na skalaniu mężczyzny, wykpieniu jego męskości przez zarzucenie mu kobiecej spódnicy na głowę. Zresztą w hiszpańskim czasownik *capar* („spódniczyć”) ma powszechne znaczenie: kastrować, umniejszać. W rytuale *capy* zostaje więc byk symbolicznie wykastrowany, wyśmiany w swojej męskości.

A oto pojawiają się pikadorzy. Niech nie mylą nas ciężkie materace chroniące ich konie. Wprowadzono je stosunkowo niedawno. Jeszcze w 1992 „Colmonero” zabił dwa konie, a w 1932 „Preciosillo” z hodowli Jose Marii Galacha aż trzy. Groteskowość pikadora wyraża się w znakach dużo bardziej subtelnym i wymagającym znajomości kodu. I tak na przykład ubrany jest on w okrągły, niegodny rycerza, chłopski kapelusz. Chłopstwo (chamstwo) przywołują też prymitywne, żelazne strzemiona właściwe mulnikom. Również i broń pikadora jest niestosowna, gdyż pozorna – długa pika z ostrzem ograniczonym poprzeczką, którą można byka rozdrażnić, lecz nie sposób zrobić mu realnej krzywdy. I wreszcie, niczym jawny donos: wolno pikadorowi poruszać się wzdłuż ścian areny tylko w kierunku przeciwnym do ruchu słońca, czyli kierunku karnawałowym, błazeńskim. Jest więc pikador przeciwnikiem pozornym (przypomnijmy przygody Don Kichota), z którym walka nie przynosi chwały, ale przeciwnie – ośmiesza. Byk szarżujący brawurowo na pikadora–chłopa–błazna wyśmiany więc zostaje i poniżony w drugim swym atrybucie: waleczności.

Pojawiają się z kolei bandrijerzy. Będą wbijać w kark byka *bandrije* – siedemdziesięciocentymetrowe patyki z haczykiem na końcu, przystrojone kolorowymi paskami papieru; od dwóch do czterech par (w XVIII wieku wbijano *bandrije* pojedynczo). Byk udekorowany zostaje jak jarmarczny koń lub osioł. Czyż może istnieć dobitniejszy znak

ujarzmienia niż być ubranym, udekorowanym przez przeciwnika – wdziac jego barwy! Tak traci byk swój atrybut ostatni: wolność i naturalność.

Byk ośmieszony i złamany w tym wszystkim, co go wyróżniało i nadawało mu godność. Byk nie-byk.

Lecz oto wychodzi toreador, w tej fazie corridy zwany częściej matadorem, i rozpoczyna się walka.

Z kim walka? – Z bykiem poniżonym i złamanym, z niegodnym bykiem nie-bykiem?

Otóż nie!

By zrozumieć kondycję byka u progu trzeciej tercji corridy, odwołać się trzeba do starych, jakże pielęgnowanych w tradycji hiszpańskiej, rytuałów rycerskich, do kodeksów zakonów rekonkwisty z Calatravy czy Alcantary. Nie będziemy ich omawiać w szczegółach – temat to znany. Przypomnijmy więc tylko, iż rytuał pasowania na rycerza, najzaszczytniejszego obrzędu w życiu wojownika, składa się z trzech aktów: kąpieli inicjacyjnej, ceremonialnego spoliczkowania i przyjęcia składanego na klęczkach hołdu. Znawcy tematu, z Gautierem na czele, piszą tu o symbolice powtórnego narodzenia. Mają oczywiście rację. Gdy jednak rozłożymy obrzęd na części składowe, przekonamy się, iż w części pierwszej (kąpiel) odebrana zostaje pretendentowi jego męskość: myty (rycerz się nie myje) jak niemowlę, nago, przez obce kobiety śpiewające dziecięce pieśni, sprowadzony zostaje do obojnczego stanu dziecięctwa. Potem policzek uwłaczający jego rycerskiej waleczności – wszak rycerz nie ma prawa puścić zniewagi płazem; wreszcie padnięcie na kolana będące zaparciem się natury swego stanu. Ta sama dokładnie triada co w przypadku byka.

Kimże jest więc byk u progu trzeciej tercji corridy?

– Bykiem bojowym, którego szlachectwo się wypełniło. Bykiem pasowanym, bykiem, z którym matador stanąć już może do dumnej walki na śmierć i życie.

Matador dobrze rozumie owo przeobrażenie byka. Jeżeli więc podczas *capy* walczył z zakrytą głową, teraz z szacunkiem zdejmuje monterę i odrzuca ją w tył za siebie. W rękę nie trzyma już szerokiej płachty, ale krótką muletę – znak tarczy raczej. A i orkiestra ożywa nagle i grać zaczyna *pasos dobles* – turniejowe, wojskowe marsze niemieckie, importowane do Hiszpanii w czasach Karola V.

Rozpoczyna się pojedynek.

Istnieją dwa zasadnicze style walki: *tremendese* (szkoła Rondy) i *fascinanse* (szkoła Sewilli). Czyżby Rudolf Otto czerpał swoją terminologię z corridy? Szkoła Rondy to szkoła maksymalnego, przyprawiającego publiczność o dreszcz ryzyka. Reprezentowali ją ongiś Pedres, Chicuela II, do niedawna Paco Ojeda; dzisiaj Miguel Baez Litri i El Spartaco. Szkoła sewillańska eksponuje baletową grację ruchów toreadora. Widzowie oczarowani pięknem tańca darowują toreadorowi minimalizację niebezpieczeństwa. Reprezentowali tę tendencję choćby Juan Belmonte, Paco Camino, El Cordobes; dzisiaj Manzanares. Ogromną większość matadorów wpisać trzeba w przestrzeń między tymi dwoma klasycznymi rozwiązaniami. Gdzieś pośrodku między nimi umieścić by na przykład należało niezapomnianych mistrzów tej miary co Manolete, czy – sądząc z zachowanych opisów – i sam boski Francisco Montes.

Podkreślmy jednak od razu, iż nawet w najskrajniejszym wydaniu szkoły sewillańskiej, budzącym nieraz protesty koneserów (słynny epizod ośmieszenia El Cordobesa przez Miguelina podczas ferii w Madrycie 18 maja 1968), byk nie jest nigdy usunięty w cień. Gracja matadora eksponowana jest nie w opozycji do ewentualnej nieporadności byka, lecz przeciwnie, podkreśla groźną harmonię jego szarż. Jest to pojedynek równych. Matador, który ośmieszyć chciałby byka, traci respekt widowni, ośmiesza się sam. Nie ma lepszych i gorszych w świętej wspólnocie rycerskiej, w której śmierć jest honorem i naturalnym przeznaczeniem.

I oto śmierć nadchodzi.

Istnieje pięć uznanych sposobów zadania *estocady*, czyli powalającego byka, decydującego ciosu szpadą – *volapie*, *suerte de arrancar*, *suerte de recibir*, *suerte de aguantar* i *suerte a un tiempo*. Jedynym, co łączy wszystkie te różnorodne techniki, jest symboliczny krzyż tworzony przez ręce matadora w chwili ostatecznej. Krzyż pożegnania definitywnie nobilitujący czy wręcz uczłowieczający byka-wojownika, który spełnił swój obowiązek i w ten sposób zatriumfował nad hańbą inicjacji, grzechem pierworodnym rycerza.

Byk jest martwy, ale to właśnie daje pełny i nieśmiertelny już wymiar jego waleczności, męskości i naturze. *Viva la muerte!* – Oto cała wykładnia hiszpańskiej i rycerskiej nauki o sensie życia i śmierci. A my, skromni spektatorzy corridy, widząc naocznie nicosć śmierci wobec wielkości honoru, przestajemy także, po trochu, lękać się kresu naszych własnych dni. Moc corridy obmyła nas z demonów strachu. Może zacząć się *fiesta!*

Magiczne święto, w którym flamenco jest jakby przedłużeniem corridy: ciągiem *suertes* z przystankami oznaczającymi śmierć.

Croissant w kawie

Przybysze z Polski przeżywają w Paryżu zrozumiałe estetyczne katusze patrząc jak miejscowi maczają w kawie maślane rogaliki zwane croissantami, po czym podnoszą je, kapiące rzęsiście, ku lubieżnym ustom. Tłuste oka pływające po powierzchni czarnej cieczy w filizance dopełniają obrazu.

Ohydny ten zwyczaj ma swoje historyczne uzasadnienie.

W początkach XVIII wieku kapitanowi Gabrielowi des Clieux powierzona zostaje misja przewiezienia sadzonki kawy Arabica z cieplarni Ogrodu Botanicznego w Paryżu na odległe Antyle. Podróż pełna była przygód i niebezpieczeństw. Potężne wichury zepchnęły statek z zaplanowanej trasy. Wkrótce braknąć zaczęło słodkiej wody. Dzielny des Clieux odmawiał sobie każdego łyka, byle tylko mieć czym podlewać bezcenną roślinkę. Zorientowawszy się, iż nieznaną ręką usiłuje zniszczyć sadzonkę, przez ostatnie szesnaście dni rejsu nie odstępował doniczki na krok. „Gdy dopływaliśmy do Martyniki – napisze w pamiętnikach – majaczyłem już z pragnienia i bezsenności”.

Po osiemnastu miesiącach zebrano na wyspach pierwsze, obfite plony. Wkrótce stanie się kawa największym miejscowym bogactwem. Kapitanowi des Clieux przyznają wdzięczni osadnicy pokazną dożywotnią pensję. W kreolskich tawernach Fort-de-France powstanie śpiewana do dzisiaj piosenka:

„Szczęśliwa Martynika o gościnnych brzegach,
Tyś pierwsza w całym Nowym Świecie
oswoiła ten najśłodszy owoc Azji,
Wzbogacając go ziemi francuskiej ambrozją”.

W 1737 sadzonki krzewów kawowych docierają z Antyli, poprzez Gujanę, do Brazylii, gdzie gleby i klimat okazują się wręcz idealne dla nowej uprawy. Nic dziwnego, że już w 1763 podaż czarnego owocu przekracza popyt. Ceny załamują się gwałtownie.

W 1721 jest już w Paryżu trzysta kawiarni, w 1840 ich liczba przekroczy 1500! A jednak zużycie kawy nie nadąża za wciąż rosnącą produkcją. Trzeba koniecznie rozszerzyć grono konsumentów. Szeroko zakrojona kampania uświadamiająca, szermująca przede wszystkim argumentem ceny (kawa jest już niewiele droższa od mleka), wprowadza wreszcie kawę pod francuskie strzechy. Jeszcze parę lat i stanie się ona „zupą ludową”.

Codziennie rano wlewali francuscy chłopci czarną kawę do głębokich talerzy, podkasywali rękawy, kruszyli chleb do zupy, a czasem nawet okraszali ją łyżką smalcu lub sadła i siorbali w skupieniu.

W początkach XX wieku, na skutek umów ograniczających produkcję, załamania koniunktury w Ameryce Południowej, a także przemian cywilizacyjnych na wsi francuskiej – wraca kawa powoli do filizanek. Tradycja jednak przetrwała. Maczając croissanta w kawie powtarza Francuz gest swoich przodków z Owernii, pochylonych nad poranną miską przed wyjściem w pole.

Dla Polaka jest to opowieść dziwna. Toż niedawno jeszcze pewien Pierwszy Sekretarz proklamował kawę używką luksusową i zbędną. Ćwiartka kawy przywiezionej z zagranicy była wtedy prezentem zapewniającym wdzięczność każdej pani domu. Potem przyszła era PEWEX-ów i zielonych wyszarpywanych spod serca.

Ale żeby kawę z miski?

Jak widać, ubóstwo ma swoje dobre strony. Ucierpi może podniebienie, ale estetyka – ileż zyska!

Cukier

Wynalazek cukru przypisują sobie równie stanowczo Chińczycy i Hindusi. Miałby więc cukier pochodzić albo z Kuangtung (tam gdzie miasto Kanton), albo z Bengalu. Przychylamy się raczej do tej drugiej wersji. Z dwóch względów. Po pierwsze – wspomina o cukrze napisana około 200 lat p.n.e. „Ramajana”; po drugie – hinduska jest etymologia słowa. To sanskryckie *śarkara* przerodziło się w perskie *szakar*, łacińskie *saccharum*, arabskie *sukkar*, włoskie *zucchero*, francuskie *sucre*, aż po nasz swojski „cukier”.

My, Europejczycy, nie tylko bieg maratoński, ale również cukier zawdzięczamy królowi perskiemu Dariuszowi. Pamiętamy wszyscy strofy Kornela Ujejskiego z „Maratonu”:

„W Suzie na dworze król Dariusz ucztuje;
Sto cudnych dziewic jemu służy,
Stu niewolników na klęczkach się wije...”

Otóż ów Dariusz, zanim w 490 p.n.e. dostał od Greków bity pod Maratonem, odbył szereg zwycięskich wypraw do Indii. Tam też znaleźli jego wojownicy zdumiewającą roślinę, „która daje miód bez pomocy pszczół”. Odkrycie otoczone zostało w Persji ścisłą tajemnicą państwową. Można sądzić, że przestrzegano jej w starożytności pilniej niż za naszych czasów, gdyż dopiero w stokilkadziesiąt lat później dociera cukier do Grecji, o czym wiemy od Tyrtamosa, który pisze: „Okazuje się, że są trzy rodzaje miodu – z kwiatów pól i drzew, z róż i ten ciekący z trzciny”.

Grecy, jak wiadomo, byli narodem kupieckim, więc nowy produkt potraktowali od razu w kategoriach import-eksport. Droga do ekspansji cukru stała się otworem. Tyle że zważywszy na długość tras przewozowych prowadzących przez wiele krajów, z których każdy nakładał swoje myta, a także bardzo małą produkcję u źródła, był to towar superklasowy. Używano go więc przede wszystkim, a właściwie wyłącznie – jako lekarstwa. W tym właśnie charakterze opisuje cukier Dioskurides, który pomyłkowo zapewne zniekształca perskie *szakar*, co przejmą następcy z Pliniuszem na czele, utrwalając nową nazwę w łacińskim słowniku. Podkreślić należy uwagę Diosridesa, iż „płaci się za cukier równoważną ilością srebra”. Jest to wszakże nadal produkt egzotyczny i importowy.

Dopiero ekspansja arabska w VIII–IX wieku owocuje zakładaniem plantacji trzciny cukrowej na nowych terenach. W XI wieku znajdujemy je w dość znacznej liczbie na północnych wybrzeżach Afryki; w XII wieku w Andaluzji.

Chrześcijańska, średniowieczna Europa zapozna się jednak bliżej z cukrem dopiero w trakcie wypraw krzyżowych. Jak kiedyś Grecy, tak teraz Wenecjanie orientują się pierwsi w jego wartości handlowej i od początku monopolizują rynek. W tym czasie jednak wojska rekonkwistadorów posuwają się w głąb Hiszpanii. Grenada („Już w gruzach leżą Maurów posady. Naród dźwiga żelaza, - Bronią się jeszcze twierdze Grenady”) wpadnie w katolickie ręce dopiero w 1492. Jednak pierwsze mauretańskie plantacje cukrowe o prawie wiek wcześniej. Stąd portugalscy żołnierze zabierają trzcinę na Maderę, Azory, Wyspy Kanaryjskie, gdzie wkrótce powstaną ogromne jej pola.

Z początkiem XVI wieku każdy szanujący się kupiec korzenny, od Bordeaux po Lubekę, a nawet Gdańsk, ma już na składzie słodki towar. I tak na przykład w 1516 niejaki Hans von Bingen trzyma w swoim frankfurckim (nad Menem, nie nad Odrą) kramie: „ser holenderski, szafran, cukier, pieprz, wosk i kamień winny, a także sukno epinalskie, barchan augsburski i ulmeński oraz żółty drelich lyoński”. Jest to zestaw znamieny – cukier jest nadal towarem ekskluzywnym, dostępnym jedynie w wyrafinowanych butikach dla wybrednych.

Dopiero w XVIII wieku staje się cukier może nie powszechnie, ale szeroko dostępny. Traci swój medyczny charakter i zaczyna służyć do słodzenia po prostu. Jego smak działać ma afrodyzjakalnie, ale widać – niewystarczająco, gdyż jak mówi polska fraszka sowizdrzalska z epoki:

„Większa niż w cukrze jest rozkosz w taneczku,
Gdy się przy grzecznym skacze pacholeczku”.

Chodzi tu jednak ciągle o cukier wyrabiany z trzciny cukrowej. Tymczasem...

Już w 1575 publikuje uczony francuski Olivier de Serres obszerny traktat, iż cukier wydobyć można też, i to nawet jeszcze łatwiej, z wulgarnych buraków. Ale kto tam czyta zakłętę w scjentyistycznym języku wynurzenia naukowców. Dopiero w 1747 wpada dzieło Serresa w ręce niemieckiego chemika Marggraffa. Praktyczny Niemiec nie publikuje uniwersyteckich manifestów, ale zabiera się od razu do doświadczeń. Posługuje się przy nich nie tylko wskazówkami Serresa, lecz również nawet recepturami Varrona (116-27 p.n.e.), choć owe odnosiły się oczywiście do trzciny. Wkrótce uzyskuje cukier. Niestety, jest on złej jakości, a i proces produkcyjny kosztuje zbyt drogo. Im zaś lepsza jakość, tym droższa produkcja. Istne błędne koło. Nie dostąpi więc ani zaszczytów, ani sławy. Owszem, skorzysta z jego technologii cesarz Napoleon I, który każe obsadzić burakami cukrowymi 32 000 hektarów i udziela ponad 500 licencji tym, którzy by zaopatrywali jego armię w cukier. Robi to jednak z konieczności. Anglicy panują na morzach i transporty z Ameryki, która stała się już od wieku cukrzany potentatem, docierają nieregularnie.

Cios cukrowi z trzciny przynosi dopiero zniesienie niewolnictwa na Karaibach i w Stanach Zjednoczonych. Oto robotnicy harujący na plantacjach zaczynają nagle kosztować. Cena produktu skacze gwałtownie w górę. Siłą rzeczy burak staje się konkurencyjny.

Od tej chwili rozpoczyna się trwająca do ostatnich lat, a więc ponadstuletnia, nieubłagana wojna cukru ze trzciny i cukru buraczanego. W końcu XIX wieku Francja jest największym producentem cukru z buraków – 450 000 ton rocznie. Wydaje się, że w zachodniej Europie burak ostatecznie zatriumfuje. Jednak niosący pomoc Entencie podczas II wojny światowej Amerykanie wymuszają na sojusznikach klauzule uprzywilejowania dla cukru z trzciny. Jest to o tyle paradoksalne, że niedługo już burak zwycięży właśnie w USA. Czy jednak kiedykolwiek politycy myśleli perspektywicznie?

Pod koniec okresu międzywojennego światowa produkcja cukru zbliżyła się do 25 milionów ton. W 1987 – 106 milionów! Burak panował nad 40 procentami rynku, trzcina nad 60 procentami. Przy pieniądzach, jakie tu wchodzi w grę, nie ma pardonu. Do walki konkurencyjnej zaangażowano więc również lekarzy. Trzcinofile oskarżyli burakowców o

chorób 150, burakowcy oddali z nawiązką. Nieświadoma lub nie do końca świadoma sensu rozgrywki szeroka publiczność doszła do wniosku, że widać cukier jest po prostu szkodliwy, co zresztą wcale nie odwiódło jej od owegoż cukru konsumpcji. Jest w tym zresztą ogólna prawidłowość. Każdy, kto uczestniczy w życiu publicznym, wie, że dobrze czy źle – byle o nas mówiono i pisano. Takie są nieubłagane prawa marketingu. Toteż w krajach najbardziej zaangażowanych w walkę z nikotyną najszybciej wzrasta liczba palaczy, a za czasów prohibicji potroilo się w USA pogłowie alkoholików. Nie zmienia to sprawy, że na tytoń czy wino zwalić można wszystko, a już w szczególności naszą medyczną niewiedzę. Podobnie z cukrem.

Spieszmy Cię, czytelniku, uspokoić. Według badań, zrealizowanych niezależnie w USA – przez profesora Waltera H. Glinsmanna i we Francji – przez profesora Guy Granda, cukier rzeczywiście sprzyja próchnicy zębów; pod warunkiem jednak, że się ich porządnie nie myje. Spożywanie cukru nie ma natomiast najmniejszego wpływu na zachorowania na cukrzycę, choroby serca i raka. Co gorsza – wszelkie statystyki udowadniają, że chudzi jedzą dużo więcej słodczy niż otyli. W niektórych zaś przypadkach, jak to antycypowali starożytni średniowieczni „ciemniacy”, ma cukier (w umiarkowanych oczywiście ilościach) naprawdę właściwości lecznicze. Historia zatoczyła koło i wróciła do punktu wyjścia. Jak zwykle.

Nie bójmy się więc cukru. Tym bardziej że gdy dodamy drożdże i dobrą wodę oligoceńską... po odpowiedniej procedurze... Ale dalej cicho sza, bo to prawem zakazane.

Na zdrowie!

Dzieciństwo

W sentymentalnej, ale i sympatycznej książce Giovanniego Mosca „Proszę do klasy” („Nasza Księgarnia” 1958) jest taka scena: jeden z uczniów pierwszej klasy na zadany temat „Starożytny Rzym” narysował gromadę dzieci bawiących się kółkami. Nadciąga złowrogi inspektor w złotych okularach i ogląda rysunek.

„– Bzdury – powiedział – zniewieściałość.

Zapytałem go wówczas nieśmiało, czym – jego zdaniem – bawiły się dzieci starożytnych Rzymian.

– W ogóle się nie bawiły – powiedział stanowczym głosem. Po czym rzucił zmieniając ton: – Może się i bawiły, ale poważnie, po męsku, w małych hełmach na głowach, potrząsając włóczniami...”

Mosca chce tu pokazać całą bezduszość i głupotę urzędników oświatowych, ale... paradoksalnie – w tym przypadku to inspektor właśnie jest bliższy prawdy.

„W wieku ośmiu lat – pisze J.H. Van Den Berg – Goethe pisał po niemiecku, francusku, grecku i łacinie; mimochodem nauczył się włoskiego, którego ojciec uczył jego siedmioletnią siostrę. Czteroletni «Turnvater» Jahn umiał pisać i czytać. Przyszły ojciec Józef, będąc w tym samym wieku wdrapywał się na stół i recytował przed gośćmi ojca dramat Golgoty. «Vauban holenderski, Menno van Coehoorn, miał szesnaście lat, kiedy jako komendant kompanii piechoty wysłany został z wojskiem z Fryzji do garnizonu w Maastricht. I tak dalej – nieprzerwany ciąg dzieci przedwcześnie dojrzałych (jak to dziś nazywamy), przed którymi stawiano «dorosłe» obowiązki i które najwyraźniej doskonale wywiązywały się ze swoich zadań. Dotyczy to zresztą również dziewcząt: jeśli zdecydowano się dać im wykształcenie, nauka zaczynała się z chwilą, gdy ukończyły dwa lub trzy lata. Niektóre w wieku pięciu lat miały już za sobą lekturę całej Biblii...”

Nie ma w tym nic dziwnego. Średnia długość życia ludzkiego w Europie (bez uwzględnienia śmiertelności niemowląt) wynosiła w V wieku około 27 lat, w XV wieku – 33 lata, w 1850 roku – 36,4 lat, w 1900 – 48,9; w 1950 – 66,2; dzisiaj 76,5. Powolny, ach, jakże powolny postęp przez wieki i nagły boom pod koniec XIX wieku. W ciągu dwóch tysiącleci przybyło nam nadziei na trwanie lat osiem wszystkiego, i nagle, w ciągu jednego, głupiego stulecia – lat czterdzieści prawie. Jest to rewolucja społeczna i pojęciowa, przy której niech się schowają wszelkie zmiany ustrojów społecznych i systemów politycznych. Mając perspektywę średnio trzydziestoletniego życia nie ma się po prostu czasu na dzieciństwo. „Czy w średniowieczu były dzieci?” – zapytywał ongiś Jacques Le Goff. Otóż nie, w średniowieczu nie było dzieci. Dzieciństwo jest wynalazkiem XIX wieku!

Przypomnijmy patetyczny moment na zamku w Chinon 6 marca 1429, kiedy to Joanna d’Arc rozpozna przebranego Delfina i zachęci go do walki o tron. Oglądałem inscenizację tego zdarzenia w czterech filmach z różnych okresów. Za każdym razem napięcie dramaturgiczne uzyskiwane jest podług tego samego schematu: oto młodzianka dziewczyna

wkracza śmiało do zgromadzenia doświadczonych starców, którzy mierzą ją nieufnymi spojrzeniami. Jest tu opozycja młodości i starości, świeżości i patyny, przyszłości i przeszłości. Niestety, historycznie jest to całkowicie błędne.

Joanna d'Arc ma w 1429 roku lat 17. W jakim jednak wieku są jej interlokutorzy? Kto decyduje o losach Francji? Król Karol VII (który samodzielną politykę prowadzi już od dziesięciu lat) ma lat 26, marszałek Gilles de Rais – 25, potężny książę Jan d'Alençon – 19, jego siostra Charlotte – 16, doradca królewski kanonik Thomas Basin – 17... Nie ma tu żadnej konfrontacji między młodością i starością. Rzecz rozgrywa się w gronie plus minus rówieśników. I nikogo to nie dziwi.

W „Krzyżakach” tak przedstawia Maćko z Bogdańca swojego bratanka: „Bywało, w dwunastym roku oprze kuszę o ziemię, przyciśnie brzuchem i tak korbą zakręci, że i żaden z Angielczyków, którycheśmy pod Wilnem widzieli, lepiej nie naciągnie”. Tu jednak przestraszył się Sienkiewicz, a może zabrakło mu konsekwencji, dość, że pasował Zbyszka na rycerza dopiero w wieku lat osiemnastu. Jak na tak dzielnego junaka byłaby to nobilitacja bardzo późna. W bitwie pod Maupertuis (19 listopada 1356) wyróżni się najbardziej brawurą rycerz Filip, książę Burgundii, czternastoletni syn Jana II Dobrego. Pasowanie na rycerza w wieku czternastu – piętnastu lat było w XIV/XV wieku rzeczą zupełnie normalną. Przydarzało się i trzynastolatkom. Jakkolwiekby to więc raziło czule nasze serca i Jakkolwiekby przeczyło wpojonym naszej wyobraźni obrazom, uznać musimy, że tak pod Azincourt, jak i na przykład pod Grunwaldem, starły się ze sobą armie złożone w pokaźnej części z nastolatków.

Jeszcze książę Piotr Aleksiejewicz Kropotkin (urodzony w 1842) skarży się we „Wspomnieniach”, że nie miał w dzieciństwie zabawek. Nie tylko on. Przechadzając się po muzeach zwróćmy uwagę (choćby jeszcze i w XVIII wieku) na rozmiary takich samych ubrań. Serie identycznych odzień dla trzynastolatka, dwudziestolatka i pięćdziesięcioletniego starca. Dziecko jest tutaj zawsze miniaturowym dorosłym. Nic dziwnego, że nie przysługują mu specyficzne przedmioty. Wystarczy wyposażenie dorosłych w zmniejszonej skali. Kordzik małego Ludwika XIII jest to po prostu mała szpada. Krótsza, cieńsza, ale metalowa i ostra. O tymże Ludwiku XIII wiemy skądinąd, że polował na grubego zwierza od szóstego roku życia. Ludwik XVI – od piątego.

Lecz oto koniec XIX wieku. Czas na życie zaczyna się wydłużać w sposób tak namacalny, że choć powoli i nie bez obaw, rodzi się wiara w trwałość tego procesu. Już nie mówimy sobie: „byle do czterdziestki”, ale zaczynają się wręcz rodzić marzenia o siedemdziesiątce! Mamy czas i wszystko wskazuje, że będziemy go mieć coraz więcej. Zaczyna być wystarczająco dużo trwania, by dzielić je na kawałki, ubierać w barwy, klasyfikować. „Dziecko nie zawsze było dzieckiem – stało się nim” – pisze Van Den Berg. Stało się w owej stosunkowo krótkiej i łatwej do datowania chwili, kiedy uzyskaliśmy czas na dzieciństwo.

Cóż to jednak znaczy „klasyfikować”? To znaczy zbudować opozycję, stworzyć nową jakość. Dziecko będące dotąd małym dorosłym ma zacząć różnić się od niego, ma być kimś zupełnie innym. I tak rozpoczyna się teatralizacja dzieciństwa. Przyznaje się nagle bachorom

odmienny strój, dopuszcza zainteresowania (a nawet do nich nakłania), tworzy się dla pociech świat odmiennych obiektów, nie będących już tylko zmniejszeniem przedmiotów używanych przez dorosłych, ale całkowicie ponoć specyficznych. Powstaje nawet nowy język. Jean de Grève, przedstawiciel – to prawda, bardzo już starszawego pokolenia – dziwił się jeszcze w 1990 roku („Dziennik”), iż nie dość że współczesne matki opowiadają lub czytają progeniturze teksty najwyższego infantylizmu, to jeszcze dodatkowo deprecjonują go przekształcaniem słów lub połykaniem i zmiękczeniem zgłosek albo natrętnym powtarzaniem fraz. Do roku mniej więcej 1850 mówiono do dzieci językiem normalnym, codziennym, niczym do partnera. Pionierem infantylizacji na naszych ziemiach była, i dziw, że żaden krytyk literacki tego nie zauważył, Maria Konopnicka.

Łupu, cupu! łupu, cupu!

Cepami w stodole;

Poczerniało, posmutniało

Nasze czyste pole.

(„Młócka”)

Hu! hu! ha!

Nasza zima zła!

(„Zła zima”)

Pucu! pucu! chlastu! chlastu!

Nie mam rączek jedenastu,

Tylko mam dwie rączki małe,

Lecz do prania doskonale.

(„Pranie”)

Stary kowal młotem wali:

Buch! buch! buch!

Mało brody nie osmali,

Zuch! zuch! zuch!

(„Piosenka w kuźni”)

Posłuchajcie...

W bok Kruszwicy

Żył Piast w cudnej okolicy...

Miał synaczka...

Wiemy! wiemy!

No i chcecie?

Chcemy! chcemy!

(„Czytanie”)

Czego naprawdę chce ta dziatwa, trudno odgadnąć. Ale i tak lepsze to niż najbanalniejszy dialog między rodzicami (bez względu na płeć) a bobasem, który słyszymy codziennie na każdym skrzyżowaniu ulic:

„ – Cy dzidzius ce zrobić kupkę? – A dlaczego języcek wysuwa? – A może woli mlecka nas cacany?” – Oto zdobycze cywilizacyjne ostatnich stukilkudziesięciu lat.

Nie cytujemy tego wszystkiego, żeby Konopnicką umniejszyć. Wręcz odwrotnie. Była ona bodaj pierwszą w Polsce, która zdała sobie sprawę z powstania nowej jakości. Bez tego nie byłoby ani Sierotki Marysi, ani zapożyczonego skądinąd z Niemiec, w czym nie ma nic złego, Koszałka Opałka.

W 1860 nie było w Paryżu ani jednego sklepu z zabawkami dla dzieci, w 1900 jest już ich 26, obecnie ponad pięćset.

Na przełomie XIX i XX wieku upowszechniły się we Francji – pisze Michel Wlassikoff – konkursy na najpiękniejsze dziecko, które towarzyszyły wszystkim ważniejszym targom i jubileuszom. „Konkursy te miały pretensje naukowe. Dzieci były podczas nich ważone, mierzone i szczegółowo badane przez wyspecjalizowanych lekarzy. Wygrać mogło tylko dziecko doskonałe pod każdym względem – dziecko będące uosobieniem idealnego dzieciństwa”. Patrząc na konkursowe zdjęcia odkrywamy z łatwością cały program ideowy tych imprez. Nagie dziecko na okrytym draperiami stole oznaczać ma tu bezbronność i niewinność, co przecież było ciekawostką i nowością zupełną. W tym czasie dzieci pracują jeszcze w kopalniach, w fabrykach, w najcięższych warunkach, na równi z dorosłymi. Nie ma w tym perwersji ani okrucieństwa. Tam, w sztolniach, nie wiedzą jeszcze, że dziecko ma się różnić od dorosłego. Między małym i dużym górnikiem istnieje co najwyżej, ale niekoniecznie, dysproporcja doświadczenia i wydajności pracy.

Ale tam, na powierzchni, dzieciństwo już triumfuje. Nic nie zatrzyma jego zwycięskiego marszu.

Moda odzieżowa dla dzieci. Wykreślona równie arbitralnie jak ta dla dorosłych, tym się jednak oznacza, że nigdy nie jest taka sama. Koniec z dzieckiem-małym dorosłym. Dziecko ma być inną jakością. Gdy dla dorosłych zalecane są kolory jaskrawe, dziecko odnajdziemy popielate; kiedy dorośli nosić się mają obcisłe, dzieciom na pewno poleci się luźne i swobodne...

Bajka. Jeszcze bracia Grimm, a nawet Andersen, nic nie pojęli. Ich bajki ociekają prawdą. Jest w nich miejsce dla cierpienia, zdrady, sprzeniewierzenia, okrucieństwa. Świat dorosłych, tyle że odrealniony i zaludniony niezwykłym. Dopiero Disney zrozumiał. Świat jest u niego przymrużeniem oka. Pies Pluto spada w przepaść, ale zaraz otrząsa się, łypie lewą tęczęwką; świnki trzy triumfują nad wilkiem... Nie wystarczy dzieci odróżnić. Trzeba im stworzyć „ich świat”. Ach, ten „świat naszego dzieciństwa”... Któżby chciał się go wyrzec? Albo przyjąć do wiadomości, że był od początku do końca sztucznie skonstruowany?

Bo jakże ubogi w istocie i prymitywny to świat. Przypisuje się dzieciom poetykę naiwności i nieskrępowania wyobraźni. Cienia tego nawet nie znajdziemy w największym ponoć w Europie sklepie z zabawkami dla dzieci przy bulwarze Sewastopolskim w Paryżu. Pełny asortyment uzbrojenia, tyle że w rzeczywistości nie rażącej przeciwnika; miliony samochodzików (nieraz wysoce elektronicznie skomplikowanych), służących nie do transportu; klocki „Lego” i im podobne, z których skonstruować można niemieszkalne

budowie... Prosty zabieg odebrania przedmiotowi funkcji przenosić go ma ze świata dorosłych w dzieciństwo. Zamiast owej mitycznej „nieskrępowanej dziecięcej wyobraźni” prostacka opozycja: funkcjonalne – dysfunkcyjne. Zaiste sklep z zabawkami nic nam nie mówi o dzieciach (o ile takie istnieją): jest za to wspaniałym miejscem obserwacji, trwóg i marzeń naszych dorosłych społeczeństw. Średniowiecze i renesans jeszcze dawały maluchom – jako się rzekło – miecze proporcjonalne do ich możliwości fizycznych, metalowe wszakże i prawdziwie ostre. Wiek XX zaproponował gumowe i plastikowe miecze na niby. „Ja ustałyj staryj kłown, ja bodu mieczom kartonnym” – śpiewał Wertyński w „Żółtym aniele”. Kłownem i pajacem jest bowiem ten, kto posługuje się niefunkcjonalnym.

Czy obok wynalazku maszyny parowej, telefonu, silnika spalinowego... powinniśmy umieścić z równą dumą wynalazek dzieciństwa?

Chyba nie. Chcieliśmy wynaleźć nową jakość, a stworzyliśmy tylko karykaturę.

Lalka Barbie świadkiem.

Gilotyna

Doktor Józef Ignacy Guillotin bardzo szczylił się swoim wynalazkiem. Oto zgodnie z powołaniem lekarskim wydatnie zmniejszył cierpienia swoich bliźnich. Nowa maszyna do ścinania głów, jego pomysłu, działająca szybko oraz – jak twierdził Guillotin (któż to sprawdzi?) – bezboleśnie, uchodziła powszechnie za szczyt humanitaryzmu i przyniosła swemu twórcy rangę niekwestionowanego autorytetu moralnego. Radujemy się jego szczęściem i tylko z wrodzonej pedanterii odnotowujemy, że samo urządzenie nie było aż tak oryginalne. Niemal identyczną konstrukcję odnajdujemy w początkach XIII wieku w holenderskim Dendermonde. W 1307, w Neapolu, niejaki Murcod Ballagh ścięty został za pomocą „ostrza stalowego umocowanego między dwoma palami i spadającego po zwolnieniu sznura”. W połowie XIV wieku w Lunebergu i w Norymberdze identyczna machineria wzbogacona została dodatkowo „okienkiem”, w które wkładano głowę skazańca, tak by brzeszczot tnący przy samej ramie uderzał precyzyjnie w szyję. Ba, nawet we Francji nie brakowało poprzedników. W 1632 marszałek Henryk II de Montmorency został zdekapitowany za pomocą *doloire* zbudowanej na wzór włoski, ale również wzbogaconej w „okienko”. Zasluga doktora Guillotin (był *notabene* światłym propagatorem szczepionek) polega więc przede wszystkim i właściwie wyłącznie – czasem jednak szczegół stanowi o przełomie – na nadaniu ostrzu maszyny skośnej linii. O ile poprzednio walące się w dół żelastwo miażdżyło szyję zamiast ją przeciąć, albo zatrzymywało się na kręgach szyjnych, o tyle teraz łagodnie, pod kątem wrzynające się w szyję – dawało gwarancję niechybnej i eleganckiej amputacji.

Po okresie terroru rewolucyjnego gilotyna, dziwnym jakimś trafem, przestała się jednak publiczności tak miło i humanitarnie kojarzyć. Pozycja doktora Guillotin ucierpiała na tym znacznie. Zrezygnował więc z uprawiania polityki, odsunął się w cień i nawet uczone dywagacje o szczepionkach sygnował pseudonimem. Gdy umarł 26 marca 1814, doktor Bourru, dziekan Akademii Medycznej, wypowiedział nad jego trumną te oto słowa: „Odszedł od nas przyjaciel, którego szlachetność, bezinteresowność i skromność znane były nie tylko jego kolegom po fachu, ale przede wszystkim liczny pacjentom pokładającym w nim pełne zaufanie. (...) Niestety, jego głęboki zmysł filantropii kazał mu promować pewne narzędzie, które bezmyślna gawiedź związała z jego nazwiskiem. Zaiste, niełatwo jest w naszych czasach czynić ludziom dobro, skoro jest się za nie odpłacanym złością i nienawiścią. Bo czyż nie z tego powodu trud życia zmarłego, całkowicie poświęconego dobru ludzkości, nie nagrodzony został przez nasz rząd ani należnymi odznaczeniami, ani stanowiskiem?”. Spoczywa Józef Ignacy Guillotin na Père Lachaise w kwaterze XVIII. Wróćmy jednak do samej gilotyny.

Pierwszą ofiarą gilotyny był niejaki Nicolas Jacques Pelletier – złodziej recydywista. Gilotyna przedłużyła mu, paradoksalnie, życie o parę miesięcy. Kiedy bowiem 25 września 1791 Zgromadzenie Narodowe uchwaliło, iż „każdy winowajca skazany na karę śmierci będzie miał uciętą głowę”, czyli wieszanie stało się niezgodne z prawem, machina nie była

jeszcze gotowa. Pelletier skazany 24 stycznia 1792 – wbrew zwyczajom francuskim nakazującym natychmiastową egzekucję sentencji – czekać więc musiał na finał prac wykończeniowych. Co się odwlecze, to wszakże nie uciecze. 25 kwietnia 1792 wobec tłumu ciekawskich przybyłych obejrzeć nowy sposób uśmiercania włożył wreszcie Pelletier głowę w tak zwaną lunetę. Wszystko poszło tak szybko i sprawnie, że widzowie rozgoryczeni tak mało efektownym zjawiskiem zaczęli skandować: „Oddajcie nam naszą szubienicę! Oddajcie nam naszą szubienicę!” Zasepiony był także oprawca Charles Henri Sanson, czwarty ze słynnej dynastii katów Paryża. Jak napisał w pamiętnikach, zląkł się, czy taka łatwość wykonania wyroku nie zachęci sędziów do częstszego ich wydawania. Dodajmy też – choć nie wątpimy w szczerłość Sansona – że kaci nie pracowali wówczas we Francji na akord, lecz mieli stałą pensję, z której w dodatku opłacać musieli między innymi sznur do wiązania rąk skazańcom, koszty ostrzenia brzeszczota gilotyny, kosze na ucięte głowy etc. Zwiększenie się liczby egzekucji oznaczało więc dla oprawcy i dodatkową pracę, i znaczący spadek realnych zarobków.

Charles Henri Sanson miał oczywiście rację. Sprawność gilotyny już niedługo ułatwi Trybunałom Rewolucyjnym działanie. Od marca 1793 do lipca 1794 w samym tylko Paryżu użyta ona zostanie ponad 2600 razy (2625 podług René Sédillot, 2639 podług innych historyków epoki). Pelletier był pierwszym i jednocześnie jednym z ostatnich, którzy dostąpić mieli przywileju egzekucji indywidualnej. Już od jesieni 1792 (a oficjalnie terror się jeszcze nie rozpoczął) przywozi się skazańców grupami. Ludzie stoją w kolejkach oczekując na śmierć. Daje to czas na sformułowanie ostatnich skarg, manifestów, czy bon-motów. Czujne ucho Sansona wszystko to słyszy. Francuz pozostanie zawsze Francuzem. Również Sanson, choć profesję wykonuje specyficzną, jest po trosze artystą. Ja to widzę, ja to słyszę, ja to wszystko gdzieś opiszę...

I rzeczywiście opisał. To dzięki wspomnieniom Sansona jesteśmy w posiadaniu niemałej antologii sentencji i „ostatnich słów” wygłoszonych u stóp i na szczycie śmiertelnej platformy.

Oto garść spośród nich (w kolejności alfabetycznej): Jean-Sylvain Bailly (astronom i mer Paryża), na uwagę zwróconą mu przez pachołka, że drży: „To z zimna, obywatelu”.

Antoine Bamave (deputowany): „Taka jest więc zapłata za to wszystko, co zrobiłem dla wolności”.

Hrabina du Barry (kochanka Ludwika XV): „Jeszcze nie teraz, jeszcze chwilę, jeszcze minutę...”

Armand Louis de Biron (książe, generał): „Umieram ukarany za to, że byłem niewierny mojemu Bogu, mojemu królowi i mojemu imieniu”.

Marie-Nicole Bouchard (17-letni rojalista), leżąc już na desce: „Obywatelu kacie, czy dobrze się położyłem?”

Andre de Chénier (poeta): „Nie pozostawiłem nic, co przeszłoby do potomności. A przecież byłem zdolny...”

Charlotte Corday (zabójczyni Marata), kiedy kat polecił jej, by nie patrzyła na gilotynę: „Niech pan mi pozwoli. Mam prawo być ciekawską. Nigdy dotąd jej nie widziałam”.

Danton, do kata: „Tylko nie zapomnij pokazać mojej głowy ludowi, nieczęsto może takie oglądać”

Barnabé Durosoy (szlachcic), też do kata: „Natychmiast po egzekucji oddajcie moje ciało lekarzom eksperymentującym transfuzję krwi. Chciałbym być użyteczny dla ludzkości”. Jean-Baptiste d’Estaing (admiral, weteran wojen o wyzwolenie Stanów Zjednoczonych) „Sprzedajcie moją głowę Anglikom; drogo za nią zapłacą”.

Charles Henri Hauteroche (generał): „To mnie martwi najbardziej, że mam takich parszywych spadkobierców”.

Marie La Source (deputowany, pastor protestancki): „Umieram w momencie, kiedy lud stracił rozum, wy umrzecie, kiedy go odzyska”.

Ludwik XVI: „Umieram niewinny, prosząc Boga, by moja krew nie spadła na głowy ludu Francji”.

Louis Pierre Louvel (robotnik): „Pospieszcie się. Tam na górze już na mnie czekają”.

Chrétien de Malesherbes (polityk, adwokat Ludwika XVI), kiedy potknął się na schodach szafotu: „Doprawdy – zły znak; Rzymianin na moim miejscu wróciłby do domu”.

Maria Antonina (królowa), kiedy nastąpiła katu na nogę: „Niech mi pan wybaczy, zrobiłam to niechcący!”

Manon Roland (deputowana): „Wolności! – Ileż zbrodni popełnia się w twoim imieniu!”

Tak oto przyczyniła się gilotyna do rozwoju aforystyki francuskiej.

Nic dziwnego, że przez cały XIX wiek zbiegały się na egzekucje tłumy smakoszy ciekawych nowego bon-motu czy celnego paradoksu. Niestety, z biegiem czasu zaczyna instytucja podupadać. Dekret z 29 czerwca 1939 zakazuje publiczności wstępu na miejsce kaźni. Dekret z 11 lutego 1951 rozciąga ten zakaz również na dziennikarzy. Wreszcie 9 września 1981 zniesiona zostaje we Francji kara śmierci. Ostatnim zgilotynowanym był Hamid Djandoubi, gwałciciel i morderca trzech dziewcząt. Machina, która pozbawiła go głowy, ważyła 580 kg i miała 4,50 m wysokości. Szerokość ostrza wynosiła 37 cm, a jego waga 7 kg, ciężar nad ostrzem 30 kg. Dystans od końca ostrza w stanie spoczynku do szyi skazańca 2,25 m. Cud techniki.

Imiona

Imiona mówią. To prawda. Ale niekoniecznie to, co chcielibyśmy usłyszeć. I tak Balbina to po prostu jąkała; Barbara – barbarzynka lub w złagodzonej wersji cudzoziemka; Bartłomiej to chłopski syn (w przypadku Bartka Zwycięzcy nawet się zgadza); Lech to chytrus (jeszcze lepiej się zgadza); Borys oznacza (co na to Jelcyn?) – biedny, mały; Dionizy pochodzi od Dionizosa, czyli zwyczajnie pijaczyna; Paweł to maluch; Urban natomiast – człowiek miejski, grzeczny, kulturalny. Dodajmy jeszcze, że podług Józefa Flawiusza imię Adam oznacza „czerwony”, co by zapewne nie wszystkich Adamów w dzisiejszej Polsce zachwyciło.

Są oczywiście i imiona pozytywne. Hilary to człowiek pogodny i wesoły, Agata jest dobra. Judasz (*sic!*) godny czci, Katarzyna – bez skazy. Alfons – szlachetny i życzliwy, Sadok (nie wspólnego z sadyzmem) – święty i sprawiedliwy, a Małgorzata to wręcz perła.

Często pozostajemy na poziomie banalnych zresztą, choć niekiedy mało dyskretnych informacji. Cezary – to chłopiec urodzony za pomocą cesarskiego cięcia, Bruno – brunet, Filip – amator jazdy konnej, Karol – małżonek, Łukasz – urodzony o świcie, Marta – paniusia, Zyta – dziewczyna, Otylia – rodaczka, Andrzej – mężczyzna. Jeśli chodzi o Aniele – istny to przyczynek do wielowiekowego sporu o płęć aniołów. Jeszcze w renesansie (dowodem Buonarotti) było to imię przede wszystkim męskie: Angelo, Angel, Angels... Potem pojawiły się Angele, Angeliki, Angeliny czy nasze Aniele. Tak więc Aniela to albo Andrzej, albo Marta; zaś w związku małżeńskim albo Karol, albo Karolina. Dodajmy jeszcze, że Tomasz to najzwyczajniejszy bliźniak (acz bez drugiej połowy – chyba że, z włoska, Tomaso i Tomasa), wreszcie – Franciszek to przedstawiciel wojowniczego, germańskiego plemienia Franków, które podbiło północną Francję. Dostyc paradoksalny to obrazek: święty Franciszek z Asyżu z mieczem w dłoni pośród innych Franciszków z rogami na hełmach, gwałcących i mordujących kogo popadnie.

Niektóre imiona świadczą o dobrym samopoczuciu. Zenon pochodzi wprost od Zeusa (Kliszko?), Piotr to skała lub opoka, Platon to człowiek krzepki, czyli jeszcze nic przy Bernardzie – wojowniku o niedźwiedziej sile, i równie mocnej Urszuli, czyli niedźwiedzicy. Wszystkich przebija tu jednak Ambroży, co znaczy ni mniej, ni więcej: nieśmiertelny.

Czasami spotykamy w imieniu program ideowy. I tak na przykład Abraham – z akkadyjskiego *Aba-am-ra-am* – tłumaczy się: kochaj ojca. Zygmunt to obrona przez zwycięstwo. Mikołaj oznacza z kolei: zwycięstwo ludu (ciekawe, co by powiedział na to car Mikołaj II?) itd.

Niesłusznie więc naśmiewamy się z indiańskich „Rączych bawołów”, „Małych bizonów”, „Sokolich oczu” czy „Kwiatów prerii”. Nosimy kubek w kubek takie same imiona, tyle tylko, że ignorujemy ich rzeczywisty sens. Tytus na przykład to po prostu „Dziki gołąb”. Jeżeli zaś chodzi o autorów niniejszej książki: Dominik – od łacińskiego przymiotnika *dominicus* – to

„Należący do Pana” (Pan w znaczeniu Bóg); natomiast Ludwik – z germańskiego *chlod* (sławny) i *wig* (bitwa): „Słynny wojownik”.

A propos Ludwika. Powszechna niewiedza na temat onomastyki doszła do tego stopnia, że nikt we Francji nie rozumie, iż francuski Louis to dokładnie to samo co Ludwik, Ludwig, a skądinąd: Lewis (nie mylić z Levi!), Ludek albo Gino. Jest to oczywista kompromitacja historyczna, gdyż pierwszy z Ludwików na tronie Franków nazywał się Chlodwig, potem zaś był od razu Louis II. Komu więc bliżej do pierwowzoru? – Ludwigowi czy wymoczkowatemu Louis?... Z drugiej strony Alojzy zlał się we francuskim użyciu z Ludwikiem, podczas gdy Alojzy to germański *al-wis* – wszechwiedzący, czyli zupełnie inna branża niż Ludwik. Tego typu pomyłek wynikających, jako się rzekło, po prostu z niewiedzy jest więcej.

Najczęściej chodzi po prostu o tłumaczenie imion na inne, lub z innych języków. Tak więc między innymi:

Aureusz = Zlatko

Aurora = Eos = Zora = angielska Dawn = węgierska Hajnalka

Bogumił = Gottlieb

Feliks = Szczęsny = słoweński Srečko = litewski Cesnys = węgierski Boldog

Ursus, z którego Ursyn = skandynawski Björn

Wawrzyniec = Laurencjusz = Lars = Ławrientij

Wiera = Foi = Fe = nowogrecka Pistis

Wioletta = fińska Orvokki (jakie śliczne imię!) = serbska Ljubica (też pięknie) = węgierska Ibolya

Milan = Amat = Aime = Amato etc. etc.

Kolejne nieporozumienia rodzą się, tak jak w przypadku Ludwika, z przekształceń fonetycznych. Niewielu zdaje sobie sprawę, że na przykład

Olbracht = Albert

Ignacy = Żegota

Jacek = Hiacynt

Wilhelm = Guillaume

Józef = Giuseppe = Peppe = Pepi (książę Pepi, czyli książę Józef Poniatowski się kłania) = Osip = Sepp

Anna = Hanna, przy czym imię to wywodzi się z hebrajskiego *hanna (hannah)* – łaska; tak więc święta Anna – matka Maryi – była na pewno świętą Hanną, a nie Anną. Dopiero święta Anna Maria Taigi (XVIII w.) jako Włoszka była naprawdę Anną.

Dorzućmy jeszcze dwa spośród licznych przykładów błędnego utożsamiania imion:

Pod jednym Jacques utożsamiają Francuzi Jakuba i Jacka (np. Jacques Malczewski w katalogu wystawy). Tymczasem dwa te imiona nie mają ze sobą nic wspólnego. Jakub pochodzi od hebrajskiego *Jaaqob* – niech Bóg strzeże. Jacek zaś od greckiego kwiatka hiacynta, tak nazwanego ku czci młodzieńca niechcący zabitego przez Apollina. Powinno być: Hyacinthe Malczewski.

Wojciech tłumaczony jest na angielski i francuski jako Adalbert. Oto typowy przykład pomyłki historycznej. Dwa te imiona są sobie zupełnie obce. Natomiast święty Wojciech miał rzeczywiście Adalbert na drugie imię. Dla uniknięcia zastanawiania się nad ortografią słowiańskiego Wojciecha zachodni hagiografowie posługiwali się często jego drugim imieniem. Kolejne pokolenia doszły do wniosku, że to jedno i to samo. I tak już zostało.

Przez wieki, niekiedy dziesięciolecia, a nawet z roku na rok zmieniały się i zmieniają mody na imiona. Spójrzmy na polskie rycerstwo stojące do bitwy pod Grunwaldem. Ustawia się tam w zbrojnym polskim szyku wielu Janów, Maciejów, Mikołajów, Piotrów, ale także Dobrogostów, Mościców, Spytków, Ściborów, Ziemowitów... Przywodzą im między innymi: Zyndram z Maszkowic, Zawisza Czarny, Domarat z Kobylan, Powąła z Taczewa, Gniewosz z Dalewic, Lis z Targowiska. Czy znają dzisiaj państwo jakiegokolwiek Spytka albo Gniewosza?...

Imiona umierają, rodzą się, znikają powracają, osiągają szczyty popularności i znowu odchodzą w niebyt. Moda na imiona zależy od tradycji kraju, regionu, grupy społecznej. Doraźnie decydują o niej jednak bardzo często czynniki przypadkowe. W Polsce mamy dzisiaj urodzaj na Janów, Pawłów, a nawet Janów–Pawłów; w latach osiemdziesiątych popularni byli Lech i Leszek. To dosyć naturalne. Ale o sukcesie imion decydują też postacie fikcyjne. Po wydaniu w Polsce w latach dwudziestych „Jana Krzysztofa” Romain Rollanda podskoczyła nagle w środowisku inteligenckim popularność rzadkich dotąd Krzysztofów. W końcu lat osiemdziesiątych pojawiają się nawet we wsiach nadwiślańskich Isaury! We Francji serial telewizyjny „Mały Lord Fauntleroy” wprowadził na rynek imion zupełnie dotąd nie znanego Cedryka; zaś niekończąca się „Dynastia” wylansowała Lindę. Nawet piosenka Gilberta Bécaud „Nathalie” obrodziła paru tysiącami Natalii. Zjawiska takie bywają choć wcale nie muszą być, efemeryczne. Zależy to w znacznej mierze od początkowej siły eksplozji. Jeżeli nowe imię przekroczy pewien próg ilościowy, staje się swojskie, co wróży mu co najmniej dłuższe trwanie, gdyż żywy jest zwyczaj nadawania dzieciom imion krewnych, powinowatych i przyjaciół. A skoro ukochana ciotka nazywa się Isaura...

Są też procesy głębsze i przypuszczalnie trwalsze. Należy do nich na przykład amerykanizacja, dotycząca nie tylko MacDonalda i Coca-Coli, ale także imion. Systematycznie, z roku na rok powiększa się w zachodniej Europie, a także w Polsce, liczba dzieci noszących takie imiona jak: Audrey, Cindy, Géraldine, Jennifer, Jimmy, Kevin, Sandra, Tony w miejsce Antoniego etc.

Wyraźna staje się też na giełdzie imion internacjonalizacja. Granice przestają istnieć nie tylko dla handlu i podróży. W ostatnich dziesięciu – dwudziestu latach coraz częściej pojawiają się we Francji imiona skandynawskie: Eric, Olaf, Ingrid; słowiańskie: Serge (Sergiusz), Natacha, Nadia, Dimitri, Boris; czy hiszpańskie: Manuel w miejsce Emmanuela, Elvira etc.

Są też imiona, na które pada gwałtowne odium, nieraz tak wielkie, że prawie znikają z obiegu. Zacytujmy Adolfa (gdyż Hitler), który po wojnie zanotował w całej Europie spadek rządu 97 procent. W Niemczech przegrał z kretelem Sepp jako nazbyt nacjonalistyczno–germański albo wręcz SS–mański (Sepp Dietrich). We Francji, w miarę utrwalania się ustroju republikańskiego – niebywałego upokorzenia doznał Ludwik (Louis) uznany za imię reakcyjne, monarchiczne, z Ancien Régime związane.

Z tym Ludwikiem (jeszcze raz naprawdę nie dlatego, że ja się tak nazywam) to wielce ciekawa i charakterystyczna sprawa. W dzisiejszej Francji sytuuje się on, wliczając wszystkie kategorie wiekowe – ale nie zapominajmy też o piramidzie wieku – dopiero na 29. miejscu. Czołówka przedstawia się następująco:

1. Michel (Michał)
2. Jean (Jan)
3. Pierre (Piotr)
4. Andre (Andrzej)
5. Philippe (Filip)
6. Alain (Alan)
7. Jacques (Jakub)
8. Bernard
9. René (Renat)
10. Daniel

A przecież nie zawsze tak bywało. W znakomitej pracy francuskich znawców historii imion Philippe Besnarda i Guy Desplanques’a „Un prénom pour toujours”, Paryż 1986, odnajdujemy doskonale opracowany zestaw statystyczny imion najczęściej nadawanych w kolejnych dziesięcioleciach. Nie chcemy zanudzać, więc tylko skacząc po dziejach:

1890-1899: 1. Ludwik

2. Piotr
3. Józef

1910-1919: 1. Jan

2. Andrzej
3. Piotr

1940-1944: 1. Michał

2. Jan-Klaudiusz
3. Jan

1965-1969: 1. Krzysztof

2. Filip
3. Wawrzyniec

1980-1984: 1. Mikołaj

2. Julian
3. Sebastian

4. Mickaël (tak, tak – nie Michel, ale taka właśnie forma Michała).

Taki drobny, wyrwany z ciągłości i ograniczony do karykaturalnego minimum fragmencik czołówek statystyk – a ile już można z niego wyczytać! O upadku Ludwika była już mowa. Lata I wojny światowej związane z porywem rozpaczliwej dewocji dają awans ortodoksji i apostołom. Rok 1968 wraz z jego anarcholewicowymi mrzonkami umieszcza w czołówce chłopsko–proletariackiego Wawrzyńca. Nagle pojawia się Mickaël (i to wcale nie z powodu Jacksona). Nie ma go wcale w latach, kiedy amerykańskie i angielskie wojska niosły Francji pomoc i wyzwolenie podczas II wojny światowej. Nie ma wtedy w pierwszej trzydziestce żadnego anglosaskiego imienia. Cóż więc w rzeczywistości triumfuje na tym świecie? Tragiczne wojny czy supermarkety?...

Lektura pierwszej czwórki imion najczęściej występujących dzisiaj we Francji skłaniać może do stwierdzenia, że właściwie u nas podobnie: Michał, Jan, Piotr, Andrzej. Otóż wydaje mi się, że wcale tak nie jest. Mieszkając we Francji i nie mając dostępu do polskich źródeł administracyjnych, robiłem swoje małe obliczenia na podstawie listy piłkarzy polskich I i II ligi, zamieszczonej w „Przeglądzie Sportowym” jako tak zwany „Skarb Kibica”, a obejmującej imiona i nazwiska ponad tysiąca mężczyzn w wieku od 18–34 lat. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że nie jest to żadna próba reprezentacyjna ani społecznie, ani zawodowo. Wskazywać może jednak na jakiś trop. I oto przez kolejne trzy lata na pierwszym miejscu pojawiała się imię Dariusz. Dariusz – imię starożytnych królów perskich, pochodzące od staroperskiego *darajawachus* – mający majątek, posiadający dobra. Nie ma nawet świętego Dariusza. Co najwyżej święta Daria, żona Chryzanta, ukamienowana wraz z mężem za wiarę za panowania cesarza Dioklecjana... We Francji Dariusza nie ma nawet w pierwszej setce imion. Więc skąd ten Dariusz między Odrą i Bugiem? – Nie wiem, doprawdy nie wiem. Podobnie – jak nigdy nie udało mi się dojść, dlaczego moja mama – wilnianka urodzona w Witebsku – nazywa się Elwira. Jaka kryje się za tym rodzinna tajemnica? – A jaka społeczna tajemnica kryje się za Dariuszem? Nie ma po co szukać Atlantydy. Największe i najciekawsze sekrety są wokół nas, na wyciągnięcie ręki.

I już tylko, dla równowagi płci i żeby nie być posądzonym o antyfeminizm, lista imion kobiecych najpospolitszych dziś we Francji. Ot, tak – tytułem ciekawostki:

1. Marie (Maria)
2. Monique (Monika)
3. Isabelle (Izabela)
4. Jeanne (Joanna)
5. Françoise (Franciszka)
6. Catherine (Katarzyna)
7. Sylvie (Sylwia)
8. Nathalie (Natalia)
9. Jacqueline (Jakubina?)
10. Jeannine (Janina).

Z tych wszystkich imion najbardziej lubię: Barbara – bo tak się nazywa moja miłość, która jeszcze dodatkowo jest moją żoną. Barbara – czyli barbarzynka. Egzotyka, spontaniczność i szal.

Kanapa i inne słowa

Lata osa koło nosa. To jeszcze od biedy można wytrzymać. Przypomnijmy sobie jednak upojne letnie noce, kiedy rozlega się nad nami nagle uprzykrzone bzykanie. Komar zbliża się i oddala, raz jest przy lewym uchu, to znowu przy prawym. Ani go w ciemnościach trafić, ani zasnąć nie sposób. Zapalamy światło – komar znikł. Gasimy światło – upiorne bzzz... rozlega się znowu. Nie my jedni byliśmy ofiarą gada. Już starożytni Grecy...

Grecy poszli po rozum do głowy i wynaleźli moskitierę. Ponieważ komar to po helleńsku *konops*, więc też logicznie uzyskał nowy patent, miano *konopeion*. Rzymianie jak zwykle częściowo zmałpowali. Łacińskie *conopeum* to owszem, nadal moskitiera, ale również wszelkie kotary osłaniające łoża przed oczyma ciekawskich. Rzecz skądinąd nader praktyczna. I tak na przykład w średniowiecznych zamkach francuskich warty stały zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz możnowładczych sypialni. Wystarczyło jednak rozwiązać kokardkę i aksamitna materia (zwana już teraz *conopé* lub *canapé*) otulała legowisko ze wszystkich stron. Arystokratyczne bara-bara mogło się rozpocząć.

Zmieniają się jednak mody. XVIII-wieczny libertynizm zadał śmiertelny cios sypialnianym zasłonom. Po pierwsze – mniej się już bano wszechobecności podstępnego sztyletu, więc służba wyrzucona została na korytarz. Po drugie – kochać się teraz wypadało w pełnym świetle. Łatwiej się jednak pozbyć kotar niż natrętnego słowa. Odziedziczył je odsłonięty brutalnie, nagi mebel. Z biegiem lat będzie *canape* zmieniać kształt i użytek (stanie się głównie wieloosobowym fotelem). Pozostanie już jednak kanapą. Gdy wyciągniecie się w niej w upojną letnią noc i rozlegnie się nad wami znowu skandaliczne bzykanie, będziecie już wiedzieli: wrócił swój do swego. *Konops* do KANAPY.

Kapa to po polsku narzuta na łóżko lub tapczan, derka na konia lub szata liturgiczna w kształcie peleryny zapinanej pod szyją na klamrę. Ta ostatnia najbliższa jest dawniejszych znaczeń. Staropolska kapa, o czym przypomina dziś jeszcze „kapota”, to habit mnisi („Mnichem być, wzięwszy kapę” – pisał Wacław Potocki) lub po prostu płaszcz – średniowieczna *cappa*.

Lat temu 1650 niejaki Marcin z Sabrii, oficer rzymski, pełnił służbę w Ambianum (dzisiejsze Amiens). Wracając pewnego razu do garnizonu spotkał u bramy miasta drżącego z zimna, półnagiego włóczęgę. Niewiele myśląc, był już wtedy katechumenem, zdjął wojskowy płaszcz, przeciął mieczem i połowę rzucił nędzarzowi. Następnej nocy objawił mu się we śnie Chrystus odziany w połowę kapy. – Byłem zmarznięty – powiedział – ale katechumen Marcin ogrzał mnie swoim płaszczem. Przyspieszyło to decyzję młodego żołnierza. Wkrótce zdezerterował, przyjął chrzest i uzyskawszy godność biskupa Tours, przeszedł do hagiografii jako święty Marcin z tego miasta. Wróćmy jednak do Amiens.

Po śmierci Marcina w miejscu jego świątobliwego uczynku dzieć się poczęły rozliczne cuda. Chorzy ciągnęli tłumnie, by dotknąć odnalezioną połówkę kapy (źródła nie precyzują, której), co wiele leczyło dolegliwości. W górze, na niebie, ukazywała się rozżarzona kula... Nic dziwnego, że królowie frankijscy postanowili uczcić relikwię. Wybudowano zadaszone pomieszczenie, w którym złożono niezwykle płaszcz. Przylegający doń podłużny barak chronić miał pielgrzymów przed kaprysami pogody. Całość nazwano płaszczowiskiem – *capelle*. Budowle wznoszone ku czci innych już zupełnie świętych, z garderobą nie mających nic wspólnego, zachowały miano. Takie były początki KAPLICY.

Dużo mniej pobożna jest historia KONGRESU. Łacińskie *congressus* oznacza według dystygowanych słowników: stosunki towarzyskie, obcowanie. Pozwólmy sobie odeufemizować język filologów. Chodziło po prostu o spółkowanie. – Czy pójdzie pani ze mną pokongresować – pytał Rzymianin Rzymiankę. A ona na to: *blandire* i owszem, ale *congressus* po ślubie!

U schyłku renesansu *congressus* wyspecjalizował się znacznie. Stał się nazwą konsylium, złożonego z medyków i doświadczonych matron, stanowiącego o wydolności seksualnej panów–małżonków, przeciw którym wniesione zostało umożliwiające unieważnienie związku oskarżenie o impotencję. Pozwanego poddawał kongres próbom(!?), by następnie, po naradzie, wystawić mu odpowiedni certyfikat. Procedura owa skasowana została we Francji dopiero w roku 1677.

Jak zwykle – podmiot zniknął, lecz nazwa została. Stosować się teraz zaczęła do grona specjalistów dyskutujących niekoniecznie już nad impotencją, ale jakimkolwiek zgolał tematem. Jednym krokiem znaleźliśmy się we współczesności. Znając jednak obyczajowość panów na delegacji, kongresów uczestników, z dumą przyznać możemy, że nie ginie rzymska tradycja. Kongres renesansowy byłby na dzisiejszym bezrobotny.

Humor-oris to po łacinie: wilgoć, płyn, ciecz. Co ma on do naszego złego lub dobrego humoru? Rzecz jest stosunkowo prosta, ale nie mniej przez to przewrotna. W czwartym wieku przed naszą erą – nie był w tym pionierem, ale jego dzieła akurat znamy – ustalił Hipokrates, iż na kształt wszechświata zorganizowanego przez cztery elementy: ogień, wodę, ziemię i powietrze – organizm ludzki opiera się na istnieniu czterech podstawowych cieczy, czyli humorów: krwi czerwonej (powietrze), czarnej żółci to jest krwi żyłnej (ziemia), żółci (ogień) i śluzu (woda). Równowaga tych cieczy (*eukrazja*) gwarantuje dobry stan zdrowia. Zaburzenia w niej (*dyskrazja*) są przyczyną chorób. To wtedy właśnie trzeba popuścić pacjentowi krwi, albo przystawić pijawki. Z przewagi jednego z humorów wynika określony temperament: sangwiczny, flegmatyczny, choleryczny lub melancholiczny.

Ścisłe medyczna ta teoria spodobała się wielce Benjaminowi Jonsonowi, angielskiemu

poecie, dramaturgowi i aktorowi, ale przede wszystkim, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, reżyserowi. Miał on już święcie dość antycznych koturnów i symboli. Chciałby czegoś z krwi i kości. Lektura Galena, ucznia Hipokratesa, staje się dlań oczekiwany natchnieniem. A gdyby tak skonfrontować na scenie reprezentantów wszystkich czterech humorów – zabawa murowana! Tak powstają „Every Man in His Humor” (1598) i „Every Man out of His Humor” (1599). Obie te sztuki, acz druga z nich wydaje się po czterech wiekach nudna przeraźliwie, są komediami. Niepostrzeżenie płynny humor wiąże swoje imię z wesołością i śmiechem. I tak już zostanie. Jedni Francuzi będą się rozpaczliwie opierać. Jeszcze w 1762 pod hasłem „humorysta” czytamy w słowniku Akademii: „znawca soków organicznych”. Słowo w angielskim znaczeniu ukaże się dopiero w słowniku Littrého z 1864. Tym razem zabrakło żabojadom poczucia HUMORU.

Dzieje COCKTAILU warte są przypomnienia ze względów dydaktycznych.

Każde dziecko słyszało o koniach pełnej krwi, koniach półkrwi i beznadziejnych naszych szkapach – o to ostatnie zadbała już Maria Konopnicka. Nie jest też tajemnicą, że z krzyżówki naszej szkapy z samym nawet zwycięzcą Derby nic dobrego nie wyrośnie. Okrutny człowiek podzielił więc biedne zwierzęta na klasy płci. Pełnemu wolno tylko z pełną, połówce z połówką, szkapa niech sobie szuka byle perszerona. Żeby, broń Boże, nie zdarzały się pomyłki, przyjęli hodowcy na wyspach prosty znak rozpoznawczy. Koniom rasowym pozostawiono ich piękne, rozwiewające się w galopie ogony; koniom-proletariuszom przycinano je kilkanaście centymetrów od zadu. Żalosalne pozostałości po ogonie końskich odrzutków kójarzyły się pogardliwie estetom z kogucimi piórami. Stąd też nazwa owego bękartego eks-ogona *cocktailed*, co przełożyć by się może dało jako: „ogonskogutowany”.

Z koni niższego rzędu przeszło określenie *cocktail* na ludzi, podobnie społecznie zakwalifikowanych: małych złodziejasków, oszustów, szulerów, rajfurów... Stąd krok już tylko do spelun i alkoholu. Jest zaś chyba oczywiste, że alkohol wymieszany z innym płynem, choćby też mającym procenty, do czystej rasy pretendować nie może. Staje się plebejuszem wśród trunków. Ot, koktajlem po prostu. Niech was nie zmylą szumne nazwy „Margueritta”, „Cardinale”... Ani to, że chleją to świństwo nawet i bogacze. Bękart pozostanie bękartem, choćby miał diamenty, a nie ocukrzona plasterki cytryny przyklepione na kieliszku.

Ktokolwiek będzie w San Gimignano koło Florencji lub w bawarskim Rothenburgu, niech nie zapomni zwiedzić tamtejszych muzeów tortur. Tam dopiero zobaczy, że zasługujemy w pełni na dumny tytuł *homo sapiensów*. Pomysłowość ludzka jest niewyczerpana. Nie ma doprawdy ani kawałeczka naszej cielesnej powłoki, którego nie dałoby się sponiewierać.

Ogniem, wodą, kluciem, szarpaniem, ściskaniem, naciąganiem... Niech się schowa *sir* Watt ze swoją maszyną parową. Taka żelazna baba – to jest dopiero naukowy wyczyn. Wsadzało się do niej gościa i wolno zamykało opatrzone skierowanymi do wewnątrz żelaznymi kolcami drzwiczki. Kolce tak miały dobraną długość, że wbijały się po kolei w coraz to czulsze organy, dopiero na końcu wrażając się w oczy. Jednak dwa szpikulce zbliżające się powoli do źrenic widział przesłuchiwany od samego początku. I oczywiście w każdej chwili mógł zacząć zeznawać, co powstrzymywało ruch narzędzia. Tu już nie tylko anatom się kłaniał, to również początki naukowej psychologii.

Taki sympatyczny sposób prowadzenia śledztwa określany był we Francji terminem *gehine*, co wywodzi się z frankijskiego: *jehjan* – *przyznaj się!* Odpowiedniki znajdujemy również w staroniemieckim: *jehan* i staroprowansalskim: *gequir*. Wyłamali się tylko Włosi, u których *gechire* oznacza zaledwie: upokarzać, upadlać.

Bliskość fonetyczna, a i ideologiczna w pewnym sensie, sprawiła, że *gehine* poplątała się już w XVI wieku z *gehenną*. Słowa te używane są odtąd, w odniesieniu do tortur, wymiennie lub tworzą zbitki językowe, jak na przykład *geyne*, *gehne* etc. Dla przesłuchiwanego nie ma to oczywiście większego znaczenia. Istotne jest dla niego coś innego. Oto począwszy od połowy XVIII wieku sądownictwa krajów europejskich usuwać zaczynają tortury z repertuaru swoich środków śledczych. Żelazna baba odchodzi na bezrobocie. Nie ma już podmiotu, więc słowo zmienia sens.

Geyne oznacza teraz cierpienie duchowe, psychiczne; wkrótce, już jako *gêne*, po prostu psychiczny dyskomfort. Pamiętam, jak pewien znajomy zwierzał się kiedyś mojemu ojcu, że cierpienia fizyczne są niczym wobec psychicznych. Ojciec pokiwał przecząco głową: – „Ja jednak wolałbym psychiczne”. Zgadza się z nim w pełni. Wolę być ZAŻENOWANY na współczesną modłę.

Kartofel

Nie wiadomo właściwie – kartofel czy kartofla... U Mickiewicza (a profesor Konrad Górski twierdzi, że to właśnie z dzieł wieszcza czerpać winniśmy wzorce poprawnej polszczyzny) jest kartofla. „Kartofla filozofka w inne pójdzie ślady: – Dobroci jej tysięczne ujrzy świat przykłady”. Jest to zgodne z naszą intuicją językową, która obiekty łagodnie zaokrąglone widzi przeważnie w rodzaju żeńskim. Stąd góralska grula czy poznańska pyra. Z drugiej jednak strony – wulgarny ziemniak... Wbrew sentymentom i instynktownemu poczuciu piękna pozostaniemy więc przy bezdusznej wersji męskiej.

Pierwsze kartofle dotarły z Peru do Europy (wyjątkowo znamy precyzyjną datę) 10 kwietnia 1525. Dokładnie tego samego dnia odbywał się w Krakowie Hołd Pruski. Z początku nie zrobiły większej kariery. Król Hiszpanii Filip II wysłał wprawdzie papieżowi Piusowi V parę egzemplarzy jako lekarstwo; jednak Ojciec Święty po spożyciu żadnej ulgi nie poczuł. Rzecz poszła we wstydlive zapomnienie. Dopiero w 1783 zachęcił Filip Baldini lombardzkich wieśniaków do uprawiania egzotycznej byliny. I wtedy wszakże nie stała się ona we Włoszech żadną konkurencją dla odwiecznego makaronu.

Najszybciej przyjęły się kartofle w Irlandii i w Niemczech. W drugim z tych krajów służyły jako karma dla świń, nędzarzy i... jeńców wojennych. Przypadek zdarzył, że w 1757 wpadł w ręce niemieckie zdolny pigularz, ale mierny wojak – niejaki Antoni Augustyn Parmentier. Jego francuscy towarzysze niedoli jedząc kartofle rzygali, ciężko chorowali, a nawet (*sic!*) umierali. Parmentier miał jednak wyjątkowo pozytywny stosunek do życia. W tajemnicy przed rodakami robił eksperymenty. A to przypalił kartofelek na wolnym ogniu, a to go usmażył na sprzedanym przez skorumpowanego strażnika kawałku słoniny... Wreszcie zasmakował.

Powróciwszy do ojczyzny stał się prorokiem kartofla. Niestety, prorokiem na puszczy. Zupę według jego receptury (był wynalazcą kartoflanki) wyrzygiwali żebracy przed kościołem Saint-Germain-des Prés (tam stał kościół) ku zgorszeniu i obrzydzeniu przechodniów. Wreszcie zdesperowany proboszcz, którego opuszczać zaczęła nie lubiąca się ślizgać w wymiocinach mieszczańska klientela, co wyraźnie odczuć można było przy podliczaniu dochodów z tacki, wyrzucił Parmentiera wraz z kotłem na zbity pysk.

Trzeba było wielu długich lat, by zrozumiał Parmentier, że mody nie lansuje się od dołu. Po długich staraniach uzyskał audiencję u Ludwika XVI i wręczył mu sadzonkę. Samo warzywo Jego Królewskiej Mości specjalnie nie zainteresowało. Spodobał mu się natomiast kwiatek. O, błogosławione kaprysy możnych tego świata! Król zerwał kartoflane kwitnienie i przypiął je do królewskiego kapelusza. Dworzanie zamarli z zachwytu. Nadworny ogrodnik zasadził natychmiast w Wersalu cztery grzędy nowej dekoracji.

I żyłby sobie kartofel spokojnie między różami i piwoniami. Niestety, widmo historii krążyło już nad Europą. Już padła Bastylia, już wdziera się głodniały lud do Wersalu!... I cóż tam widzi – ależ smakowite jabłka ziemne (*pommes de terre*), które chciał złowrogi tyran ukryć przed narodem. Doprawdy, nie ma nic straszliwszego nad egoizm krwiopijców! My

jednak, dzieci rewolucji, oddamy narodowi, co do niego należy. Wolność – równość – braterstwo – kartofel. Tak staje się kartofel jądłem rewolucyjnym i postępowym. Höbert chciał wydzierać szlacheckie winnice i sadzić na nich symbol jutrzeńki dziejów... Ustawą z 21 *ventôse* roku III nakazują władze Paryża przekształcić ogrody Tuileryjskie w pole ziemniaków. Parmentier (jakby go dobrze zlustrować – rojalista i starorzymowiec) mianowany zostaje pierwszym agronomem Republiki. Chwile największej chwały przeżyje jednak za Napoleona I, podniesiony do rangi generalnego inspektora zdrowia. Leczył oczywiście – stara miłość nie rdzewieje... – kartoflami. Dzisiaj ma w Paryżu aleję i stację metra swojego imienia.

Drogi czytelniku! Wiedz, że bodaj żaden z pokarmów, które pochłaniasz w piątek i świętek, nie ma tak jednoznacznej politycznej wymowy jak kartofel. Jedząc *puree* głosujesz właściwie na Leszka Millera.

I jeszcze rzecz jedna. Młody racjonalizator wynalazł ostatnio w Belgii frytki ośmiokątne. Podobno dużo smaczniejsze od kątnych zaledwie sześćcio. Jak to jest, tak jest – każdy ma prawo do własnego, subiektywnego gustu. Najpoważniejsze jądłem się zajmujące instytuty potwierdziły wszelako, że jest frytka ośmiokątna korzystniejsza dla naszego zdrowia, a wręcz nieunikniona w iluś tam przypadkach...

Nie tylko rewolucja... Nauka też nie zna granic!

Kawior

Kawior, jak wiadomo, jest to ikra ryb jesiotrowatych (kawior czarny), łososiowatych (kawior czerwony), a nawet dorszowatych (kawior norweski). Oczywiście, nie będziemy się poniżać. Obchodzi nas tylko kawior właściwy, znamienity i królewski – rosyjski lub irański czarny kawior z jesiotrów Morza Kaspijskiego.

Dwa razy w roku wewnątrz jesiotra napęcznieją ilości ikry przekraczającymi 10 procent wagi jego ciała: wczesną wiosną i na początku jesieni. Niech się jednak nikomu nie wydaje, że mógłby sięgnąć z wędką lub zarzucić sieci i tak sprokurować sobie materiał wyjściowy. Nic biedniejszego! Ryba na haczyku czy w sieci miota się i cierpi. Jesiotr zaś w stanie stresu wydziela od razu rodzaj adrenaliny, która zakwasza jaja i nadaje im nieprzyjemny, jakby gnilny zapach. Cała robota na nic.

Wielką i wręcz metafizyczną tajemnicą kawioru jest to, iż musi on pochodzić z ryby szczęśliwej. Czując, że nadchodzi czas wydalenia ikry, czyli, antropomorfizując – szczęśliwego właśnie rozwiązania – kierują się jesiotry w kierunku pobliskich delt rzecznych, aby pozostawić ikrę w wodach słodkich niezbędnych do rozwoju potomstwa. Tutaj właśnie czekają na nie rybacy. Sprytnie blokując odnogi rzeki skierowują stada zwierząt do płytkich kanałów, wzdłuż których ustawione są pomosty. Umiejętny cios pałką w tył głowy i ryba zostaje znieczulona. Jej system nerwowy nie ma czasu wydać sygnału stresowego. Dopiero teraz przystąpić można do dalszych operacji i wydobycia ikry. W największym skrócie podsumowuje to wszystko nadkaspjskie powiedzenie: „Kawior musi być uśmiechnięty”.

Rosjanie znają czar smaku kawioru od XVI wieku, kiedy to podbili (1558) Chanat Astrachański. Na to, że poznali się na nim od razu, mamy jeden nieodparty dowód. Oto gdy w roku 1670 wpada Astrachań w ręce zbuntowanych chłopów pod dowództwem Stienki Riazina (tego od „Wołga, Wołga, mać radnaja”) – co wydziera sobie tłuszcz? – Słoje „pańskiego kawioru”. I wyje z zachwytu. Już wtedy miał więc kawior rangę wyrafinowanego, arystokratycznego przysmaku. Wkrótce staje się ambrozją carskiego stołu. Poza Rosją, Persją i wschodnimi kresami Rzeczypospolitej jest jednak nadal zupełnie nie znany.

Podczas noworocznej audiencji w 1720 roku ofiarował ambasador rosyjski Ludwikowi XV inkrustowane szmaragdami pudełko z kawiolem. Degustacja nie wypadła najlepiej. W chwilę po przełknięciu łyżeczki podarku, zaczął król gwałtownie pluć, aż wreszcie wymiotował na kwiecisty dywan (dar posła tureckiego, co mogło w jakimś stopniu pocieszyć carskiego dyplomatę). Przykład idzie z góry. Egzotyczny przysmak został zdyskwalifikowany i przez następne dwa wieki nikt o nim we Francji nie słyszał.

Sytuacja zmieniła się wraz z masowym napływem do Paryża rosyjskich białych emigrantów spragnionych wódki na zalanie robaka, a do wódki – oczywiście kawioru. Najlepsze interesy robi się zawsze na narodowych tragediach. Dwaj sprytni ormiańscy bracia Petrossian, sami do niedawna carscy poddani, docenili nadarzącą się okazję. Co tam medycyna i palestra – a takie były do tej chwili ich profesje – będziemy importować kawior! Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

– No, bo gdzie jest kawior? – W Rosji. A tu nawet Rosji nie ma, tylko bolszewicki chaos. Najskuteczniejsze są metody najprostsze. Siedli dwaj bracia do telefonu. O dziwo! – za którymś razem uzyskali połączenie.

– Halo, halo, czy Kreml?

– A kto mówi?

– Bracia Petrossian z Paryża.

– Z Paryża? A z kim chcecie mówić?

– Z ministerstwem handlu zagranicznego. Macie chyba takie ministerstwo?

– Owszem, ministerstwo jest, ale nie ma nic do sprzedania.

– Ale my jednak chcemy kupić...

– Co?

– Kawior.

– Kawior? Kawior... Proszę się nie rozłączać. Prosimy pozostać na linii...

Przywołany do słuchawki urzędnik radzieckiego ministerstwa handlu zagranicznego mało się nie popłakał z radości. W czasach powojennego spustoszenia bezcenny był każdy grosz. Cóż dopiero mówić o dewizach umożliwiających zakup setek nie istniejących już w Rosji towarów. Zresztą komunizmu nie buduje się na puszkach kawioru.

– Kawior. Dobrze. Ale kupujecie zaraz, dużo i płacicie z góry.

– Będzie zapłacone z góry. W dolarach.

– To możecie uważać, że transporty już ruszyły.

– A kwestia pierwszeństwa zakupów?

– Mniejsza o szczegóły. Chcecie, to bierzcie monopol...

– Bierzemy monopol.

– Powodzenia, towarzysze.

– Powodzenia.

Autentyczność tej rozmowy poświadczyla w pamiętnikach nieżyjąca już telefonistka z Kremla, którą wdzięczni bracia Petrossian odnaleźli i zrobili swoją przedstawicielką w Związku Radzieckim.

Wkrótce docierać zaczęły do Paryża przemysłowe ilości kawioru, przez pierwsze lata zgoła zresztą nie clonego, gdyż fiskus francuski nie miał takiej pozycji na swoich listach. Ubożająca i deklasująca się biała emigracja szybko stała się niewystarczającym klientem. Trzeba było za wszelką cenę rozszerzyć sferę popytu.

I oto na Wystawie Gastronomicznej 1922 w Grand Palais wznoszą bracia Petrossian ogromny *stand*. Kawior w beczkach, kawior w słoikach, kawior na talerzach. Każdy może jeść i zapijać, ile chce. Za darmo! Dookoła dyskretnie ustawione spluwaczki. Spluwaczki były pełne, ale sukces jeszcze pełniejszy. Kawior się przyjął.

Dzisiaj, o czym doskonale wiedzą polscy przemytnicy (acz coraz mniej to opłacalna kontrabanda), jest kawior poczytywany w krajach Europy Zachodniej, szczególnie w klasach

średnich, za wyrafinowaną i wykwintną przystawkę, której obecność dodaje stołom pieprzyku i splendoru.

Krótko mówiąc: z kawiolem tak jak z życiem. Jedni się nim delektują a inni rzygają.

Zaś potomkowie braci Petrossian miewają się dobrze. Dla kogo jak dla kogo, ale dla nich bez wątpienia okazał się jesiotr najszcześniejszą z ryb.

Kąpiel

Starożytni Grecy byli narodem wysportowanym. Toż to oni w końcu wynaleźli olimpiady. Oprócz olimpiad było i wiele innych (szczególnie w Sparcie) imprez o charakterze – jakbyśmy dziś powiedzieli – sportowym: konkursy zapaśnicze, walki ćwiczebne z użyciem różnego rodzaju broni, wyścigi rydwanów, różne formy rywalizacji myśliwskich etc. Na długiej liście greckich rozrywek atletycznych jednej, choć wydawałoby się, że naturalnej i oczywistej, konkurencji nie znajdziemy: pływania. Owszem, pływają poławiacze pereł, zapewne pływać umieli niektórzy rybacy i marynarze. Jest to jednak element powinności zawodowych, a nie rozrywka, ani tym bardziej przyjemność.

Podobnie w Rzymie. Baseny czy sadzawki przy willach patrycjuszów są jednoznacznie płytkie. Można w nich moczyć nogi, można się ochłodzić, ale na pewno nie popływać, ani nawet porządnie się umyć. Pospółstwo nurza się w Tybrze, który zresztą jest już wtedy ściekiem. Kąpiące się w Ostii żony i nałożnice bogaczy noszą, sądząc po mozaikach z Yilla Amerina, kalessy do kolan i przepaski osłaniające mniej więcej piersi. Kapać zdarza się im jednak raczej rzadko. Nadmorska Ostia pełni w Cesarstwie bardziej funkcje Las Vegas niż kąpieliska.

Również i średniowiecze nie gustuje specjalnie w wodzie, ani dla celów higienicznych, ani wypoczynkowych. Mycie się jest dla rycerza zniewieściałością. Nie myją się ani templariusze, ani rycerze z Calatravy. Mają ku temu, jak się rzekło, powody ideowe. Słynny rycerz i warchoł Robert d'Artois jest z kolei pragmatyczny. Nie poddaje się ablucjom, aby nie zmyć potu, którego zapach podnieca i przyciąga kobiety. Nieliczne łaźnie miejskie goszczące gołą i koedukacyjną klientelę są na ogół lupanarami po prostu i nic dziwnego, że przestają praktycznie istnieć w czasach wielkiej XVI-wiecznej epidemii syfilisu. W rzekach moczy się średniowiecze obu płci nago. Rzadko jest to kąpiel w naszym dzisiejszym rozumieniu. Najczęściej bieganie wzdłuż brzegów, chlapanie się wodą; krótkie, płytkie zanurzenie i powrót na ląd. Z punktu widzenia moralności publicznej jest to oczywiście najgorsza z możliwości. Wynurzone z wody wdzięki plażowiczów widoczne są wszakże nawet z... kościołów. Nic dziwnego, że kolejne władze tak we Francji, jak i w Niemczech zakazują takich igraszek w centrum miasta. W okresie reformacji kąpiel w miejscu widocznym albo uczęszczanym, jak i każdym miejscu nieosłoniętym karana jest w Szwajcarii grzywną z zamianą na plagi. Wreszcie, w XVII wieku we Francji, z inicjatywy Madame de Maintenon kobietom zakazuje się kąpiele w ogóle. Mężczyźni, na wzór Ludwika XIV, mają wchodzić do wody w koszulach, które zdjąć mogą dopiero wtedy, kiedy woda dojdzie im do pasa. Ciekawe, że sposobu wychodzenia z wody przepisy już nie precyzują.

Przenieśliśmy się tak łatwo ze średniowiecza w XVII wiek, gdyż w rzeczy samej w zwyczajach kąpielowych niewiele się w tym czasie zmieniło. *Idem* jeśli chodzi o sztukę pływania. Przypomnijmy dzieje śmierci rycerza nad rycerze – Zawiszy Czarnego (1428). Armia Zygmunta Luksemburczyka przeprowadza się za zgodą Turków na lewy brzeg Dunaju mającego w tym miejscu około 200 metrów szerokości, w tym głębokiego nurtu, na którym

człowiek nie gruntuje, około 100 metrów. W momencie, kiedy na prawym brzegu została już tylko ariergarda pod dowództwem Zawiszy, Turcy wypowiadają rozejm. Na razie jednak nie atakują, zadowolając się bombardowaniem łodzi po drugiej stronie. Zygmunt wyprawia ocalałą łódkę po Zawiszę, ten oczywiście szlachetnie odmawia opuszczenia towarzyszy broni. Wszystko to trwa. W tym czasie rycerze z tylnej straży mogliby spokojnie zdjąć zbroje, rozebrać się do rosołu i dotrzeć wpław na bezpieczny brzeg. Nie robią tego. Nie ma nawet takiego pomysłu. Są po prostu z pływaniem na bakier.

W niecałe dwa i pół wieku później ma miejsce krwawa bitwa pod Mątami między wojskami króla Kazimierza i buntownikami Jerzego Lubomirskiego. Mąty to dzisiaj brzydka, przemysłowa dzielnica Inowrocławia. Przepływała tędy w XVII wieku leniwa rzeczka, szerokości dwudziestu, miejscami do trzydziestu metrów, wliczając rozlewiska. I w tym to strumyku umiało się potopić kilkuset wepchniętych w jego koryto żołnierzy koronnych... Doprawdy, nie mieli nasi przodkowie dobrych stosunków ze słodkowodnym żywiołem. Nie tylko nasi zresztą. Pośród poborowych francuskich z lat pięćdziesiątych XIX wieku pływać umiało dwóch na stu. A w wojsku ich przecież potem tego nie uczono.

Wróćmy jednak do higieny. Szczyty brudu osiąga kultura europejska w postępowej epoce oświecenia. W 1770 istnieją w Paryżu (a łaźienki domowe są czymś zgoła nieznanym) zaledwie dwie łaźnie publiczne. Pod sam koniec wieku liczba ich wzrośnie do dziesięciu, z których każda liczyła od 10 do 15 wanien. Nadal uchodzą one jednak za miejsca prostytucji. Jako tako szanujący się obywatel, dla którego rzecz jasną kąpiel w rzece byłaby czymś niesłychanym – gdy wzięła go chętka na kąpiel, wypożyczał wannę do domu. Była to cała skomplikowana operacja wymagająca transportu narzędzia (czy może mebla?), zainstalowania go w salonie, ogrzania wody etc. Zdarzają się jednak czyściochy. Wiemy na przykład, że baron d'Epinau wynajmował wannę aż trzy razy w roku. Nie było to wcale dobrze widziane. Podręcznik dobrego tonu z roku 1782 zakazuje wręcz używania wody jako szkodzącej cerze. „Dla utrzymania czystości należy co dzień rano przetrzeć sobie twarz białym kawałkiem płótna”. Przyznać jednak uczciwie musimy, iż ten sam poradnik doradza wydlubywanie brudu z paznokci i poucza, że nie należy smarować w gołe palce ani w rękaw, w szczególności (*sic*) cudzy.

Łatwo się domyślić, iż w tej sytuacji wytworne towarzystwo wydzielalo z siebie dość intensywne zapachy. Pisze Boehn: „W czasie obiadu, wydanego w roku 1750 przez księcia de Chaulnes w Rouen, prezydentowa Cussy miała za sąsiada przy stole człowieka, który śmierdział tak nieznośnie, iż tego wytrzymać nie mogła, a gdy na prośbę tej pani oddalić się nie chciał, kazał go księżę aresztować”. Uzupełnijmy od razu tę relację. Rozgniewał księcia nie brud delikwenta, lecz fakt, iż przychodząc do niego na przyjęcie zapomniał się wyperfumować. Skądinąd prezydentowa Cussy uchodziła zawsze za jędrą i historyczkę.

Jakże słabe i przeważnie fałszywe mamy wyobrażenie o życiu naszych przodków. Rewolucja higieniczna to kwestia ostatnich trzydziestu lat XIX wieku. Na plażach w Dieppe pierwsi amatorzy kąpeli morskiej (z powodu jej rzekomych właściwości leczniczych)

pojawiają się pod koniec lat napoleońskich; przybywać ich jednak zaczyna dopiero od około 1880 roku. Sto lat temu nikt się jeszcze nie kąpał w Dębkach ani w Chałupach.

Pierwsze kursy nauki pływania zorganizowano w Bordeaux w roku 1913. Nie cieszyły się frekwencją. Człowiek nie ryba, żeby przemieszczać się w wodzie. A i rybka lubi pływać w czym innym.

Kot

„Najlepiej cicho siedzieć sobie w jamie,
A opatrzwszy zewsząd bez łośkotu
Ani być z kotem, ani przeciw kotu...”

Tak doradza biskup Ignacy Krasicki i trudno odmówić jego słowom zdrowego rozsądku. „Ani z kotem, ani przeciw kotu”. Kompromis, pluralizm, tolerancja... Cóż, kiedy należą do podgatunku *homo sapiens* kotów akurat nie znoszącego. Nie jestem w tym wstręście odosobniony. Podzielali go i święty Ludwik IX, król Francji, a mój patron, i Ludwik XIV, i Spinoza, i król polski Waław – Czeskim pospolicie zwany. Nie tylko oni.

„Kot – pisał około 1180 w «De nugis curialium» teolog angielski Walter Map – jest zwierzęciem ciemności, czyli piekła i potępienia. Nie kto inny niż przebrzydłe czarownice szerzące później śmierć, szkodę i zgorzenie całują koty pod ogonem”. Z kolei w „Contre les hérétiques de son temps”, dziele wydanym między 1189 i 1202, dowodzi Alain de Lilie, iż nawet nazwa heretyckich katarów wywodzi się od kotów: *chat–chathares–cathares*. Biskup Paryża Wilhelm z Owemii w 1231 widział na własne oczy, co poprzysiągł uroczyście przed trybunałem królewskim, samego Lucyfera w postaci czarnego kota. Nic dziwnego, że 13 czerwca 1233, w bulli „Vox in Roma”, potępia papież Grzegorz IX diaboliczne koty jako takie, które to oskarżenie podejmuje i przekonywająco uzasadnia Cezary de Heisterbach w „Dialogus miraculorum”. Spalony na stosie w Vesoul, w 1620 roku, Jean Boille zeznał, że właśnie koty skłoniły go do występkę i zaparcia się wiary. Rzecz tym bardziej zrozumiała, iż po francusku *la chatte* – kotka, oznacza kobiece włosy łonowe, a nawet cały wzgórek Wenery. Jean Boille mówił wprawdzie w śledztwie wstępnym o kotach burych, ale już po pierwszym przesłuchaniu z udziałem mistrza katowskiego przyznał, zgodnie z teologią, że jeszcze gorsze są czarne, które po prostu działały za pośrednictwem burych i łaciatych. Musimy z ulgą podkreślić, że sąd docenił sprostowanie grzesznika i w uznaniu jego prawdomówności zgodził się na uduszenie przed spaleniem.

Wspaniałomyślność ta nie mogła jednak, co jest chyba rzeczą oczywistą, obejmować samych kotów. 24 czerwca 1604 nakazuje więc król Henryk IV, ku czci świętego Jana Chrzciciela, spalenie na placu de Gréve beczki, czyli około setki kotów. Jest w tym kontynuatorem starej francuskiej i chrześcijańskiej tradycji. Niestety, w trakcie ceremonii, słysząc miauczenie kremowanych, następca tronu – późniejszy Ludwik XIII rozwrzeszczał się strasznie, żądając ulaskawienia. Racja stanu nie może się jednak ugiąć przed kapryсами małolatów. Koty dopalono do końca. Sam Ludwik XIII, kiedy dorósł i wziął w swoje ręce odpowiedzialność za losy kraju, też palił po beczulce mruczków przy okazji większych świąt. Przyznać mu jednak trzeba, iż dbał – wydał w tym celu specjalne rozporządzenia – żeby były to tylko koty najzupełniej czarne.

Drugim, obok Delfina, obrońcą skazanych okazał się na placu de Greve niejaki Antoine de Merves. Nie, nie chodziło mu o koty w ogóle, ale o jednego konkretnego zwierzęcia. Kroniki

przekazały nam nawet jego imię: „Milou”. Był czarny, acz z paroma białymi łatami, a przede wszystkim miauczał niezrównanym, najwspanialszym ponoć w Europie basem.

O co chodziło? – Rzecz prosta. Od średniowiecza po XVII wiek nic nie budziło większego zachwytu melomanów niż tak zwane kocie organy. Od dwunastu do dwudziestu czterech kotów (gama zależała od wrażliwości muzycznej organisty) wsadzano do małych skrzynek tak ciasnych, żeby zwierzęta nie mogły się ruszać. Przez odpowiednie dziurki wyciągano im ogony na zewnątrz. Ogony, żeby uzyskać przewidziany zestaw miauczeń, mógł teraz artysta pociągać, nakłuwać, przypalać lub obstukiwać odpowiednim młoteczkim. W 1549 takimi właśnie „organami” witała rada miejska Brukseli króla Hiszpanii Filipa II, który zachwycony był skalą kocich pień od altu do basu. Z tym że, i tu rozumiemy działania Antoine de Merves, o basy było zawsze najtrudniej. Wielki specjalista od „kocich organów” – dominikanin ojciec Kircher (zwolennik nakłuwania) starał się wyhodować kocie basy drogą tysięcznych eksperymentów. Kastrował, półkastrował (nie wiemy, na czym to dokładnie polega, ale tak nam sam relacjonuje), krzyżował rasy i okazy. Wszystko na nic. Okazuje się, że kot miauczający basem to taki sam dar Boży jak Pavarotti śpiewający tenorem. Z tą jedynie różnicą, że Pavarottiego nie trzeba bóć szpikulcem.

Złe by sobie wystawiał świadectwo, kto by wątpił w możliwości „kocich organów”. Na rzeczne powitanie Filipa II odegrały one sześć pieśni religijnych i dwa marsze wojskowe. Zdechł kot tylko jeden, że zaś kronikarz nie zatrzymuje się dłużej nad tym przypadkiem, domyślić się możemy, iż w jego skali miauczenia łatwo było znaleźć odpowiednie następstwo.

W Chinach, jak wiemy, koty są spożywane. Otóż tutaj, niestety, muszę Cię, czytelniku, rozczarować. Jedynie pośladki kocie gotowane w curry mają ponoć smak interesujący. Pozostałe pokocia (pochodne od podrobów) przypominają poślednie części wieprzowiny, niekiedy wręcz gotowane w nedorobionym sosie żeberka. Z tego więc punktu widzenia użyteczność kotów wydaje się minimalna. Poza tym kota trudno się pozbyć. Pamiętam w 1969 roku wypadek przed Uniwersytetem Warszawskim. Trolejbus (były wtedy jeszcze takie pojazdy w stolicy) uderzył starszą kobietę. Natychmiast zebrał się tłumek. Powodowany bezwarunkowym odruchem gapia chciałem i ja wetknąć głowę. Powstrzymał mnie od tego zażywny pięćdziesięciolatek opuszczający właśnie pierwsze szeregi zgromadzonych: „ – Panie, nie ma nic ciekawego... Baby i kota nie dobijesz...” Nie wiem, skąd czerpał ów anonimowy przechodzień swoją wiedzę. Jego opinię potwierdza jednak w całej rozciągłości, przynajmniej w części dotyczącej kotów, nie byle jaki autorytet, bo jeden z największych pisarzy japońskich Yukio Mishima (1925–1970, wydawał też pod pseudonimem Kimitake Hiraka). Opisuje bowiem detalicznie trudności w ukatrupieniu kota metodami chałupniczymi. Nie wystarcza, podług jego obserwacji, nawet rozcięcie scyzorykiem odwłoku zwierzęcia na całej długości; trzeba jeszcze poprzecinać jelita, przeciąć ścięgna, a jeszcze futerko się rusza. Mishimie można wierzyć, gdyż eksperyment z rozcinaniem odwłoku przeprowadził później na sobie samym, popełniając harakiri na żywo (zarówno w sensie anestezjologicznym, jak i dziennikarskim) w studio tokijskiej telewizji. I rzeczywiście – poszło łatwiej niż z kotem.

„Kot jest niewierny, fałszywy, pełen perwersji, które rozwijają się z wiekiem pomimo pozorów oswojenia. Kocha tylko interesownie, łąsi się tylko po to, żeby wykorzystać...” – twierdził słynny przyrodnik i filozof Georges Leclerc de Buffon.

Nic więc dziwnego, że bywa też kot symbolem władzy i polityki. Ale nawet w tej roli, w której występował w starożytnym Egipcie, powiązany był w systemie mitologicznym nie z Ozyrysem i słońcem, ale ze śmiercią, księżycem i bardzo dwuznaczną boginią Izis.

Chyba więc miał rację Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) pisząc:

„Aa, a, kotki dwa,
szare, bure obydwu.
Aa, a, kotki trzy,
Zjadły mózgi szare wszy.
Aa, a, kotki cztery,
Poszedł papa do hetery.
Aa, a, kotków pięć,
Mama czuje dziwną chęć.
Aa, a, kotków sześć,
Nieskończoność w szklance znieść”.

Choć jest też oczywiście i inna narodowa tradycja:

„Koci, koci łapci,
Pojedziem do babci...”

Pytanie tylko, czy babcia byłaby zadowolona i czy ktoś ją przedtem pytał o zgodę.

„Kot – jedyne zwierzę, któremu się udało oswoić człowieka” – napisał Marcel Mauss. Patrząc na ludzkość, chyba to on właśnie miał rację.

Niestety.

Krew

Markiz de Sourches wspomina w „Pamiętnikach”, jak przepychał się przez tłum dworzan, by przypaść do ręki Ludwika XIV. Niestety w powstałym zamieszaniu uderzył nosem w głowę jednego z lokajów. Buchnęła krew, plamiąc wąsy, brodę, a nawet kamizelkę markiza. Wezwany natychmiast medyk zaordynował markizowi... puszczenie krwi z nóg.

Nadworny medyk Karola IX i Henryka III (naszego Walezego), Leonardo Botallo (1530–1571), dowodzi, jak zbawienne jest popuszczenie krwi od czasu do czasu: „Im więcej wysze dziecko mleka z piersi matki, tym bardziej zapełnia się owa pierś nowym pokarmem. Nie inaczej jest z krwią. Im więcej jej puścimy, tym więcej nowej ciała wytworzy. Nie trzeba zaś chyba przekonywać, że krew świeża lepsza jest i zdrowsza od zużytej, skisłej i noszącej w sobie wszelkie minione choroby”. Spadkobierca jego idei, Jean–Alexandre Hecquet (1661–1737), stawia zaś kropkę nad „i”: „Puszczanie krwi jest niezbędne do życia”.

Puszczanie krwi staje się więc w XVI–XVIII wieku istnym panaceum. Medyk dworski Ambroise Paré odnotowuje, że puszczał krew choremu na grypę szambelanowi dwadzieścia siedem razy w ciągu czterech dni. Nie jest to bynajmniej rekord. Niejakemu panu Mentel, choremu na chroniczny katar, puszczano krew sto trzydzieści dwa razy. Dziennik Zdrowia Ludwika XIV („Le Journal de santé du roi Louis XIV, de l’année 1647 à 1711”) dowodzi, że wykonano na nim ów zabieg ponad dwa tysiące razy. Tak! – Dwa tysiące! Nie jest to żadne przejęzyczenie ani błąd korektorski.

Puszczaniem krwi leczono nawet syfilis. I to podobno z dobrym rezultatem, jak w przypadku Gabriela Vallope, u którego po trzydziestym dziewiątym puszczeniu krwi zniknęły wszelkie objawy tej nieprzyjemnej choroby. Inna sprawa, że umarł w dwa miesiące po wyleczeniu. Ale na zapalenie płuc.

Moda na puszczenie krwi trwa aż do końca XVIII wieku. Warto podkreślić, że jest ona uzasadniona podbudowana autorytetem naukowym najwybitniejszych lekarzy epoki. Nawet Molière, niemiłosiernie skądinąd wyszydający medyków, tego akurat zabiegu nigdy nie podał w wątpliwość.

Nowa, młoda krew i krew zepsuta, zużyta... Czyż można się w tej sytuacji dziwić wierze w wampiry? – Dracula, jak pamiętamy, wysysa tylko dziewice, a więc istoty nienaruszone i młode. Odświeżając tak permanentnie własną krew, zapewnia sobie wieczne zdrowie, a w konsekwencji nocną tylko – bo musi być kara za kłamanie niewinnych – ale jednak nieśmiertelność.

„Nasza krew”, „krew z krwi, kość z kości”, „mieć to we krwi” – wbrew pozorom nie były to wyrażenia przenośne. Krew odświeża się również w potomstwie. Nasza, specyficzna krew. Średniowieczna, renesansowa i jeszcze nawet oświeceniowa pregenetyka przekonana jest, że dziedziczymy poprzez krew. Jest więc rzeczą oczywistą, że krew krwi niepodobna. Pomijając już niuanse rodowe; inną krew mają cudzoziemcy, inną Żydzi, inną chłopci. Krew mieszana pozostanie na zawsze nieczysta, a więc podatna na wszelkiego rodzaju schorzenia. Mylili się

historycy marksistowscy upatrując w zakazach międzystanowych małżeństw li tylko wyrazu konfliktów klasowych. To także, a może przede wszystkim, kwestia biologii i hematologii.

„Mieszanie krwi – pisze Bernard de Savigny (XVII w.) – prowadzi zawsze do kalectwa albo szaleństwa. Niech nie myślą nasi nieroztropni panicze z wielkich domów, że zapładniając chłopki przyczyniają się do poprawy stanu populacji. Wszelkie badania wykazują, że potomstwo tak poczęte jest cherlawe, zidiociałe, a krew z nich puszczona ma kolor czarnawy i cierpki zapach, porównywalny z wonią koziego gnoju, aczkolwiek nieco bardziej kwaśny i drażniący nozdrza wachającego”.

Krew szlachecko–chłopskich bękartów jest więc „czarnawa”. Czyż można się dziwić, że krew arystokratyczna może być błękitna? – Tutaj od razu komentarz. W Polsce jest ona akurat błękitna, w innych krajach przybiera bardzo różne kolory. Chodzi o to, żeby była inna. Pisze godny zaufania kronikarz, że z piersi zranionego pod Poitiers 19 września 1350 króla Jana II Dobrego „krew uchodziła złotymi kroplami”. Z kolei Filip Piękny, gdy odnaleziono go śmiertelnie rannego w lesie, w którym polował na jelenie, „leżał w kałuży swojej podniosłej krwi, która mieniła się w słońcu kolorem rubinów”. I jeszcze święty Ludwik IX, lekko raniony (historycznie nieprawdziwe) pod Damietą, na którego pancerz kapały „srebrne krople krwi do łez miłosierdzia podobne”. Nie wiemy wprawdzie, czym różnią się „łzy miłosierdzia” od innych, wiemy wszakże na pewno, że krew ma taki kolor, na jaki się urodzeniem zasłużyło.

Przylepiając więc plaster na naszą skaleczoną prozę, obtarte kolano, palec przecięty przy patroszeniu kurczaka i widząc czerwony kolor tego, co się z nas wylewa, skonstatować musimy z bólem (bo ranka boli), że chcąc nie chcąc należymy do obozu komuchów.

Chyba żeby z nas wypłynęło coś niebieskawego. Ale tego nikomu nie życzymy.

Królik

Dlaczego „królik”? – Rzymianie widzieli w nim przede wszystkim zwierzę, które robi dziury w ziemi, stąd nazwali go *cuniculus*, co pierwotnie oznaczało chodnik podziemny albo szyb górniczy. Stąd włoskie *coniglio*, kastylijskie *conejo*, katalońskie *conill* czy portugalskie *coelho*. W średniowiecznej Francji nazywano go *connin*, co przejął staroniemiecki ze swoim *Kanin*, który stopniowo przekształcił się w *Koning*, a jeszcze później w *Kaninchen*. Zostałmy jednak przy *Koningu*, bo w czasie, kiedy tak właśnie nazywają zwierzę Niemcy, dociera ono do Polski. Słowo *Koning* zbliżone jest fonetycznie do *König* – król. Stąd też, przez pomyłkę po prostu, nasz „królik”.

Królik różni się od zająca licznymi aspektami anatomicznymi, ale też, i może przede wszystkim, obyczajami. O ile zając żyje sam lub z małżonką i lubi duże przestrzenia o tyle królik woli życie społeczne – stłoczony w podziemnych norach, które opuszcza tylko na dystans zasadniczo nie przekraczający 500 metrów. Z tymi pięciuset metrami rzecz jest doprawdy osobliwa. Otóż swoją europejską ekspansję zaczyna królik z Hiszpanii. Robert Delort zarecza, że można dokładnie datować przemarsz króliczy na wschód: po pół kilometra rocznie. Ani mniej, ani więcej. Za to wytrwale i konsekwentnie.

Gdziekolwiek pojawiły się króliki (przynajmniej od czasów, co do których dysponujemy źródłami pisanyymi), wybuchał od razu klasowy spór między myśliwymi, czyli ongiś szlachtą, a rolnikami, czyli chłopstwem. Dla szlachty zwierzę gnieźdzące się w pałacowym ogrodzie i nie oddalające się z niego, na które można więc zapolować podczas porannego spaceru, dostarczało sympatycznej, a i opłacalnej (futerko, mięso) rozrywki. Czym mógł być królik dla wieśniaka, ukazuje może najlepiej przykład australijski. Na Boże Narodzenie 1859 sprowadzono tu i wypuszczono w naturę dwanaście par królików. Zwierzęta, którym klimat australijski wyjątkowo zasmakował, nie tylko rozmnażały się błyskawicznie, ale na stachanowski wzór porzuciły europejskie normy i pędziły przed siebie z szybkością do trzech (*sic!*) kilometrów rocznie. Na swojej drodze wyżerały wszystko: uprawy, roślinność stepową, wreszcie korę drzew, które od tego usychały. Wobec setek milionów królików myśliwi byli bezsilni. Już w 1930 wypowiedziano więc najeźdźcom wojnę bakteriologiczną. Początkowo bezskuteczną. Dopiero w 1950 roku udało się uczonym zarazić parę królików odpowiednim wirusem. 20 czerwca 1952 doktor Armand Delille powtórzył ów eksperyment we Francji. Skutki były straszliwe. W ciągu dwóch lat padło tu i tam około 99,8 procent królików. Dopiero w 1954 pojawiły się osobniki uodpornione na zarazę. I tutaj kolejna królicza zagadka: pogłowie ich w Australii, podobnie jak we Francji, zrekonstruowało się do poziomu 23 procent stanu sprzed 1950. Kiedy jednak przekracza ten próg, wybucha od nowa epidemia... Rolnicy mogą być usatysfakcjonowani. Uczonym za to tęgiego zabija to do dzisiaj ćwieka.

Oczywiście błyskawiczne mnożenie się królików uczyniło z nich szybko i łatwo symbol seksualny. Dowodem słynne „Bunnies” z klubów „Playboya”. Przyjrzyjmy się jednak tej

symbolicznie bliżej. Co naprawdę reprezentuje kobieta–króliczek z naszego ulubionego miesięcznika?

Owszem, jest tu odwołanie do kopulacji. Ale jakiej? – Szybkiej i promiskuitycznej. Pełny ideał *macho*. Królik, jak wspomnieliśmy, jest domatorem, niejako do dyspozycji hodowcy albo myśliwego. Może być dowolnie konsumowany. A jednocześnie...

Podług przeprowadzonych we Francji w 1983 roku badań marketingowych 37 procent miejscowych pociech przedkłada królika nad misia. Królik jest bardziej puszysty, łagodny i nie ma swojego odpowiednika w groźnym niedźwiedziu grizzly, którym straszą westerny.

Na tym właśnie polega geniusz propagandystów z „Playboya” – schowawszy się za miłe w dotyku i sympatyczne zwierzątko, stworzyć wizję kobiety–obiekta. Uszka „Bunnies” to znacznie więcej niż pornografia; to upowszechnianie i utrwalanie obrazu płci uległej i służebnej. Artykuły o „wyzwoleniu seksualnym”, wywiady z feministkami to tylko bardzo powierzchowne alibi. W gruncie rzeczy mamy tu ten najstarszy program świata: dzieci, kuchnia, kościół; plus może jeszcze szybki numerek na boku (no, ale bez tego nie byłoby dzieci).

Zrozumiał to Walerian Borowczyk i nakręcił nowelę filmową wysoce i mile perwersyjną. Oto dziewczynka używa królika do nieprzyzwoitych zabaw. Zauważają to rodzice, zabijają zwierzątko i podają córcę na kolację (w potrawce). Kiedy mała dowiaduje się, co zjadła, bierze nóż i morduje tatusia i mamusię. Jest w tym zawarta cała zabawa symboliczna. Zabicie królika jest znakiem zabicia dziewczęcości córki. Zjedzenie go przez nią staje się więc aktem swoistego kanibalizmu, tak ostatecznego przekroczenia tabu, że potem wszystko staje się możliwe. Oto wyzwolenie kobiety, ale jakim się odbywa kosztem.. Poplątał wszystko Borowczyk, siedzi gdzieś z boku i śmieje się złośliwie. Interpretuj widzu, jak wolisz.

Jedno jest pewne. Każda dyskusja o króliku jest dyskusją o statusie płci pięknej w naszym społeczeństwie.

Łzy

Zacznijmy tą sceną ze znanej wszystkim obowiązkowej w szkole lektury – „Faraona” Bolesława Prusa. Młody następca tronu Ramzes przychodzi pocieszyć pobitego przez nieznaną sprawców asyryjskiego posła Sargona, którego doradcą jest szlachetny Istubar, i wręcza im łańcuch wysadzany rubinami i szafirami.

„Olbrzymi Sargon zapłakał, co wzruszyło księcia, lecz nie rozczuliło obojętności Istubara. Kapłan wiedział, że Sargon ma łzy, radość i gniew na każde zawołanie, jako poseł mądrego króla.

Namiestnik posiedział przez chwilę i pożegnał posła. Zaś wychodząc pomyślał, że jednak Asyryjczycy, pomimo barbarzyństwa, nie są złymi ludźmi, skoro umieją odczuć wspaniałość”. Zaiste, mało doświadczony był egipski namiestnik i następca tronu. Gdyby był biegłym politykiem, sam by także zapłakał...

Annę Vincent–Buffault stworzyła termin „wymiana łez”. Brzmi on może zabawnie, ale celnie oddaje sedno sprawy. „Dającemu łzy trzeba je oddać” – zaleca francuski *savoir-vivre* z XVIII wieku. Jeżeli ktoś płacze, jest po prostu niegrzecznością nie płakać z nim razem. Jest to szczególnie istotne w stosunkach rodzinnych. Marivaux w „Spectateur français” opisuje scenę, w której ojciec zastaje dzieci płaczące z powodu problemów finansowych rodziców. „– Chodźcie szybko do waszej matki – woła – niech ona, która też płacze, zobaczy łzy w waszych oczach”. W momencie, w którym wchodzi do pokoju matki, ojciec też oczywiście zaczyna szlochać. Tyle że – zaznacza Marivaux – wraz z ową rodzinną komunią płaczu nie były to już łzy bólu, ale szczęścia.

Również na dworze królewskim władca nie płacze nigdy sam. Karol IX miał „łatwe łzy”, więc dworzanie nosili przy sobie specjalne mikstury drażniące oczy, by móc współboleć z monarchą.

Płaczą rycerze. Nawet okrutny król Anglii – Edward III, płacze na widok zwłok zabitych w bitwie pod Poitiers nieprzyjaciół, a potem znowu – podejmując ucztą pokonanego króla Francji, a teraz jeńca, Jana II Dobrego. Tym razem wzruszył go widok poniżonego (przez siebie samego) majestatu. Z kolei Henryk IV popłakiwać miał zwyczaj z powodów bardziej, chciałoby się rzec, społecznych. „I oto widząc owego biedaka, który liście z dębu darł na jedyne pożywienie, rzucił mu złotą monetę i głośno zaszlochał”.

Rzecz jasna trzeba wiedzieć, gdzie, kiedy i z jakiego powodu płakać. Już od przełomu XV na XVI wiek skodyfikować tu można pewne reguły. Mężczyzna może i powinien płakać na widok cudzej krzywdy, sieroctwa, kalectwa etc. Kobieta ma prawo płakać także nad sobą. Z tym że, uwaga! – nikt nie powinien ronić łez nad skutkami swoich własnych działań. Świadczyłyby to bowiem, że podaje ich sens w wątpliwość. W 1621 kat z Narbonne, który rozszlochał się po spaleniu dziewiętnastoletniej i – jak zaświadczyli świadkowie – bardzo pięknej czarownicy, został natychmiast dyscyplinarnie zwolniony z mistrzowskich obowiązków i cudem uniknął więzienia.

W płaczu zachowana być musi hierarchia. Jeżeli władca nie widzi powodu do łez, to nie powinien się też mazać poddany. Jeżeli nie zapłacze dowódca, nie ma do tego prawa podkomendny – to ostatnie figuruje *expressis verbis* w hiszpańskim regulaminie wojskowym z XVII wieku. W dwa wieki później taka adnotacja nie byłaby już potrzebna. Łzy stały się bowiem generalnie wstydlive. Wprawdzie jeszcze pod koniec XIX wieku płacze Staś, jest to już jednak rzecz wyjątkowa, że zacytujemy „W pustyni i w puszczy”: „Lecz potem stała się rzecz dziwna. Oto ten sam Staś, który przed chwilą byłby zdumiał swą zimną krwią i spokojem najwytrawniej szych strzelców całego świata, poblekł nagle, nogi zaczęły mu się trząść, z oczu puściły mu się łzy...” Rzeczy wyjątkowość spowodowana zostaje jednak już poprzednio do porządku przez spontaniczne wyznanie Nel:

„ – Nel! – rzekł chłopak – Medinet to było złudzenie, ale wiem na pewno, że nas ścigają, więc nie martw się i nie płacz.

Na to dziewczynka podniosła ku niemu załzawione źrenice i odpowiedziała przerywanym głosem:

– Nie Stasiu... ja nie chcę płakać... tylko mi się tak... oczy poca...”

Okazuje się, że już i dziewczynce płakać nie wolno. Wstydlivość łez podyktował Francji, a poprzez nią Europie, libertynizm francuski XVIII wieku. Chodziło najpierw o to, że cierpienie tak fizyczne, jak i psychiczne jest nieoddzielnym składnikiem rozkoszy seksualnej. W bluźnierczych słowach kpił Mirabeau z łez Maryi pod krzyżem. Płacz stał się nie tylko oznaką słabości, ale pospolitości i wręcz ułomności charakteru człowieka, który nie jest w stanie stawić czoła rzeczywistości, zmuszającego do brutalnych decyzji losu. Krótko mówiąc płacz staje się sprawą wstydliwą.

Ofiary stosów z XVI i XVIII wieku płakały i tym budziły współczucie widowni. Skazani przez terror Robespierre'a licytują się w tym, żeby najmniejsza łza nie zabłysła w ich oku. Co moda, to moda. W jednym ze sprawozdań z egzekucji czytamy, że mieszczka z Libourne „wstępowała na szafot ze szlochem”. I lud przyjął to – jak donosi współczesny sprawozdawca – „z obrzydzeniem”. I nieważne, że dziewczyna skazana została za jakieś głupie zdanie typu „za monarchii łatwiej było kupić drożdże”, które wyrwało się jej w publicznym miejscu – co powinno było budzić współczucie publiczności. Nic podobnego. Popsuła spektakl swoim niemodnym zachowaniem, więc została wygwizdana.

W porównaniu do standardów francuskich Polska długo jeszcze pozostanie krajem rozbeczanym. Niezwykle skłonny do płaczu nad sobą, nad ojczyzną, nad minioną młodością – jest przykładem dla narodu wieszcz Adam Mickiewicz. Wcale nie tylko:

„Polały się łzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie...”

Ale również:

„Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą...”

Albo:

„W naszej rozmowie nie potrzeba słowa.
Ja twe westchnienie, ty me łzy zrozumiesz...”

itd. itd.

Mody na dłuższą metę nie mógł i Mickiewicz pokonać. Zdołał jednak uczynić w niej pewien wyłom. Oto w Polsce wolno płakać artystom. Płacze Broniewski, płacze Wierzyński, płacze nawet Wojacek. Nie są to bynajmniej łzy ekshibicjonistyczne. Wręcz odwrotnie, są to łzy przenośne i symboliczne. A takie łzy ronić nawet należy. Kodeks używania łez obiektywnie społecznie istnieje, trzeba go tylko spisać i co najważniejsze – precyzyjnie datować, gdyż w każdej chwili może przyjść nowa moda płaczu.

Na wszelki wypadek, gdyby zobowiązano nas znowu do płakania, przekazujemy, co powiedziała Jacques'owi Seurat grecka zawodowa płaczka pogrzebowa z okolic Janiny: „Żeby naprawdę dobrze płakać, trzeba być wyspanym. Rano zjeść śniadanie obfite, ale nie tłuste i raczej bez serów; zapić najlepszą butelką młodego wina, ale nie retziny, bo należy unikać płynów oleistych. Bezwarunkowo nie wolno palić papierosów, od których gardło wysycha i płacz zrobi się podobny do kaszłania. Po śniadaniu nie wychodź na słońce. Siądź w miejscu ocienionym i od czasu do czasu wypij coś (najlepiej – jako się rzekło – młode wino). Bezpośrednio przed płaczem zrób parę skłonów i przepłucz gardło. Kiedy będziesz już płakał, pamiętaj, żeby w przerwach głęboko zaczerpywać powietrza. Nie należy ocierać powiek, bo psuje to efekt i podrażnia oczy. Po płaczu nie zapomnij zjeść solidnego posiłku i zanim położysz się spać, zrobić choć krótkiego spaceru. Spać należy na plecach, z rękami wyciągniętymi ku górze. Kiedy chcesz zapłakać na próbę, nigdy nie zdawaj się na swój własny osąd. Nigdy sam siebie dobrze nie słyszysz. Poproś kogoś bliskiego, a znającego się na rzeczy, żeby posłuchał i dał swój ą opinię”.

Prawda, jakie to proste? Więc teraz już tylko:

„Łezka do łezki
Aż będę niebieski
W smutnym kolorze blue
Jak chłodny jedwab
Pustego nieba
Zaśpiewa
Kolor blue”.

Jonasz Kofta

„Płaczm, płaczm, bo wesoło” – z trzynastowiecznej pieśni trubadurskiej.

Miś

„Proszę państwa, oto miś.
Miś jest bardzo grzeczny dziś,
Chętnie państwu łapę poda.
Nie chce podać? A to szkoda”.

Jan Brzechwa

Pluszowy miś, taki, jakim go znamy, wynaleziony został w roku 1903. Wiosną owego roku polował otóż prezydent Theodore Roosevelt, a był myśliwym tak zapalonym, że wręcz maniakalnym, w Górach Skalistych. Jak zwykle prócz obstawy towarzyszyło mu również grono wścibskich dziennikarzy pełniących mimowolnie, lecz skutecznie, rolę bezpłatnej nagonki. Nagle na stoku, wśród kosodrzewiny, pojawił się mały niedźwiadek. Wszyscy oczekiwali na celny strzał. Tymczasem prezydent zachwycony zwierzęciem złamał fuzję i dał znak do zakończenia łowów. Dziennikarze zaniemówili z wrażenia. To jest dopiero temat! – Prezydent oszczędza życie małemu, puszystemu stworzonku! Litość prezydenta. Prezydent i przyroda. Przyroda i prezydent. Prezydent i macierzyństwo. Następnego dnia z całej prasy amerykańskiej polał się sentymentalny lukier.

Tydzień później obdarzony kapitalistycznym refleksem producent z Massachusetts rozpoczął już sprzedaż „Teodorowych misiów” – *teddy bear* (tak się miś do dzisiaj w USA nazywa) w trzech wersjach: gumowej, pluszowej i sztruksowej. Pluszowa sprzedawała się zdecydowanie najlepiej i nie tylko najlepiej, bo po prostu wspaniale!

Kiedy w czerwcu 1917 lądują we Francji pierwsze amerykańskie oddziały w swoich westernowych kurtkach koloru khaki i pilśniowych, szerokich kapeluszach *teddy bear* nie jest jeszcze dziecięcą zabawką, lecz symbolem Ameryki, jej przywódcy, bliskiego zwycięstwa, dobrego i słusznego ładu świata. Zachowała się notatka inwentaryzacyjna, że przy żołnierzach z Ohio, Wirginii czy Arizony, którzy padli 30 i 31 maja 1918 w krwawej bitwie obronnej pod Chateau–Thierry, znaleziono między innymi 67 misiów.

Z krwawych pól nad Mamą trafiają misie do francuskich domów, by wkrótce stać się ulubioną zabawką dzieci całej Europy. Pierwszy to bodaj, grubo przed coca-colą i dzinsami tak totalny sukces młodej amerykańskiej kultury. Cóż, kiedy w Polsce niedźwiedź kojarzy się raczej z naszym wschodnim sąsiadem. Stąd też pewna magistrantka z Wrocławia, której nazwiska z litości nie wymienię, powiązała misia z rzekomym kultem niedźwiedzia u Słowian wschodnich. Co więcej... magisterium obroniła. Wymowny to dowód, że czar ciekawej konstrukcji intelektualnej zawsze zatriumfować musi nad prostackimi faktami.

Jak jasno z tego wynika, ani Władysław Jagiełło, ani Stanisław August Poniatowski nie bawili się w dzieciństwie misiami. Gorzej jeszcze – był to stwór nie znany nawet naszym pradziadkom. Inne mieliśmy więc doświadczenie dzieciństwa i tak naprawdę nigdy do końca byśmy się nie zrozumieli. Bo cóż to za dojrzewanie bez misia? – przynajmniej jeśli chodzi o pleć męską... Owszem, mogli pradziadowie oglądać prawdziwe misie, wytresowane w

wyspecjalizowanej szkole w Smorgoniach na Białorusi, z kółkiem w nosie, tańczące na dwóch łapach pod cygańską muzykę. Nie ma to jednak nic wspólnego z misiem pluszowym – partnerem i świadkiem naszych pierwszych uczuć ojcowskich i doznań erotycznych. Facet, który nie umiał pieścić misia – mawiał Wacek Kisielewski – nigdy nie potrafił dogodzić kobiecie. Miał świętą rację. Bo takie są też nasze miłości: puszyste, miękkie, pluszowe. Jakie były kobiety naszych antenatów? – Przyznajmy z pokorą, że nie umiemy sobie tego nawet wyobrazić.

A Kubuś Puchatek, którego ostatnio w imię translacyjnej prawidłowości przechrzczono na jakieś okropieństwo? Kimże by on był dla naszych przodków? – Trywialnym jakimś stworzeniem z ckliwej i wydumanej opowiadki. Bo przecież wiadomo, jakie są prawdziwe niedźwiedzie. Przykładem Brezniew.

Z tym, że nie generalizujemy międzynarodowej popularności misia. Pierwszą zwierzęcą zabawką, jaką widzi każde francuskie dziecko, czy to chłopiec czy dziewczynka, jest akurat żyrafa. Tak, żyrafa właśnie. Żyrafa ma, jak wiadomo, cztery długie nogi i na dodatek długą szyję. Innymi słowy – pięć kończyn, które może bobas z łatwością wyginać i obgryzać. Dlaczego w takim razie nie ośmiornica? Odpowiedź na to wydaje się dość prosta. Otóż w procesie ewolucji bliżsi jesteśmy jednak żyrafom niż stworzeniom wodnym. Choć skądinąd jakąż to jednak pasjonująca przygoda ludzkości: kiedyś chełbia, a teraz Czesław Miłosz... W tym względzie nasi przodkowie okazali się jednak jeszcze bardziej racjonalni. Mój tata, który urodził się w roku . 1908, a więc na dziesięć lat przed drugą bitwą nad Marną, dostał na urodziny wacianą małpę. Małpa ta jakimś cudem przetrwała wszystkie zawieruchy wojenne i zasiadała co roku pod rodzinną choinką. Była już tylko małpą w domyśle, gdyż ząb czasu zrobił swoje. Byłem do niej bardzo przywiązany.

Pomimo to wolałem swoje misie. Dlaczego? Może dlatego, że są małpy nazbyt samodzielne. Podczas kiedy miś...

„Chętnie państwu łapę poda.
Nie chce podać? A to szkoda”.

Mocz

„Inna znów dziewczynka była,
A wołali ją Ludmiła. (...)
Często śniło się jej w nocy,
Że ją Rycerz miał w swej mocy (...)
Jednej nocy, bawiac wspólnie,
Rycerz czuły był szczególnie.
Ciągłe mówił: «Ach! Ludmiło!»
(Niby tak się to jej śniło).
Wciąż mężniej sobie poczynął,
Aż łóżko wpadło w Urynał”.

Zauważmy, słowo „urynał” pisze Tadeusz Żeleński Boy z dużej litery. Nic dziwnego, chodzi tu o szacunek dla profesji. Boy, zanim został tłumaczem (genialnym!) i poetą (wyśmienitym!), ukończył studia medyczne. Że był zaś jednocześnie wyrafinowanym znawcą historii, wiedział, iż przez stulecia emblematem fachu lekarskiego nie był żaden wymyślony przez snobów i pretensjonalny wąż Eskulapa, ale nocnik właśnie!

W „Tańcu śmierci” Mermeta (1410) widzimy medyka z nocnikiem w ręku. To samo w „Godzinkach Anny z Bretanii”, gdzie Kosma i Damian (jak pamiętamy, byli lekarzami) trzymają to samo naczynie. Ten sam motyw znajdziemy w malarstwie Gerrita Dou, ucznia Rembrandta, Van Hoogstratena, Roberta Nanteuil etc. etc., żeby wspomnieć już tylko o słynnym „Lekarzu z urynałem” Gabriela Metsu.

W tym skojarzeniu utensylium i profesji nie ma żadnej kpiny ani ironii. Jest to po prostu stwierdzenie faktu. Od czasów starożytnych przypisywała medycyna ogromne znaczenie diagnozom stawianym na podstawie koloru, zapachu i smaku moczu pacjenta.

Zarówno Hipokrates, jak i Galen uważali, że „mocz jest zwierciadłem zdrowia i choroby”. Swój ą prawdziwą karierę rozpoczęła jednak moczologia począwszy od połowy XII wieku, kiedy to publikuje Gilles de Corbeil monumentalne „Liber de Urinis”. Dowiadujemy się z owego dzieła, iż mocz oglądać należy w przezroczystym naczyniu, nie w słońcu, ale też nie w cieniu, światło ma zaś nań padać „bardziej z góry, niż z boku”. Wyliczonych tam też zostaje czterdzieści sześć smaków moczu, z których każdy stanowi rzecz jasna niezwykle ważną wskazówkę, kapitalną dla wskazania odpowiedniej terapii. Tymczasem niektórzy medycy jakby się brzydzili popijania wydzielin... Oburzony tym król Francji Henryk II, na którego dworze przebywał nie tylko Nostradamus, ale również Pierre Ronsard, Gerolamo Cardano, Henryk Estienne..., a więc monarcha nowoczesny i światły, wydaje stanowczy dekret: „Dochodzą do nas głosy, że wiele zgonów naszych poddanych spowodowanych jest przez zaniedbania medyków. Oświadczamy więc, że wszyscy ci lekarze, którzy odmawiają

smakowania uryny swoich klientów, w wypadku zgonu tych ostatnich uznani zostaną za winnych ich śmierci ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami”.

Dekret dekretem, ale i bez niego moczologia rozwija się przez wieki i triumfuje. Antoine Chéreau – lekarz i farmaceuta paryski z przełomu XVIII i XIX wieku (*sic!*) reklamuje się, że po samym kolorze płynu rozpozna od razu płęć i wiek tego, który go wydzielił, jego temperament, stan zdrowia, a również... warunki, w których moczodawca przebywa, z kolorem firanek w pokoju włącznie. Nic dziwnego, że sukcesy święci także uromancja. Z tym że to akurat nie powinno nas dziwić. Wrózenie z nocnika czy z gwiazd jest wszakże kubek w kubek tak samo racjonalne; z tą tylko różnicą na korzyść moczu, że można z niego istotnie wyczytać niektóre dolegliwości klienta, a więc łatwiej i pewniej przepowiedzieć mu rychły zgon.

Niezwykłe właściwości uryny wprowadzają ją w życie rodzinne i towarzyskie. Na rycinach francuskich z XVIII i jeszcze XIX wieku widzimy małżonków (lub kochanków?) oglądających rano zawartość nocników partnera, chcących bowiem wiedzieć, w jakim będzie on w budzącym się dniu humorze. Nie wchodząc w mało apetyczne detale, sygnalizujemy jednak, że podług François Bruarda – poranny mocz o „kolorze intensywnym, przechodzącym w oranż i o kwaśnym zapachu” zwiastuje, iż sikający będzie swarliwy, niezadowolony z życia, a nawet skłonny do zaczepki i brutalności.

Pierwsze wyprawy arktyczne przynoszą sensacyjne wiadomości o Eskimosach myjących się ponoć we własnym moczu. Eksploratorzy zachwycają się jednocześnie cerą mieszkańek Grenlandii „wolną od krost, brodawek i *points noirs*”. Morał wydaje się oczywisty? Niezupełnie. Eskimosi to jednak egzotyczne dzikusy, których skóra nie może być dokładnie do naszej – cywilizowanej – podobna. Poważni eksperci proponują więc europejskim panom i paniom – me, nie mycie się we własnej urynie, ale regularne sikanie na buty dla zakonserwowania skóry. Kto nie wierzy – odsyłam do „Histoire de la scatologie” znakomitego Jeana Feixasa (szwajcarskie wydawnictwo Liber, rok 1996, strona 72). O urofilach nie będziemy już wspominać, choć każdy, kto zaszedł do toalety publicznej w Paryżu koło metra Strasbourg–St.Denis, zobaczyć musiał... i prędko wybiegał, żeby nie zwymiotować.

Tak więc nawet mocz ma swoją kulturalną historię. Patrząc na ostatnie krople znikające w pisuarze przypominajmy sobie zawsze, że świat jest ciekawy. Warto żyć i sikać, aby go poznawać.

Musztarda

Mówił Chrystus: „Z czym porównamy królestwo Boże lub w jakiej przypowieści je przedstawimy? Jest ono jak ziarnko gorczycy...” (Marek 4,30–31). Innymi słowy znali Żydzi czasów ewangelicznych gorczycę. Dziwne toteż się wydaje, że nigdzie w Biblii, a jest ona znakomitym przewodnikiem gastronomicznym, nie ma żadnej wzmianki o musztardzie. Nie wspominając niej również inne księgi stanowiące o prawach i obowiązkach narodu wybranego. Nie wiadomo więc do dzisiaj, czy jest musztarda koszerna, czy też nie. Tym to dziwniejsze, że w owym czasie Grecy i Rzymianie objadali się wprost musztardą wyrabianą z ziarenek gorczycy, oliwy, octu i miodu, a więc bardzo podobną do tej, którą jemy dzisiaj.

Zjadłym wrogiem musztardy, jak i wszelkich innych przypraw z solą włącznie, był podobno Sokrates. Uważał je za zbędne dla trawienia i zastępował poobiednią gimnastyką. Stał się w ten sposób wynalazcą joggingu. Widząc go biegającego zaraz po posiłku, wtedy gdy każdy porządny Grek udawał się na drzemkę, zapytał jeden z uczniów: „Po cóż się tak męczysz, mistrzu?” Odpowiedział filozof: „Czyż nie widzisz, że przygotowam moje dania?...” Na szczęście był Sokrates wyjątkiem.

W rywalizacji pomiędzy tradycją judeochrześcijańską i klasyczną wygrali w przypadku musztardy Rzymianie. W średniowieczu jest musztarda obecna od stołów kmiecich po królewskie. Każdy wyrabia ją i doprawia podług własnego gustu, ale już w początku XIII wieku pojawiają się „musztardnicy”, czyli zawodowi producenci przyprawy, a wraz z nimi zbanalizowane receptury wypierające owoce indywidualnej kulinarnej wyobraźni.

Papież Jan XXII (pontyfikat 1316–1334) miał wyjątkowo głupiego bratanka, co gorsza skompromitowanego w wielu erotycznych skandalach i zrujnowanego przez hazard, ale z tego właśnie powodu szczególnie natarczywie ubiegającego się o okruchy ze świątobliwego stołu. Chcąc pozbyć się natręta, czyli zapewnić mu z kieszeni wiernych wystarczająco okrągłą pensyjkę, a jednocześnie uniemożliwiając jakikolwiek realny wpływ na politykę Stolicy Apostolskiej, mianuje go oficjalnie „musztardnikiem papieskim”. Sprytny ten wybieg głowy Kościoła stanowił jednak, niezależnie od jego intencji, obiektywną nobilitację zawodu. Wkrótce mieć będą swoich musztardników królowie Francji, Hiszpanii, Portugalii i wszyscy szanujący się książęta od Atlantyku po Ren. Tym bardziej że...

Papież Klemens VII (1523–1534) – ten sam, który ingerując w sprawy łóżkowe Henryka VIII spowodował utratę jedności kościelnej Rzymu z Anglią – był fanatycznym wręcz wielbicielem musztardy. Używał jej nie tylko do mięs, ale nawet do serów i..., jak zaświadcza ją źródła, nawet do lodów i ciastek z waniliowym kremem. Nic dziwnego, że w tej sytuacji posada musztardnika papieskiego stała się przedmiotem wyrafinowanych zabiegów, intryg i przetargów, którym nie były obce ani sztylet, ani trucizna. Sama musztarda osiąga wtedy szczyty wysublimowania. Wspomina kronikarz, że w podanej Ojcu Świętemu 14 czerwca 1531 znajdowało się, prócz zasadniczych, siedemdziesiąt sześć innych składników. Równolegle jednak pojawia się w tym samym czasie we Francji określenie „papieski musztardnik” (*moutardier du pape*) – piętnujące karierowicza, człowieka, który

stara się wykorzystywać słabostki możliwych tego świata. Do naszych czasów przetrwało to pojęcie w okrutniejszym jeszcze powiedzonku: *Il se prend pour le moutardier du pape* – „Bierze się za papieskiego musztardnika”. Chodzi o dumia, który chciałby być lizusem i pochlebcą, ale nawet tego nie potrafi.

W tym miejscu dygresja. – Niech nas nie szokuje musztarda na ciastku z kremem. Na dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego, a więc również podczas wykwintnych obiadów czwartkowych, zraszano talerze przed użyciem – zarówno te do zupy, te do mięs, jak i te do przystawek i deserów – pachnidłami z paczuli. Schabowy w zapachu paczuli... – Tymczasem nie wspomina ani Karpiński, ani Trembecki, ani smakosz – marszałek wielki litewski Ignacy Potocki, żeby ktokolwiek wybrzydzał. Co nas tu bowiem gorszy? – Ani samo paczuli, ani pieczeń wieprzowa, ani sama musztarda, ani ciastko z kremem. Zgodzić się nie możemy tylko na obce naszym gustom zestawienia.

Jednakże w nie tak znowu odległych początkach naszego (jeszcze) wieku twierdzili futuryści, że zestawiać można wszystko ze wszystkim. Stąd, na poziomie metafory słownej: „mięsiste niezapominajki”, „stalowa słabość”, „zardzewiały ruch” i im podobne. Dzieje udowadniają, że tak właściwie to oni mieli rację. Czy u nas, dzisiaj, przychodzi komukolwiek do głowy, że aby się rozczulać wizytą w kraju Jana Pawła II, należy przedtem przestać bić żonę i kopać dzieci? A przecież mogłoby się wydawać, że dowolne to zestawienie: feretron z sercem Jezusowym i niosące go ręce jeszcze sine od pobicia teściowej (zgodnie bowiem z prawami Newtona – kto bije, ten i sam dostaje). Ale wiemy: *De gustibus et coloribus non est disputandum*. Tego pozornie nas uczą dzieje wyrobów z gorzycy.

Lecz naprawdę czegoś zupełnie innego (Klemens VII był złym papieżem): nie chcesz jeść słodczy z musztardą, to najpierw przestań bić żonę. Harmonia świata jest niepodzielna.

Nagość

O tym, że wstyd nagości jest kwestią kulturową, a nie wrodzoną – co nam się niekiedy usiłuje wmawiać – wiemy już choćby obserwując ewolucję strojów kąpielowych w ciągu ostatniego wieku. Historia nagości jest jednak dużo ciekawsza niż ten jej jeden tylko element.

Późne średniowiecze ma do nagości stosunek ambiwalentny. Owszem, jest często obnażenie siebie lub kogoś karą i pokutą; bywa jednak także oczyszczeniem. Co więcej, oglądanie nagości nie stwarza widzom problemów. Skłonni są nawet do pikantnego jej uatrakcyjniania.

W 1262 para kochanków w Agen ukarana została przykładowo tak oto: rozebrano cudzołóżników do naga; na penisie grzesznika zawiązano sznurek, za który grzesznica oprowadzała go przez cały dzień po mieście. Przed mijanymi kościołami zatrzymywali się i kobieta głośno krzyczała: „Que va premeira ou dezen que aital penra”, co można przetłumaczyć: „Każdy, kto zrobi to samo, będzie ukarany w ten sam sposób”.

W tej samej epoce poeta Jean de Meung, który nazwał damy dworu kurwami, ukarany miał zostać surową chłostą. Dla wykonania wyroku rozebrano go już do rosołu. W ostatniej chwili zapytano go jednak o ostatnie życzenie. Odparł, że prosi tylko o to, by pierwsze razy wymierzyła mu „najbardziej puszczańska”. W ten sprytny sposób uniknął biczowania. Winny podobnego przewinienia Pierre de Merezdac miał już mniej szczęścia. Chłosta nie była wprawdzie dotkliwa, ale za to rozszłoszczone kobiety „szczypały, drażniły i targały jego członek męski”.

Osobliwością późnego średniowiecza, trwającą aż do przełomu XVI i XVII wieku, były organizowane przez diecezje tak zwane nagie procesje pokutnicze. Stopień nagości jej uczestników zależał od ich temperamentu, zarządzeń lokalnego biskupa, ale także powagi sytuacji. W lecie 1245 trwała w rejonie Liège wyjątkowa klęska suszy, w obliczu której mnisi z Cornillon wezwali wiernych do procesji boso, w samych tylko koszulach. Niestety, ani chmurka nie pojawiła się na niebie. Nie lepszy był rezultat kolejnego przemarszu do kościoła św. Wawrzyńca. Dopiero trzecia procesja – tym razem już bez koszul, sprowadziła upragniony deszcz. Najpełniejsze i najbardziej szczegółowe relacje mamy jednak z „nagiej procesji”, która przeszła ulicami Paryża w 1589 na znak protestu przeciw zamordowaniu przywódcy katolickiego księcia Gwizjusza. Opisuje naoczny świadek: „W tłumie zmierzającym do katedry jedni byli w samych tylko koszulach, inni całkiem nadzy, tylko z krzyżami lub herbami Gwizjuszy zawieszonymi na szyjach. Mężczyźni i kobiety. Bogu dzięki można się było napatrzyć uroczych rzeczy...” Domyślamy się, że narrator nie był raczej z lotaryńskiego obozu.

W parę dni później przebywający w tym czasie w Blois Henryk III (nasz Walezy) – przeciwko niemu wymierzona była paryska procesja, podczas której nazywano go tylko Walezjuszem, a nie królem, jakby abdykował – dowiedział się, że do miasteczka przybył jakiś mieszczanin, owej procesji uczestnik. Natychmiast wezwał go do siebie na wczesną,

ranną godzinę. Biedak odmówić nie mógł. Przybył trzęsąc się ze strachu. Henryk przyjął go w łożu. Wywiązał się wówczas ów słynny dialog, który relacjonuje nam L'Estoile:

„ – Znasz mnie może?

– Ależ Wasza Wysokość – odpowiedział mieszczanin – przecież to wy jesteście moim królem, panem i władcą...

– A tę tutaj – w tym momencie Henryk podniósł kołdrę i pokazał zupełnie nagą królową – tę tutaj, z którą właśnie spółkuję, znacie?

– To jest moja pani i królowa – odpowiedział bliski omdlenia gość.

– A jakże tam mój biedny przyjacielu nazywają mnie ostatnio w Paryżu? – Podobno Henrykiem Walezym po prostu?

– Tak, Najjaśniejszy Panie...

– Według nich tedy już nie jestem królem. Spójrz oto (w tym momencie król wcielił słowa w czyn), obcuje z królową. Jedź więc, przyjacielu, do stolicy i opowiedz wszystkim, że widziałeś na własne oczy, jak ów... Walejusz sypia z królową Francji. I proszę cię, a nawet ci pozwalam – nie zapomnij żadnego detalu”.

Nie jest to bynajmniej sytuacja wyjątkowa. Moźni tego świata chętnie przyjmowali interesantów w łożu, nie kępując się obecnością w nim żon i kochanek. Dokładnie opisuje to Brantôme: „Jeden z najwybitniejszych panów naszego królestwa zaskoczony został wejściem lokaja, który miał go obuć. Wkładano mu więc buty, podczas gdy pani M. trzymała go za wdzięki”. Ludwik Orleański nie był bardziej delikatny. „Kiedy przyszedł odziewać go dworzanie, z którego żoną właśnie spędzał noc, zakrył jej głowę, a odsłoniwszy całą resztę dyskutował z głupim sługą, który nie zorientował się, że o jego własną połowicę chodzi, o doskonałościach jej członków i najintymniejszych części ciała”.

Istniała jednak oczywiście hierarchia nagości. To, że służba oglądała codziennie nagość państwa, nie oznacza, by państwo mieli dopuszczać do skandalu nagości poddanych. Z tym że nagość wyżej postawionych nie zawsze bynajmniej była przywilejem; często wręcz uciążliwą powinnością. W epoce, w której więzy rodzinne decydowały o pieniądzu i władzy, kwestia (na przykład) skonsumowania małżeństwa, którego podanie w wątpliwość niszczyło aliance i wywoływało wojny, było sprawą pierwszorzędną. Nic dziwnego, że w trakcie nocy poślubnej czynnościom państwa młodych przyglądali się liczni świadkowie. „Ponieważ – pisze Gaye – książę de Berry przez długie godziny nie był w stanie pobudzić swojej męskości, posłano po wino i zakąski. Rzecz trwała długo, ale zakończyła się sukcesem Jego Książęcej Mości, w czym jednak większą zasługę – co wszyscy poświadczają-miała księżna nie skąpiąca...” Tu przyzwoitość, czyli trwożliwa pruderia, nakazuje nam przerwać cytat.

Nie mniej ciekawym widowiskiem był poród królowych Francji (tym razem chodziło o legitymizację potomstwa). Wszystkim stadiom narodzin przyglądali się nie tylko dworzanie, ale również ambasadorzy państw ościennych i specjaliści wysłannicy zainteresowanych sojuszników. Żeby rzucić nieco światła na rozmiary spektaklu, wspomnieć wystarczy, że pierwszy poród Marii Leszczyńskiej, żony Ludwika XV, obserwowało ponad pięćdziesiąt osób. Napisał potem szambelan królewski, że rodziła Maria z godnością, a kształt jej piersi

wskazuje, że będzie miała wiele pokarmu. „Zawsze jest zaś lepsze dla następcy tronu, by mleko pobierał z piersi odpowiedniej, niż od byle jakiej mamki”. Rodziła potem Leszczyńska jeszcze dziewięć razy. Owszem, zainteresowanie było już znacznie mniejsze. Przy dziesiątym dziecku spadło do niecałych dwudziestu osób.

Kultura się zmienia. W końcu XX wieku, w Polsce, często nie wolno było mężom asystować przy porodach ich własnych żon...

Mijając po lewej stronie (patrząc od Paryża) ogrody wersalskie, przejeżdżamy obok tak zwanego stawu muszkietarów. To w nim w błogiej beztrosce kąpali się w upalne dni, jak ich Pan Bóg stworzył, żołnierze przybocznych formacji królewskich, co oglądać mogły spacerujące między fontannami szlachetne damy.

Dwa wieki później na plaży w Dieppe kąpią się mężczyźni, na plażach oddzielonych od kobiecych, ubrani w podkoszulki i długie kalessony pokrywające obowiązkowo łydki.

Kolejny wiek i na tych samych plażach pojawiają się nudyści.

Oto jak igrają z nami historia i moda. Jeżeli przekazuje nam więc dziejopis albo hagiograf, że ktoś był wstydlivy lub cnotliwy – zapytajmy od razu: kiedy?

A kąpać się wygodniej nago.

Nazwiska polskie

Otóż nie. Kowalski nie jest bynajmniej „najpospolitszym” polskim nazwiskiem. Nawet równać się nie mogą Kowalscy z Nowakami. Kowalskich jest w ojczyźnie sztuk 131 940, Nowaków – 220 217! 220 217 to w przybliżeniu populacja miasta Radomia wliczając starców, kobiety i noworodki; to szereg dywizji wojsk. W tym miejscu drobna uwaga: przydomek Nowak, który pierwszy raz odnotowany jest w dokumentach polskich w roku 1335, oznacza przybysza, człowieka nowego, przybyłego z zewnątrz. Niech więc strażnicy czystości narodowej krwi wystrzegają się Nowaków; istnieje duże prawdopodobieństwo, że płyną w ich żyłach cudzoziemskie, a nawet nie słowiańskie krwinki. Skądinąd z Kowalskimi niewiele lepiej. Byli wprawdzie Kowalscy herbów Abdank, Gozdawa, Jasińczyk. Korab (jak pan Roch Kowalski z „Potopu”), Murdelio. Ostoja, Stawicz. Ślepowron i Wieruszowa, na którym kozioł ma majtki w kratkę. Nie wyczerpuje to jednak sprawy. Walerian Nekanda Trepka wylicza w „Liber Chamorum” wielu Kowalskich, którzy się pod herby najbezczelniej podszyli. „Kowalski – na przykład – nazywał się Grygier kowal w Wieliczce, który wdowę Grewczykową tamże w Wieliczce pojmując roku 1624, odtąd Kowalskim począł się zwać. Tam w Wieliczce mieszkał, a za szlachcica udawał się”. Byli też Kowalscy Czesi, Kozacy, Rusini i liczni Żydzi. *Biez wodki nie rozbierosz.*

Wróćmy więc do danych obiektywnych. Oto lista dwudziestu najpopularniejszych nazwisk polskich:

1. Nowak 220 217
2. Kowalski 131 940
3. Lewandowski 89 366
4. Wójcik 88 932
5. Kamiński 87 935
6. Kowalczyk 87 690
7. Szymański 84 527
8. Kozłowski 72 368
9. Wojciechowski 63 519
10. Kwiatkowski 62 629
11. Kaczmarek 59 403
12. Mazur 59 069
13. Krawczyk 58 246
14. Piotrowski 57 934
15. Grabowski 54 652
16. Pawłowski 52 744
17. Michalski 51 325
18. Nowicki 49 771
19. Jabłoński 46 728
20. Król 46 458

Dodajmy od razu, że na 21. miejscu znajduje się Olszewski (44 638), a na 23. Pawlak (43 556). Jest to istotne, gdyż wskazuje, na jaki elektorat, przy wprowadzeniu rzecz jasna surowej dyscypliny w stosunkach rodzinnych, mogliby liczyć czołowi nasi politycy. Niestety, szansę nie są tutaj równe. Co do Lewandowskiego, Kozłowskiego, Olszewskiego i Króla, widzicie państwo sami. Dalej jednak – jakież niesprawiedliwe dysproporcje. Bo oto:

Borowski 24 889
Urban 19396
Bielecki 18230
Zych 14 083
Kwaśniewski 9474
Miller6221
Oleksy 5087
Rokita 43 91
Labuda 3229
Moczulski 2544
Olechowski 1391
Wałęsa 933
Michnik 866
Milczanowski 735
Onyszkiewicz 442
Kuroń 357
Kołodko 324
Mazowiecki 295
Pieronek 260
Geremek 215
Jaskiemia 105
Glemp 42
Jaruzelski 34
Stomma 30
Cimoszewicz 17

Innymi słowy ma Olszewski 2626 razy większe poparcie niż Cimoszewicz! – Czy to jest zgodne z demokracją? Jeżeli, co więcej, od 17 Cimoszewiczów odejmiemy jego samego, żonę i dwójkę dzieci... Cóż pozostanie? Ledwie trzynastka. Cóż oni mogą działać przeciw Nowakom!?

Na szczęście nie musimy się zdawać na aktualny układ polityczny. Patrząc na nazwiska polskie możemy sobie uświadomić, że i przeszłość kraju i jego przyszłość są przed nami.

Do wyboru, do koloru. Starczy i dla monarchisty, i anarcho-syndykalisty, i liberała, i rewolucyjnego socjalisty, i dla klerykała. Bo oto samych Wyszyńskich (a każdy sobie wybierze, czy woli kardynała, czy komisarza i prokuratora) jest w Polsce 6614. *A propos*

dowcip z roku 1966. Słuchacze Radia Erewan zapytują: czy to prawda, że kardynał Wyszyński chciał oddać Ziemię Zachodnie Niemcom? Odpowiedź: prawda, ale z trzema drobnymi sprostowaniami. Po pierwsze – nie kardynał Wyszyński, ale komisarz; po drugie – nie Ziemię Zachodnie, ale Wschodnie; po trzecie – nie oddać, ale zabrać. – Młodzieży wyjaśniamy, że był Andriej Wyszyński doradcą Stalina i głównym oskarżycielem w sfałszowanych procesach politycznych lat 1936–1939, potem nawet ministrem spraw zagranicznych ZSRR (1949–1953). – Czy wic jest już śmieszny? – Tak? – To jedziemy dalej. Oprócz Wyszyńskiego (Wyszyńskich?) są w Polsce współnicy w imieniu i innych luminarzy:

Mickiewicz 3130

Mościcki 3016

Bach 2263

Gomułka 1684

Trocki 1223

Gierek 965

Szela 930

Marat 791

Kościuszko 676

Dzierżyński 672

Łokietek 590

Jezusek 371

Batory 316

Romanów 246

Herod 188

Dyzma 157

Kopernik 119

Słowacki 88

Piast 76

Budda 64

Cezar 57

Kałasznikow 42

Waza 37

Rokossowski 32

Kohl 29

Kutuzow i Suworow po 12

Kadar i Narutowicz po 11

Piłsudski i Traugutt po 8

Heydrich i Norwid po 5

Odys 4

Kennedy, Newton i Wallenstein – 3

Achilles, Carter, Mohomet, Molier i Neron – 2

Oprócz tego w województwie warszawskim zamieszkują Kasandra i Stalin, w zielonogórskim – Bonaparte, w szczecińskim – Danton, w bielskim – Casanovą, a w chełmskim Gagarin.

Skończmy jednak z polityką i patosem. Najprzyjemniej czyta się nam przecież te nazwiska, które sami najbardziej chcielibyśmy nosić.

Oto one:

Kuś 11 007

Fiut 1211

Oszust 1083

Kręcichwost 733

Owsik 454

Bindas 345

Cipa 299

Glista 266

Kuper 226

Kupa 204

Moczygęba 199

Kuciapa 121

Fujara 85

Stolec 49

Burdel 44

Moczyróg 36

Mocz 21

Kutas i Chujeba po 14

Jebas i Pierdoła po 5

Menda i Nocnik po 4

Dupka 3

Kiep i Piździor 2

Występuj ą także pojedynczo: Kurwacz, Minetka, Piczka, Pizdulka, Sracz i Sraka...

Pomimo tej różnorodności nazwisk kraj nasz jawi się ubogi. „Złotych” w nim tylko 285 + 740 „Groszy”, „Rubli” – 92, a „Dolarów” zaledwie 14, z których dwunastu mieszka w Koszalińskim, a dwoje w Lubelskim.

Wszelkie dane do tej opowieści zaciągnęliśmy z benedyktyńskiej pracy profesora Kazimierza Rymuta, a ściślej – z jego wspaniałej encyklopedii „Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych” i erudycyjnego dzieła „Nazwiska Polaków”. Niestety Rymutów jest w naszym kraju tylko 238. Najwięcej w Rzeszowskim i Tarnowskim. Tam trzeba się więc udać, by rozszyfrować tajemnicę swojego zawołania. Niestety, mogą z góry zapewnić wątpiących: wszyscyśmy Żydzi.

Ortografia francuska

We Francji zreformować cokolwiek bez pomocy rewolucji lub co najmniej wstrząsu psychicznego po przegranej wojnie jest ogromnie trudno. Są jednak rzeczy, na których zmianę nawet gilotyna nie poradzi. Należy do nich przede wszystkim ortografia francuska. W ciągu ostatniego wieku przedłożono odpowiednim instancjom kilkadziesiąt projektów poprawek w tej dziedzinie. Niektóre z nich popierała ze wszystkich sił sama Akademia Francuska, a więc symboliczny strażnik czystości narodowego języka. Na próżno. Za każdym razem tumult podnoszony przez prasę, protesty nauczycieli i listy wysyłane masowo przez rencistów i emerytów brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Z biegiem lat i staczanych bitew niektóre słowa urosły wręcz do wzniosłych symboli bratobójczej walki. Taki na przykład *nénuphar*.

Nénuphar to swojski, polski nenufar, zwany też grzybieniem albo grązelem – bylina wodna zakwitająca na jeziorach dużymi białymi lub żółtymi kwiatami (uwaga, zrywać nie wolno! – gatunek pod ochroną!). Otóż po francusku „ph” wymawia się jak „f”, które też w żabojadzkim języku istnieje, czego dowodem sama już *France*. Dlaczego więc „ph”? „Ph” zastępuje bezmyślnie „f” w wyrazach pochodzących z greckiego. Pech w tym, że nenufar przywędrował nad Sekwanę prosto z Iranu, gdzie nosi perskie imię *nelufar* bez żadnego „ha”, a potomkowie Achillesa w dostarczaniu rośliny do Europy w najmniejszym nawet stopniu nie pośredniczyli. Ale – czytamy w liście do „Le Parisien”, podpisanym przez siedemnastu byłych nauczycieli literatury z okolic Tours: „zamiana ‚ph’ na ‚f’ odebrałaby kwieciciu jego pokrewieństwo z «philosophie», a w konsekwencji brutalnie zwulgaryzowało percepcję głębi jego piękna...” Liryczni staruszkowie – klimakterium robi jednak swoje – zapomnieli już, że przez „f” pisze się *femme* – kobieta, czy jeszcze *fantaisie* albo *féerie* (tłumaczenie chyba zbędne).

Inny podobny przypadek to *dompter* – poskramiać, ujarzmiać, obłaskawiać. „P” i tak się tutaj nie wymawia. Bierze natomiast to słowo swój początek w łacińskim *domitare*, gdzie przecież „p” ani widu, ani słyhu. Co więcej, we wczesnym średniowieczu pisało się to *donter*. „P” pojawia się dopiero w XV wieku i doprawdy najtęższe głowy nie potrafią wyjaśnić, po jaką cholere. Tym razem przeciwnicy jakichkolwiek zmian nie znaleźli już romantycznych argumentów. Pozostały im: tradycja, święte zasady, czyli innymi słowy – a właśnie że my i tak nie pozwolimy. I kwita.

Ponieważ opór przeciw zmianom najsilniejszy był każdorazowo w najstarszych kategoriach wiekowych, w roku 1990 wystąpiła Najwyższa Rada Języka Francuskiego z taką oto propozycją kompromisu do ludu Republiki: „Nasze propozycje nie będą w żadnym przypadku narzucane starszym użytkownikom pisma. Formy ortograficzne nowe i stare uznawane będą za całkowicie równouprawnione i jednako poprawne aż do chwili wymiany generacji i całkowitego zapanowania nowej pisowni”. Trzeba przyznać (choć niektórzy dalej wierzą, że elegancja – Francja), iż słów w sklepie z porcelaną zachowałby się delikatniej. W

przekładzie na język potoczny oznacza to bowiem: „rypnijcie skostniałe matuzalemy kopytami w kalendarz, bo bez tego wasze nieszczęsne dzieci dalej dostawać będą szału przy okazji, każdego dyktanda...” Dorośli odczytali to prawidłowo i zafundowali reformatorom taki konflikt pokoleń, że projekt ten szybciej niż inne poleciał do kosza na śmieci. Uznano go bowiem, ni mniej, ni więcej – za próbę rozbijania rodziny. Argument ten okazał się szczególnie chwytliwy. Bo jakże to? – Syn miałby pisać inaczej niż ojciec? A jeśli dzieci zaczną kpić z pisowni rodziców? Kiedyś już Cham wyśmiewał swego ojca Noego i wiadomo że nie miało to dobrych skutków dla harmonii podstawowej komórki społecznej...

W rzeczywistości, o czym nikt się jednak nigdy nawet nie zająknął, chodziło jak niemal zawsze o pieniądze. Przy drobnych nawet zmianach w regułach pisowni nieaktualne stają się wszystkie będące w użyciu słowniki ortograficzne. Wycofać trzeba by z obiegu miliony podręczników szkolnych. Do tego momentu sądzić byśmy mogli, że przynajmniej lobby wydawców powinno popierać reformę. Ale przecież w toku opracowania znajduje się ileś tam encyklopedii i leksykonów. Pierwsze tomy są już na rynku – czy mogą być one drukowane inną pisownią niż następne? Trzeba by więc wymienić (darmowo?) setki tysięcy tomów.

Kiedy w ZSRR potępiono Berię, redakcja Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej wysłała abonentom uzupełnienie informacji o Morzu Beringa, które miało być wklejone w miejsce wrażego biogramu. W przypadku francuskim sprawa byłaby jednak daleko bardziej skomplikowana. Nowo pisane słówka występować mogły przecież co trzecią stronę.

W sumie nikt więc nie widział w reformie finansowego interesu. Wręcz odwrotnie.

Krótko mówiąc, zblądziliśmy podając na chwilę w wątpliwość formułę „Francja – elegancja”. Jest bowiem elegancją, a nawet subtelnością, myśląc wyłącznie o szmalu dyskutować problem soczystości barw i metafizyki wodnych nenufarów. Łza się w oku kręci.

Paryskie symbole czyli uroda ludzkiej pomyłki

Pamięci Profesora Aleksandra Jackiewicza

Akt I. Wieża Eiffla

Powstała wieża Eiffla z okazji Wystawy Światowej 1889, której miała być ozdobą i atrakcją. Jej twórcą był, jak nazwa wskazuje, inżynier Gustaw Eiffel, znany wcześniej jako konstruktor wiaduktu nad Sioule (1869), mostu w Porto (1876), a przede wszystkim wysokiego na 122 metry wiaduktu Garabit (1878) – cudu techniki owych czasów. Wieża przyniosła mu nie tylko nieśmiertelną sławę, ale również Legię Honorową, którą udekorował go w dniu inauguracji (31 marca 1889) minister handlu Edward Lockroy (w zastępstwie premiera Piotra Emanuela Tirarda, który dostawszy zadyszki nie dotarł na najwyższą platformę, jako że windy założono dopiero parę tygodni później). Wysokość wieży: 300 metrów i 1 centymetr, waga: 9699 ton.

„Jest ta wieża spełnieniem odwiecznego marzenia...” – powiedział w inauguracyjnym przemówieniu premier Tirard i niewiele przesadził. Projekty wysokich konstrukcji „na miarę stolicy świata” przedstawiono już Karolowi VIII, Franciszkowi I, Henrykowi IV, Ludwikowi XV, Napoleonowi... Realizacji monumentalnego pomysłu Alfreda Picarda przeszkodziła niemal w ostatniej chwili Rewolucja Lipcowa. Konkurentem zaś Eiffela był, aż do końca 1886, Juliusz Bourdais – zwolennik budowy cylindrycznej wieży, również na 300 m wysokości, zwieńczonej koroną stu potężnych reflektorów, które „oświetlałyby równomiernie nie tylko cały Paryż, ale także Lasek Buloński, Neuilly i Levallois aż po Sekwanę”. „Zważywszy na wysokość naszych domów – pisał o tym projekcie złośliwy dziennikarz – stojących jak skały wzdłuż wąskich kanionów, jak i na to, że ulice Paryża nie rozchodzą się koncentrycznie z miejsca przeznaczonego na tę monstrualną kolumnę, przypuszczać należy, iż tylko dachy miasta zalane zostaną światłem; tak więc, co zapewne nie jest w zamiarze twórców, skorzystają na tym nasze koty, podczas gdy przechodnie po staremu łamać będą nogi w ciemnościach”.

Pomimo „odwiecznych marzeń” ostateczna decyzja o przystąpieniu do budowy „konstrukcji stalowej podług wyliczeń inżyniera Gustawa Eiffela”, podpisana 8 stycznia 1887 przez Edwarda Lockroy i prefekta Paryża Eugeniusza Poubelle’a (tak! – tego od pojemników na śmieci), wywołała burzę najsolenniejszych protestów.

14 lutego publikuje „Le Temps” list otwarty do Adolfa Alphanda – naczelnego architekta Paryża. Podpisują go między innymi: Guy de Maupassant, Aleksander Dumas, Sully Prudhomme, poeci: Franciszek Coppée, Leconte de Lisle; malarze: Jan Ludwik Meissonier, Leon Bonnat, Adolf Bouguerau, Adolf Willette; architekci, z twórcą Opery paryskiej Karolem Garnier na czele, muzycy, z Karolem Gounodem, aktorzy, z Wiktorianem Sardou... „Obywatelu i drogi rodaku! – My, niżej podpisani, pisarze, malarze, rzeźbiarze, architekci, wielbicieli nie skażonego dotąd piękna Paryża, w imię dobrego gustu Francuzów, w imię

Francji, jej historii i sztuki, protestujemy z oburzeniem przeciw planowanemu wzniesieniu w samym sercu stolicy bezużytecznej i monsturalnej wieży Eiffia, którą głos gminu, pełen zdrowego rozsądku, obwołał już teraz nową wieżą Babel. Bez popadania w szowinistyczną przesadę możemy śmiało stwierdzić, iż jest Paryż bezsprzecznie najpiękniejszym miastem świata. Wzdłuż jego ulic, szerokich bulwarów, zachwycających nadbrzeży i promenad wznoszą się najwspanialsze dzieła ludzkości. Dusza Francji, twórczyni tych arcydzieł, delectuje się tym rozkwitem kamiennego dostojęstwa. Włosi, Niemcy, Holendrzy, acz słusznie dumni ze swojego dziedzictwa artystycznego, nie posiadają nic, co byłoby porównywalne z naszym, i dlatego też budzi Paryż ciekawość i uwielbienie po wszech zakątkach świata. Czyż mamy to wszystko sprofanować? Czy Paryż ma się podporządkować kupieckiej wyobraźni konstruktora maszyn, tracąc piękno i honor? Nie! – Ta wieża, której nie chciałaby nawet skomercjalizowana Ameryka, jest ponad wszelką wątpliwość obelgą dla miasta. Wszyscy to czują, wszyscy to powtarzają, wszyscy tym się trapią; jesteśmy tylko słabym echem jakże słusznie zaniepokojonej opinii publicznej. Cudzoziemcy przybywający na naszą wystawę zakrzykną zdumieni: «A więc to taką obrzydliwość wybrali Francuzi, aby dać świadectwo swoim gustom?» I tak kpiąc z nas bezlitośnie będą mieli rację. Bowiem Paryż wzniosłych gotyków, Paryż Jana Goujon, Piona, Pugeta, Rude'a, de Barye'go etc... stanie się Paryżem pana Eiffela. By zrozumieć zasadność naszego oburzenia, wystarczy wyobrazić sobie tylko tę ośmieszającą wieżę panującą nad Paryżem niczym gigantyczny słup czarnego, fabrycznego dymu i przywalającą swoim barbarzyńskim ciężarem Notre Dame, Saint Chapelle, wieżę św. Jakuba, Luwr, kopułę Inwalidów, Łuk Triumfalny... Oto wszystkie nasze zabytki upokorzone i pomniejszone, znikające w tym obłąkanym śnie. Przez długich dwadzieścia lat będziemy zmuszeni patrzeć, jak na to miasto, drżące niespokojnym geniuszem wieków, kładzie się jak plama atramentu ohydny cień ohydnej kolumny z poskręcanej mutrami blachy. – Zwracamy się do Pana, który tak kochasz Paryż, który tyle mu piękna przydałeś, który tyle razy broniłeś go przed dewastacją i wandalizmem przemysłu, do którego więc należy honor bronić go raz jeszcze. Zwracamy się do Pana broniąc sprawy Paryża, gdyż wiemy, iż jako artysta miłujący to, co piękne, wielkie i sprawiedliwe, poświęcisz jej prawie całą energię i elokwencję. A jeśli nasze wołanie na alarm nie zostanie wysłuchane, jeśli odrzucone zostaną i pańskie argumenty, jeśli Paryż uprze się, by być zhańbionym, zostawimy przynajmniej potomności – Pan i niżej podpisani – ten protest, który przynosi nam szczyt”.

Riposta nie dała na siebie czekać. „Wieża nie jest obiektem bezużytecznym – replikował sam Lockroy – nie jest też zwykłą atrakcją Wystawy Światowej: przeciwnie, oddaje nauce nieocenione usługi”. „Jest wieża – stwierdzał Eugeniusz-Melchior de Vogüe – wiekopomnym zwycięstwem łóż masońskich nad skarłałymi klerykałami, ciosem w parafialne mistyfikacje, rewanzem za porażkę wolnomularzy z Senaaru, uosobieniem wszechpotęgi nauki wznoszącej wieżę Babel, budowy, której biblijny Bóg zakazał”. „Wspaniały dowód potęgi przemysłowej naszego kraju”; „pomnik świeckiego geniuszu”; „niebawywały wzlot myśli świeckiej”... – dorzucali inni. Zaś Gaston Tissandier konkludował:

„Ta wieża symbolizować będzie nie tylko kunszt współczesnej inżynierii, lecz cały ten wiek Nauki i Przemysłu, w którym żyjemy; stanie się pomnikiem wdzięczności dla bohaterów odrodzenia naukowego w końcu XVIII wieku i Rewolucji 1789 roku, którzy wytyczali drogi postępu”.

W miarę posuwania się robót i podnoszenia się wieży głosy zwolenników stawały się coraz głośniejsze i bardziej egzaltowane. Znany nam już de Vogüe zwracał się w imieniu wieży Eiffla do dzwonnicy katedry Notre Dame: „O wy – stare, opuszczone wieże, których nikt już nie słucha. Czyż nie widzicie, iż zmieniły się bieguny Ziemi krążącej teraz wokół mojej stalowej osi? Jestem siłą wszechświata ujętą w karby geniuszem rachunku. Myśl ludzka biegnie wzdłuż moich członków. Moje czoło opasane jest blaskiem przyniesionym ze źródeł światła. Wy byliście ciemnotą, ja jestem Nauką!” W nie mniej podniosłym tonie sekunduje mu anonimowy autor „Oficjalnego przewodnika po wieży Eiffla”: „To stąd tylko (z drugiej strony platformy wieży – przyp. LS) ogarnąć można wielkość postępu Dziejów. Natura i Historia ukazują tutaj swoją pełnię. To tam – na tej równinie rozciągniętej u waszych stóp dokonała się przeszłość. To tutaj (na wieży – LS) wypełni się przyszłość. (...) Dzięki swojej formie fabrycznego komina wprowadza Wieża triumfalnie do Paryża ten przemysł, którego starano się go pozbawić. Wznosząc się dumnie przypomina niebom o potędze postępu, o zwycięstwie Nauki i Przemysłu”. Wieńczy peany poświęcone wieży kompozycja Adolfa Davida „Poemat symfoniczny”, opus 63:

- „– Inżynierowie i robotnicy przybywający na Pola Marsowe (*lento*)
- Początki prac i fundamenty wieży (*moderato*)
- Szczęk żelaza (*moderato e martellato*)
- Pracownicy żelaza (*allegro et gaiement*)
- Zmieszanie i obawy pośród robotników (*allegro mouvementé*)
- Pierwsza platforma, wieża się wznosi, coraz bliżej szczyt (*andante cantabile*)
- Ludzie na wieży (*moderato accelerando e crescendo jusqu'a la fin*)
- Hymn i flaga francuska (*lento e grandioso*).”

Dodać wypada, iż lokalizacja wieży Eiffla podkreślała w oczach zwolenników jej symboliczny wymiar. Aż do 1765 roku winnice pokrywały Pola Marsowe, przez piętnaście następnych lat były one placem ćwiczeń elewów pobliskiej Szkoły Wojskowej. Od tego jednak czasu rozślawiły Pola liczne spektakularne wydarzenia:

1783 – Bracia Robert ekspedują stąd wielki balon (który spadnie w Gonesse koło Ecouen, siejąc panikę wśród wieśniaków).

1794 - Balon Blancharda.

14 lipca 1790 – Święto Federacji pod przewodnictwem Talleyranda. Ponad 300 tysięcy paryżan składa w ulewnym deszczu przysięgę na wierność Narodowi i Konstytucji.

10 listopada 1794 – Egzekucja Jana Bailly, astronoma i mera Paryża (tego właśnie, który na zwróconą przez kata uwagę, że drży ze strachu przed śmiercią, miał powiedzieć: „–Ależ nie, przyjacielu, to z zimna”).

8 czerwca 1794 – Święto Apoteozy istoty Najwyższej zorganizowane przez Robespierre'a.

10 listopada 1804 – Napoleon rozdaje legiom orły.

1863 – Start dwugondolowego balonu „Le Géant” skonstruowanego przez Nadara.

1867 – Wystawa Techniczna.

1878 – Wystawa Światowa.

Budowa wieży trwała 26 miesięcy (dokładnie 795 dni). Prasa paryska relacjonowała jej przebieg z wzrastającym entuzjazmem: „Robotnicy rywalizują ze sobą w zapale i uwielbieniu dla wspólnego dzieła. Nie straszne im zmęczenie ani niepogoda; czy to zima, czy najgorętsze dni lata, pracują z całkowitym oddaniem, odwagą i niezłomną wolą zwycięskiego zwieńczenia wieży” – donosił „Le cri de peuple” z czerwca 1887. Zaś „Le Rappel” dorzucał 13 sierpnia: „Liczba ciekawskich, przyglądających się budowie, wciąż rośnie. Cudzoziemcy, przejazdem w Paryżu, wracają z terenów wielkiego przedsięwzięcia zachwyceni i nieco zazdrośni. (...) Wszyscy są zgodni, że wieża wyrasta jakby sama z siebie”.

Wreszcie, 1 kwietnia 1889, po przemówieniach, celebrach, orderach i wstępach, wtargnęli na wieżę turyści. Księga pamiątkowa wyłożona przy wejściu na schody pozwala nam poznać ich pierwsze wrażenia: „Jakich szczytów sięgnie geniusz Francuzów w 1889? – Odpowiedzą obłoki” (gość z Brazylii); „O Egipcie, ukochana moja ojczyzno, jakże chciałbym zobaczyć kiedyś ze szczytów piramid, wzniesione rękami twoich dzieci, dzieło równie potężne i wspaniałe jak wieża Eiffla!”; „O moja ojczyzno! Kiedy taki sukces osiągniesz?” (Węgier); „Geniuszu francuski, ty zawsze pierwszym będziesz w świecie!”; „Widząc wieżę Eiffla jestem dumna, że jestem Francuzką”, „Tak jak na wieży Babel, jest i tutaj wielkie poplątanie języków, lecz nie dzieli ono ludzi – przeciwnie, łączy w jednogłośnym uwielbieniu Francji” (Greczynka); „Znalazłem na wieży bezmiar ojczystych mórz” (Bretończyk). I tylko niejaka Bloumette zdobyła się na nieco dystansu, odnotowując: „Im bardziej podziwiam wieżę Eiffla, tym bardziej odczuwam znikomość wysokich obcasów”; zaś sierżant 18 regimentu piechoty, wyprzedzając wszelkie reinterpretacje freudowskie, skreślił dosadnie i krótko: „Imponujący penis!” Natomiast jedyna reakcja sceptyczna i zgorzkniała należała tego dnia (czyż to nie dodatkowy symbol?) do rodaka znad Wisły: „Budujemy coraz wyżej, upadamy coraz niżej. Stanislas Skarżyński”. Ale głos jego zniknął na szczęście w ogólnej wrzawie.

Przeciwnicy wytaczali przeciw wieży argumenty natury estetycznej: „Jest monstualna”, „obrzydliwa”, „ośmieszająca”, „ohydna”, „nie jest z kamienia”, ale „z poskręcanej mutrami blachy”, „przywała barbarzyńskim ciężarem zabytki miasta”, powoduje, że „Paryż gotyków stanie się Paryżem pana Eiffela etc.; etycznej: „wieża profanuje”, „odbiera honor”, „upokarza”, jest obelgą”, jest nową wieżą Babel”...; utylitarne: „Jest bezużyteczna” i wreszcie socjoideologiczne: stworzyła wieżę „kupiecka wyobraźnia konstruktora maszyn”, „nie chciałyby jej nawet skomercjalizowana Ameryka”, Jest wytworem przemysłowym”...

Wśród kontrargumentów odnajdujemy natomiast „zwycięstwo nad klerem”, nad „parafialnymi mistyfikacjami”, „ciemnotą”, „przeszłością”; triumf „żelaza”, „przemysłu”, „nauki”, „wolnej myśli”, „świeckiego geniuszu”, „przyszłości”, „tradycji Oświecenia i

Rewolucji Francuskiej”, „użyteczności” i patetyczne wyznanie: „Tak, jest to nowa wieża Babel”.

Nietrudno zauważyć symetrię argumentów i kontrargumentów. Układają się one jakby w dwa cykle opozycji.

1 – przemysł : sztuka; inżynier : artysta; żelazo : kamień

2 – przyszłość : przeszłość; nauka : religia; wolność : tradycja.

Zacznijmy od pierwszego zestawienia – przemysł : sztuka. Francuskie słowo *l'industrie* (zresztą i w polskim: industrializacja) wywodzi się z łacińskiego *industria*, czyli działalność zbiorowa, działalność zamkniętej grupy wtajemniczonych... Jeszcze w XVIII wieku *chevalier d'industrie* oznaczało rzezimieszka, członka gangu złodziejskiego. Negatywne zabarwienie słowa przetrwało aż do połowy XIX wieku, sugerując działalność niestosowną, gminną, a nawet poniżającą. Sztuka natomiast – *l'art*, z łacińskiego *ars-tis* (zdolność, talent) i głębiej – indoeuropejskiego *aritus/ritus* odwołuje się do obrzędu, działalności sakralnej, świętości, jednostkowego ze świętością spotkania.

Na poziomie etymologicznym rozróżnienie przemysłu i sztuki wyznacza więc dalsze przeciwstawienia:

przemysł : sztuka

zbiorowe : indywidualne

świeckie : sakralne

Równoległe opozycja : żelazo : kamień, gdzie żelazo jest tworzywem przetworzonym, kamień zaś z interwencji ludzkiej poczęty, stawia nas wobec fundamentalnej, strukturalnej opozycji kultura : natura „Mit – twierdził Roland Barthes – polega na odwróceniu kultury w naturę, lub co najmniej społecznego, kulturowego, ideologicznego, historycznego – w «naturalne»: to, co jest tylko wynikiem podziałów społecznych, estetycznych, moralnych, przedstawiane jest nam jako «oczywiste samo z siebie», «zdrowy rozsądek», «słuszne prawa», «norma ludzka»... jednym słowem **doxa** (rzecz dana u początków)”. Podstawowa funkcja wyobrażeń zbiorowych polega więc na permanentnym przetwarzaniu kulturowego w naturalne, na mitycznym usprawiedliwianiu i integrowaniu kultury. Tymczasem, w osobliwym przypadku zwolenników wieży Eiffla, mamy do czynienia z tendencją dokładnie odwrotną. – My odrzucamy naturę! Opowiadamy się świadomie po stronie przetworzonego. Nie chcemy objawionych tradycji, lecz prawd przez nas samych ukutych. Jesteśmy przyszłością! Jesteśmy heretykami!... – Ileż w tym snów Castropa i Settembriniego, zapowiedzi futurizmu i surrealizmu!

Antropolog wie jednak, i w tym bolesna dolegliwość jego (*nomen omen*) zawodu, że prawdy nie ma i że nie ma wolności, że mit tylko mit poprzedni zastępuje. Mitem zwolenników wieży stało się społeczeństwo wyzwolone – bez tradycji, religii, przeszłości; z postępem pnące się ku wolności niewzruszonej i już, już jej sięgające. Wolności, w której nie ma nudnych zakazów i otepiałych tabu sprzed lat. Przemysł, żelazo, nauka!

W pięćdziesiąt lat później małe wieżyczki Eiffla reklamowały (a niekiedy i dziś reklamują) miejsca intymnych schadzek w Portugalii, Ameryce Środkowej, na Dalekim Wschodzie, „po

wszech zakątkach świata”. Dekoracje przedstawiające wieżę Eiffla są też, i w naszej dobie, niezbędnym elementem paryskich kabaretów, które jak „Folies Bergère” czy „Crazy Horse”, czują się lub sprzedają, jako „po parysku” prawdziwie wyzwolone. Nawet w prywatnych apartamentach burdelowych przy St. Denis mała, złota makietka wieży jest obiektem rytualnie nieuniknionym.

Ongiś przemysł, żelazo, nauka; teraz nagość, pióra, Chanel... Nowe pokolenia nieubłaganie strawestowały idee zwolenników inżyniera Eiffela. Czy jednak naprawdę zdradziły przesłanie?

W czerwcu 1984 roku lesbijki Paryża, domagające się prawa legalnego zawierania związków małżeńskich, niosły na czele pochodu kartonową wieżę Eiffla. Z tyłu widać było transparent: „Niech zwycięży myśl świecka”... Słońce wyszło zza obłoków i uśmiechnęło się do wieży.

Akt II. Łuk Triumfalny

Zadekretowana przez Napoleona na polu bitwy pod Austerlitz budowa Łuku Triumfalnego potrwała lat trzydzieści (15 sierpnia 1806 – 29 lipca 1836). W tym czasie obejrzała Francja upadek Cesarstwa, wkroczenie Kozaków do Paryża, restaurację Burbonów Sto dni, powtórna Restaurację, Rewolucję Lipcową, początek rządów Ludwika Filipa...

Pierwotnie przewidywano lokalizację Łuku w okolicach dzisiejszego placu Bastylli, tamtędy bowiem, przez ulicę Przedmieścia św. Antoniego, wracały armie ze wschodu. Zmiana tego projektu jest zasługą ministra spraw wewnętrznych, Jana Chrzciciela Champagny, który zrećnie zasugerował Cesarzowi, iż wznosząc się na rogatce Gwiazdy będzie Łuk widoczny z Tuileries, a więc „zawsze przed oczyma Triumfatora”, a co więcej „Najjaśniejszy Pan będzie pod nim przejeżdżał udając się do Malmaison...”

Mury Łuku wznosiły się na 5,40 metrów, gdy zmarł nagle (20 stycznia 1811) twórca jego projektu i naczelny architekt Jan Franciszek Chalgrin. Prace pod nadzorem jego wiernego ucznia Gousta doprowadziły budowlę, w tragicznych dniach upadku Cesarstwa, do wysokości 20 metrów. Nastąpiła teraz siedmioletnia przerwa. Wznowiono budowę dopiero 9 października 1823 na mocy zarządzenia Ludwika XVIII, z nowym jednak programem dekoracyjno-ideowym: Łuk rozślawiać miał teraz burbońskie przewagi w Wojnie Hiszpańskiej. Goustowi przydzielony zostaje polityczny kontroler – ultraroyalistyczny architekt Huyot, który kwestionując systematycznie wszystkie rysunki Chalgrina, powoduje ostatecznie, w lutym 1830, dymisję Gousta. Triumf Huyota jest jednak krótki. W pięć miesięcy później Rewolucja Lipcowa zmiata Burbonów. Ludwik Filip powraca do pierwotnej koncepcji Łuku – pomnika chwały zwycięstw Rewolucji i Cesarstwa, a jej realizacja powierzona zostaje Ablowi Blouet, którego też imię wyryte zostanie, na wieczną rzecz pamiątkę, u szczytu wschodniego filaru.

Ma Łuk 49,5 metra wysokości i 22 głębokości. Zdobia go rzeźby, płaskorzeźby i liczne inskrypcje.

1. Rzeźby

– Od strony Pól Elizejskich:

na prawym filarze „Wymarsz ochotników” Franciszka Rude’a (ucznia Cartelliera); rzeźba znana dziś popularnie pod nazwą „Marsylianki” od dominującej kobiecej postaci „geniusza wojny”;

na lewym filarze „Triumf Napoleona” Jana Piotra Cortota.

– Od strony Neuilly:

dwa alegoryczne przedstawienia Antoniego Etexa: „Obrona Francji przed koalicją 1814” (po prawej) i „Pokój” (po lewej).

2. Płaskorzeźby

– Od strony Pól Elizejskich:

po prawej: Śmierć Franciszka Marceau pod Altenkirchen 21 września 1796,

po lewej: Bitwa pod Aboukir (25 lipca 1799). Kincei Mustafa poddaje się Bonapertemu i Muratowi.

– Od strony Neuilly:

po prawej: Atak na most pod Arcole (17 listopada 1796). Na pierwszym planie Bonaparte i doboż Andrzej Etienne;

po lewej: Zdobycie Aleksandrii przez Klebera (2 lipca 1799).

– Od strony alei Wagram:

Bitwa pod Austerlitz (2 grudnia 1805). Napoleon wyprowadza Gwardię do ataku.

– Od strony alei Klébera:

Bitwa pod Jemmapes (6 listopada 1792). Karol Dumouriez rozpoczyna atak kawalerii. W głębi, pośród sztabowców, rozpoznać można postać hrabiego Chartres – późniejszego króla Ludwika Filipa.

3. Inskrypcje.

A. 150 nazw miejscowości związanych z sukcesami orężnymi Republiki, Dyrektoriatu i Cesarstwa. Patrząc na mapę współczesnej Europy, 35 spośród nich odnajdujemy we Włoszech, 29 w RFN, 25 w Hiszpanii, 10 we Francji, 9 w byłym ZSRR, 8 w Niemczech, 7 w Belgii, po 5 w Egipcie, Austrii i Polsce (zachowując pisownię z Łuku: Pułtusk, Ostrolenka, Eylau, Danzing, Breslaw), 4 w Holandii, 2 w Portugalii, oraz po jednej w Czechach (Austerlitz), Luksemburgu (Luxembourg), Jugosławii (Montenegro), Szwajcarii (Zurich), Izraelu (Jaffa) i na Węgrzech (Raab–Győr).

B. Nazwiska 660 dowódców wojskowych reprezentujących znów kilkanaście narodowości. Oprócz Francuzów są tu Niemcy, Włosi, Belgowie, Holendrzy, Szwajcarzy, Hiszpanie, siedmiu Polaków: Kniaziewicz, Poniatowsky (Poniatowski), Lasowki (Łazowski), Dombrowsky (Dąbrowski), Zayonscheck (Zajączek), Sulkosky (Sułkowski), Kłopisky (Chłopicki)... a nawet i przybysze z Austrii (Scherer), Irlandii (Kilmaine), Dominikany (Bruix) czy Wenezueli (Miranda).

Z wieńczonego przez Łuk Triumfalny placu Gwiazdy (obecnie place Charles de Gaulle–Etoile) rozchodzi się promieniście dwanaście (od 1854) szerokich alej: Pola Elizejskie

oraz – licząc od nich w kierunku ruchu wskazówek zegara aleja Marceau (Franciszek Marceau–Desgraviere, 1769–1796, rewolucyjny generał, zwycięzca spod Koblencji i Neuwied, ginie pod Altenkirchen w wieku 27 lat), aleja Jeny (zwycięstwo Napoleona nad armią pruską 14 października 1806), aleja Klébera (Jan Chrzyciel Kléber, 1753–1800 – zwycięzca spod Fleurus, dowódca armii egipskiej, zaszyty w Kairze), aleja Wiktora Hugo, aleja Focha, aleja Wielkiej Armii (od 1805 nazwa oficjalna armii Napoleona), aleja Carnota (Łazarz Carnot, 1753–1823 – czołowy działacz Rewolucji Francuskiej, członek Dyktatoratu, przejściowo minister wojny Napoleona, później jego przeciwnik, przyjmuje jednak podczas stu dni tekę ministra spraw wewnętrznych; wypędzony w 1816 r. poświęca się pracy naukowej), aleja Mac–Mahona (Edme–Patryk Mac–Mahon, 1808–1893) – generał, rojalista, zasłużony podczas Wojny Krymskiej i pod Magentą, pogromca Komuny Paryskiej, prezydent Francji (1873–1879), aleja Wagram (zwycięstwo Napoleona nad Austriakami 4–6 lipca 1809), aleja Hoche’a (Łazarz–Ludwik Hoche, 1768–1797 – generał rewolucyjny, okrutny pacyfikator Wandei) i aleja Friedland (zwycięstwo Napoleona nad armią rosyjską 14 lipca 1807).

Zamyka Łuk jedna z najpiękniejszych perspektyw urbanistyki światowej: plac Gwiazdy – Pola Elizejskie – plac Zgody z obeliskiem luksorskim (XIII w. przed Chrystusem) – Ogrody Tuileryjskie – Łuk Karuzelu – Luwr.

„Wielkość kamienia na wielkość chwały” – napisał Wiktor Hugo (w poemacie zadedykowanym skądinąd swojemu ojcu, generałowi, „dla którego nazwiska nie znalazło się miejsce na Łuku Triumfalnym”). Miał być Łuk Triumfalny pomnikiem siły oręża francuskiego, dumy narodowej, niezłomnej potęgi imperium. To stąd wyruszyły wojskowe konduktory pogrzebowe Ferdynanda Focha (1926), Józefa Joffre’a (1931), Filipa Leclerca (1947), Jana–Marii Lattre de Tassigny (1952) czy bohatera wojen kolonialnych. Ludwika Lyautey (1934). To tu, przy ustanowionym w 1921 roku Grobie Nieznanego Żołnierza, dokonują się uroczyste zmiany wart. To tędy wiedzie obowiązkowa trasa wszystkich dętych wojennych parad.

Turyści jednak, z radosną nieznajomością splamionych kart militarnych dziejów, w kolorowym Paryżu tak odległym od huków armat i bitewnego kurzu, z zadartymi głowami wypatrują na Łuku nazw rodzinnych miejscowości lub swojsko brzmiących nazwisk. Anglicy przywłaszczają sobie Clarke’a, MacDonalda, Hatry’ego, Price’a; Niemcy – Kellermana, Stroltza, Stengla...; Hiszpanie – Almerasa, Miquela, Loverda... Portugalczycy – Cosmao, Dugua... Litwini – Baltusa, Czesi (sam słyszałem) – Zayonschecka... nieważne, że owi w grobach się pewnie przewracają. W beztróskim języków pomieszaniu staje się Łuk Triumfalny znakiem kosmopolityzmu, wyrasta ponad narody, granice, armie i szabelkowe spuścizny.

Paradoksalnie, to właśnie nieświadomi rzeczy turyści mają najgłębszą rację. Od samych bowiem początków, acz niezależnie od inwencji swych twórców (o ile oczywiście uznawać będziemy za nich kreślące szkice jednostki, a nie zbiorowy geniusz historii), był już Łuk

symbolem tego, co najbardziej bodaj obce sile oręża i potęgom imperiów – symbolem tolerancji. Jedyna to być może budowla na świecie, z której spoglądają zgodnie rewolucjonista Dumouriez, cesarz Napoleon i król – Burbon Ludwik Filip; na którą otwierają się wyloty alej ku chwale królobójcy Carnota i reakcyjnego monarchisty Mac–Mahona. Mac–Mahona – kata komunardów, i obrońcy prawa azylu dla tychże Wiktora Hugo (został za to wysiedlony z Belgii), krwawego wroga religii Hocha, i Focha – zdeklarowanego klerykała... A przypomnij my sobie jeszcze tę perspektywę zstępującą od Łuku, poprzez XIX wiek (Pola Elizejskie), ku starożytnemu Egipcjowi, wiekom XVI (Ogrody Tuileryjskie) i XIII (Luwr)... Okaże się wtedy, że jest plac Gwiazdy miejscem przewyciężenia i zniesienia przeciwieństw między epokami, ideologiami i narodami. Miejscem jedności, miejscem dla każdego, miejscem azylu. *Coincidentio oppositorum*.

Tym bardziej że patronuje owemu miejscu pogodzenia sprzeczności potężny cień Tego, który był jednocześnie Bogiem wojny i małym kapralem, monarchą i wyzwolicielem narodów w imię ideałów rewolucji, włoskim Korsykaninem i „największym z Francuzów”, tyranem i tym, który „ludziom wolność śle z wygnania” (Puszkin).

Oczywiście, powiedzieć zawsze można, że są to tylko intelektualne spekulacje i teoretyczne paradoksy. Spójrzmy więc do książki pamiątkowej Łuku. „Jakież szczęście zobaczyć wrota do wolności” (Czech); „Dwa tylko razy w życiu dane mi było przeżyć podobne wzruszenie – widząc Statuę Wolności w Nowym Jorku i Łuk Triumfalny w Paryżu!” (Marokańczyk); „Witaj ziemio azylu i praw człowieka!” (Rumun); „Francjo! Ty jesteś zawsze ojczyzną wolności!” (turysta spod Londynu)... – To nie przypadek, iż przewodniki i albumy ukazujące Paryż jako miasto wielokulturowe, stolicę wolności, mają z reguły Łuk Triumfalny na okładkach; wraz z nocnym życiem i szaleństwami miasta pojawia się natomiast nasza stara znajoma – wieża Eiffia.

Dopóki Ravic z „Łuku Triumfalnego” Ericha Marii Remarque’a znajduje w Paryżu ucieczkę i schronienie, dopóty „wysoko w górze wznosi się jak z płynnego srebra masywny, szary kształt Łuku Triumfalnego”. Gdy jednak policja francuska aresztuje i wysiedla uciekinierów, gdy wiemy, że powraca mroczny czas hord narodowych i ideologii, „Plac stał się morzem ciemności. Zginął w niej Łuk Triumfalny”.

Akt III. Bazylika Sacré–Coeur

Winnice, młyny, drewniane chatki, dwanaście krystalicznych źródeł, głębokie groty pozostałe po niegdysiejszych kopalniach gipsu, mały kościółek św. Piotra, osiem przytulnych uliczek, mały placzyk. Fakt, że wzgórze Montmartre (od *martray* – miejsce straceń) zachowało aż po lata siedemdziesiąte XIX wieku swój arkadyjski charakter, dziwnym jest kaprysem historii, zważywszy na to, że już Ludwik XVI chciał tu postawić królewską nekropolię (projekt zaawansowany), Dyrektoriat – mauzoleum, Napoleon – świątynię Pokoju, Ludwik XVIII – monumentalną kolumnę (rozpoczęto subskrypcję). Nie oszczędzała też wzgórze

historia. W 1814 roku biwakowały tu (i spaliły pół wioski) wojska rosyjskie, w 1815 roku – angielskie. W czerwcu 1848 roku powstańcy stoczyli tu swoją ostatnią, krwawą bitwę; 22 maja 1871 roku słynny pluton kobiecy komunardek z Luizą i Elżbietą Dmitireff stawiał rozpaczliwy opór I Korpusowi wojsk wersalskich generała Ladmiraulta. Lecz znów zieleniły się winnice, rozkwitały sady, drzewa zapominały...

To właśnie ułudna tęsknota za sielanką! wolnością oraz – bardziej racjonalne – za tańszym życiem, przywiodła tutaj, w latach 1860–1865, młodych malarzy, tak zwaną Manetową Kompanię, którzy określają się na wzgórze. Renoir ma pracownię, kolejno, na ulicach: Tourlaque, Caulaincourt (to trochę niżej) i Cortot; Degas – na Blanche, Lepie i Fontaine;

Cézanne – na Hégésippe-Moreau; Van Gogh z bratem Teo zamieszkają na Lepic. A jeszcze Manet, Monet, Pissarro, Sisley... Ta grupa rówieśników (najstarszy – Pissarro ma w 1865 roku 35 lat, najmłodszy – Renoir 24) rozślawi Montmartre na całym świecie. Miejsce ich spotkań – Café Guerbois, przejdzie do legendy. Stanie się to jednak wtedy... gdy już ich na wzgórzu od dawna nie będzie.

24 maja 1873 roku 362 głosami przeciw 342 zmuszony jest do dymisji rząd Adolfa Thiersa. Tego samego Thiersa, którego polskie podręczniki historii przedstawiały jako reakcjonistę i kata Komuny Paryskiej, a który jednak uznany zostaje oto przez parlamentarną większość za nazbyt miękkiego, liberalnego i republikańskiego. Jednym z pierwszych posunięć nowej, monarchistycznej ekipy jest zadekretowanie 24 lipca 1873 roku, na wniosek znanych ultrasów Huberta Rohau de Fleury i Aleksandra Legentil, budowy na szczycie Montmartre bazyliki Najświętszego Serca (Sacré-Coeur). Natychmiast zostaje rozpisany konkurs i już w grudniu tegoż 1873 roku, spośród siedemdziesięciu ośmiu prac nadesłanych, wybrany zostaje projekt architekta Pawła Abadie, wzorowany na romańsko-bizantyjskim kościele w Saint-Front (Périgueux).

W tekście uchwały z 14 lipca 1873 roku czytamy o „przebłaganiu za haniebne dni komuny”, jak również „za utratę władzy świeckiej przez Papiestwo...” – Stanowiła więc ona, co społeczeństwo francuskie doskonale zrozumiało, arogancką demonstrację klerykalnego konserwatyzmu nowej władzy. Nie tylko wszakże. W kraju częściowo jeszcze okupowanym przez wojska pruskie (opuszczą one Nancy 5 sierpnia 1873 roku, a Conflans i Jarnay dopiero 16 września) miała ona również posmak twardego przeciwstawienia się, prowadzonej konsekwentnie przez Berlin, antyreligijnej polityce „Kulturkampf” (14 maja 1872 prawo przeciw jezuitom, 14 maja 1873 rozwiązanie seminariów mniejszych i ograniczenie jurysdykcji biskupów), a więc *mutatis mutandis* posmak antyniemiecki. Wreszcie w wyborze projektu Abadiego można łatwo zauważyć symboliczny gest prorosyjski. Nie bez kozery zresztą na pierwszy pokaz makiety zaproszony został uroczyście carski ambasador Aleksander Gorczałow. Odwołujące się do tradycji Wschodu białe kopuły Sacré-Coeur sugerować miały francusko-rosyjskie zbliżenie polityczne. Niestety, nadmiar polityki nie ma na ogół nazbyt dobrego wpływu na dzieła sztuki...

Budowa Sacré–Coeur trwała lat 38 – od położenia kamienia węgielnego 1 lutego 1874 roku do zwieńczenia dzwonnicy w 1912 roku; ale i wtedy jeszcze kontynuować musiano, przerywając je podczas I wojny światowej, prace wykończeniowe we wnętrzu, tak że konsekracja bazyliki odbyła się ostatecznie dopiero 16 października 1919 roku w obecności 9 kardynałów, 12 arcybiskupów i 98 biskupów z całej Europy.

„Wszyscy są zgodni – pisze Josette Devin – co do niebywałej brzydoty tej budowli, niestety jednej z najbardziej widocznych i znanych w Paryżu. Wojna 1870 okazała się więc równie nieszczęsna dla Francji, jak i dla piękna Paryża...” Po chwili jednak dorzuca: „O dziwo, tak jak w brzydocie ukochanej twarzy odnajdywać zaczynamy w końcu wdzięk i urodę, paryżanie przyzwyczaili się do SacréCoeur, a nawet obdarzają bazylikę szczerym uczuciem”.

W rzeczywistości nie wszyscy musieli się przyzwyczajać. „Jest ten kościół żywym dowodem francuskiej niefrasobliwości i pogardy dla utartych kanonów piękna – pisał „Times” w październiku 1919 roku – tak jak impresjoniści przełamywali wyobrażenia estetyczne swojej epoki, tak jak dzisiaj, na tym samym miejscu, te białe mury...” Zaś reżyser Wilhelm Dieterle posuwa się jeszcze dalej w wywiadzie udzielonym „Le Figaro” z okazji realizacji filmu „Zola and his Time” (1937): „Nie dziwię się, iż impresjonistów tak fascynowała paryska lekkość tej fantastycznej budowli w bielejącej poświacie”...

Gdy około 1907 roku mury Sacré–Coeur wyrosły już na tyle, by wyobrazić sobie można było ich ostateczny kształt – Maneta (+1883), Van Gogha (+1890), Sisleya (+1899), Pissarra (+1903), Cézanne’a (+1906) nie było już na tym świecie. Inni od dawna wynieśli się z Montmartru, skąd wygonił ich między innymi, jak Moneta, rejwach wielkiej budowy. Lecz cóż to komu przeszkadza???

Na schodach wiodących ku bazylice zalegają dniami i nocami barwne tabuny turystów, spragnionych niefrasobliwej lekkości paryskiego życia, chcących chłonąć legendę Montmartru impresjonistów i bohemy, fotografujących się na tle bizantyjskich wrót sanktuarium. Gdy pytałem ich – nie ze złośliwości, lecz ciekawości antropologa – jakie dzieło impresjonistów podoba im się najbardziej, ponad 50 procent odpowiedziało: „Sacré–Coeur”. I nie dziwię im się czytając podrózne prospekty, oglądając koláže na kartkach pocztowych lub płótna tysięcznych pacykarzy na placu Tertre. Pomieszala się, sprzęgła bazylika z bohemą; tak zwane historyczne fakty raz jeszcze okazały się nieistotne i rozwiąły się – tym razem – w oparach absyntu.

Posłowie

Uroda ludzkiej pomyłki? Właściwie trzech pomyłek: zmiany podmiotu ideologii (wieża Eiffla), zmiany samej ideologii (Łuk Triumfalny), wreszcie przemieszczenia chronologicznego (Sacré–Coeur). Różnice te mają jednak drugorzędne znaczenie. Istotą jest dynamika znaków emanowanych przez obiekty – wydawałoby się – niezmiennione i statyczne.

„Wydawałoby się” – gdyż jest to statyczność pozorna. Czym innym jest wieża Eiffia w pozytywnych i optymistycznych czasach Juliusza Verne’a, czym innym w namiętnej i dekadencej *Belle époque*. Podobnie zmienia się sens katedry Notre-Dame, „Mony Lisy”, „Słoneczników” Van Gogha. Historyk sztuki ma opisać dzieło (historyk – wydarzenie) samo w sobie lub, ewentualnie, na tle jego – dzieła – czasów. Jego” – a więc tych, dla których dzieło było przeznaczone. Antropologia interesuje obiekt w dynamicznym kontekście kultury, obiekt wiecznie żywy, obiekt mityczny. Urok ludzkiej pomyłki. A czyż nie jest pomyłką już choćby to, że katedra Notre-Dame jest „zabytkiem”, że chodzi się ją „zwiedzać”, że policja reguluje ruch w jej nawach podczas Pasterki? Czy nie jest to znak nowy w nowym systemie wartości? Mit nowy? – Zarzuca się antropologii strukturalnej, że „zgubiła autora”, że nie pamięta już, kto był architektem Łuku Triumfalnego, a kto namalował „Słoneczniki”. Cóż za nieporozumienie! Antropologia strukturalna nie zajmuje się tym, co znaleźć można w każdym leksykonie. Za to studiując subtelną grę znaczeń i mitów – odnajduje wciąż na powrót ich autora prawdziwego: uwikłany w labirynt dziejów, nieświadomy, a przecież niezmożony geniusz wyobrażeń społecznych.

A poza tym wszystkim to prawda: jest Paryż miastem wolności, niefrasobliwości, kosmopolityzmu, lekkości, swawolnej dwuznaczności, i jest także miejscem azylu, i stolicą świata, i *coincidentio oppositorum*.

I każdy, kto położy się na trawniku pod wieżą Eiffla, poczuć może, jak przebiega przez jego pępek oś świata - *Axis Mundi*.

Pieprz

Czy z powodu pieprzu odkryto Amerykę? Pytanie to jest tylko pozornie paradoksalne. Jak mawia jeden z polityków polskich: „coś jest na rzeczy”. Zaczniemy jednak od początku.

Ojczyzną pieprzu są środkowe Indie. Stamtąd też pochodzi nazwa pipelli, która przekształciła się u Greków w *peperi*, u Rzymian w *piper*, Włochów – *pepe*, Niemców – *pfiffer*, Anglików – *pepper*, Francuzów – *poivre*, Finów – *pippuri*, Polaków – pieprz. Wyłamali się tylko Hiszpanie.

Czarne, pikantne kuleczki znane są w Europie już od przełomu VI/V wieku p.n.e. Jak każda nowa przyprawa, stosowane są najpierw w charakterze lekarstwa (wspomina o tym Hipokrates), potem oczywiście afrodyzjaku. Jednak już od III wieku p.n.e. zaczyna być pieprz stosowany na naszą współczesną modłę, tyle że częściej (Rzymianie używają go również do słodczy) i intensywniej. W ogóle zresztą, co jakoś dziwnie mało mi pasuje do opisów uczt rzymskich Sienkiewicza, wszelkie świadectwa wydają się potwierdzać, że była kuchnia rzymska bardzo ostra i korzenna.

Lubo popularny i poszukiwany, był pieprz w Rzymie nadal bardzo drogi. Pliniusz Starszy zdumiewa się nawet w „Naturalis historia” (księga XII) tak masową konsumpcją przyprawy kupowanej najzupełniej dosłownie na wagę złota. Cóż z tego – pisze – iż pieprz pobudza apetyt. – Czyż nie taniej i zdrowiej byłoby przegłodzić się i w ten sposób uzyskać popęd do biesiadowania? Pliniusz był wprawdzie geografem, astronomem, przyrodnikiem, antropologiem, etnologiem, mineralogiem, historykiem sztuki, a nawet technologiem (*sic!* – księgi XXXIV–XXXVI) etc., nie był wszakże ekonomistą. Uszło więc jego uwagi, iż owszem – pieprz był powszechnie używany, jego obecność w daniach stanowiła też o prestiżu kuchni, ale co więcej jeszcze – stał się płatniczym środkiem wymiennym i formą lokaty kapitału.

Po triumfalnym wejściu do Rzymu 24 sierpnia 410 król Wizygotów Alaryk I każe sobie wypłacić kontrybucję wojenną w wysokości: 5000 lirów złota, 30 000 srebra i 3000 (czyli – zważywszy na to, że jeden lir rzymski równa się 327 g – 981 kg) pieprzu. Jest chyba oczywiste, że tony pieprzu nie przejadłaby armia Alaryka w ciągu roku; tym bardziej że Wizygoci w przeciwieństwie do Rzymian w przyprawie tej wcale nie gustowali. Chodziło po prostu o swoisty rodzaj waluty. Jeden z amerykańskich badaczy gospodarki starożytnego Rzymu zauważa przy tym, iż w początkach V wieku kurs złota kształtował się w stosunku do srebra jak 6 do 1. Gdyby wysnuć z tego przypuszczenie, że opodatkował zwycięzca pokonanych w trzech równych częściach, wynikałoby, iż parytet pieprzu był wówczas wyższy od złota.

Upadek Rzymu nie umniejszył rangi przyprawy. W pewnych okresach, kiedy import stawał się szczególnie uciążliwy – nawet ją powiększył. Ze średniowiecznych dokumentów nawarryjskich, aragońskich i francuskich dowiadujemy się, że częścią darów wasalnych, na równi z innymi kosztownościami takimi jak kruszce czy szlachetne kamienie, był również pieprz. Klotar III, syn Clovisa, który w VII wieku każe płacić mnichom pieprzem za nadane

im ziemie, to są oczywiście stare dzieje. Ale również król Francji, Ludwik VII (1137–1180), pobiera od wasali daniny, których pieprz jest niezbędną częścią. Podobne ma wymagania w XIV wieku Jakub II w Aragonii. Nie warto mnożyć przykładów. Uznajemy jednak, że w XV wiek wkracza Europa przywiązująca zupełnie inne znaczenie do pieprzu niż my dzisiaj. My spośród wielu środków zabezpieczenia kapitału istniejących w wiekach poprzednich wybraliśmy akurat złoto. Nie usprawiedliwiają tego ani jego własności chemiczne, ani użyteczność techniczna. Jest to kwestia konwencji, abstrakcyjnej właściwie umowy. Kiedy jednak umowa taka raz zostanie zawarta (acz może się w następnych wiekach zmienić), pobudza ona ludzi do marzeń i szaleństw. Stąd potomkowie Inków, którzy złoto zgoła sobie lekceważyli, tyrają teraz w nieludzkich warunkach błotnistych podziemnych korytarzy w poszukiwaniu tej jednej grudki. Pamiętamy też amerykańską gorączkę złota, która przyniosła jej więcej ofiar niż niejedna spora wojna. Otóż wystarczy zdać sobie sprawę, że w XV wieku istniała również, może na nieco mniejszą skalę, gorączka pieprzu.

Lecz oto co się dzieje. W początkach XIV wieku Turcy osmańscy wkraczają do Azji Mniejszej. W 1326 sułtan Orchan zdobywa Brusę, a następnie przekracza Dardanele. Po bitwie na Kosowym Polu podporządkowana zostaje Turkom Serbia. W 1396 wnuk Orchana – Bajazyt I zdobywa Bułgarię i Macedonię, czyli innymi słowy – otacza Konstantynopol. Na nic się zdaje rozpaczliwa próba odsieczy (1444) prowadzona przez Jagiełłowego syna Władysława III, później Warneńczykiem zwanego. W nocy z 29 na 30 maja 1453 pada Konstantynopol.

Wystarczy rzut oka na mapę. Drogi do Indii, do pieprzu, zostają przecięte. O obejściu północnymi brzegami Morza Czarnego nie ma też mowy, bo tam z kolei rządzą Tatarzy. Pozostaje szukanie dróg nowych, morskich. Wszystko, a w każdym razie bardzo wiele, zależy w historii od budżetu. I oto w nowej sytuacji geopolitycznej monarchowie wysupłują talary z kieszeni.

Marynarze i żołnierze, którzy wyruszają wtedy w nieznaną, są ludźmi niewyobrażalnej dla nas dzisiaj odwagi i determinacji, a może desperacji. Toż ruszali poza krańce znanego świata. Na antypody wypełnione, w co święcie wierzyli, potworami, demonami i wszelką grozą. Pod sztandary Corteza czy Pizarra garnęli się nędzarze z wypalonych słońcem wyżyn Estramadury. To też był akt ostatecznego zdecydowania. Oni wiedzieli już jednak, że tam gdzieś jest ląd, a na tym lądzie złoto. Marynarze Bartolomeu Diaza, a później również Kolumba i Vasco da Gama nie wiedzieli nic. Zresztą płynęli nie po złoto, ale po pieprz – do Indii. Bardzo pięknie przechowały pamięć o tym języki europejskie. Autochtoni amerykańscy to podług nich – Indianie.

Portugalczyki wygrywają wyścig do Indii, Hiszpanie do Nowych Indii, czyli Ameryki. W szkołach uczą nas o przewrocie cen w Europie, o niesłychanym, stymulowanym przez złoto napływającym z Nowego Świata, rozkwicie Hiszpanii. Rozkwitała jednak również Portugalia. Nie bez długiej i uporczywej walki ustępował powoli pieprz przed złotem.

Paradoksalnie, porażkę pieprzu spowodowali sami Portugalczycy. W kupieckim rozpędzie sprowadzać zaczęli z Azji inne również przyprawy; z wybrzeży Zatoki Gwinejskiej tak zwany

pieprz afrykański i przeforsowali w Indiach gwałtowne zwiększenie produkcji. Popyt w Europie zostałomalże nasycony. Co gorsza, okazało się, że niektóre nowe „korzenie”, w smaku pieprzopodobne, daje się sadzić również w Ameryce (której właściwy pieprz nie lubi), a nawet na Wyspach Kanaryjskich. Pieprz przestał być monopolistą i jego cena zaczęła gwałtownie spadać.

Nie znaczy to oczywiście, że stał się bezwartościowy. Dzisiaj jeszcze kilogram dobrego gatunkowo pieprzu kosztuje w zachodniej Europie średnio około 40 dolarów (Alaryk zarobiłby więc 39 240 dolarów). Od drugiej połowy XVI wieku staje się jednak jednym z wielu „korzeni”. Okresami tańszym nawet od innych, jak na przykład pimentu z Cayenne sprowadzonego przez Francuzów z Gujany pod koniec XVII wieku. Zachował pieprz na rynku pozycję godną szacunku. Wielka kariera była już jednak definitywnie zakończona.

Jednym ze znaczeń obocznych słowa pieprzyć jest w języku portugalskim: wzbogacać, uszlachetniać, co nie tylko potraw dotyczy. We francuskim *se poivrer* (pieprzyć się) oznacza nadużywać alkoholu, *être poivré* (być pieprzonym) to być pijanym, wreszcie *poivreau* to po prostu pijak. Zważywszy jednak na narodową sympatię francuską do obywateli pociągających różne trunki w bistrach nie są to pojęcia deprecjonujące przyprawę. Istnieje też powiedzenie „drogi jak pieprz”. Podobnie w niemieckim: „nie jest to żaden pieprznik” oznacza, iż rzecz nie jest warta złamanego grosza. W Polsce „pieprzyć” oznaczało najpierw – zaprawiać rozmowę pikantnymi, nieprzyzwoitymi anegdotami (pieprzne dowcipy); potem – mówić głupstwa i równoległe (wulgarnie): kopulować. Zauważmy przy tym, że w owej ewolucji znaczeniowej nastąpiło zerwanie. Dzisiaj nie pieprzy ten, kto mówi świństwa, ale ten, kto wypowiada się bez sensu. Nieszczęsny *piper nigrum* stał się u nas symbolem skretynienia. Czy nie za to go przypadkiem ukaraliśmy, że nigdy nie było nam dane skorzystać finansowo z jego dobrodziejstw i że to nie my odkryliśmy Amerykę? I nie odkrywamy jej nadal...

Albowiem na pytanie, od którego zaczęliśmy: Czy z powodu pieprzu odkryto Amerykę? – możemy już teraz odpowiedzieć. – Tak, nie da się zaprzeczyć. Coś jest na rzeczy!

Na zakończenie uwaga natury praktycznej. Nie należy kupować pieprzu mielonego. Raz zmielony – szybko traci swoje właściwości smakowe, a w opakowaniach plastikowych wręcz bardzo szybko. Lepiej nabywać pieprz ziarnisty i kiedy potrzebujemy go w formie sypkiej – zemleć na chwilę przed użyciem w domowym młyneczku lub utłuc w moździerzu. Jednak nawet i ziaren nie należy przechowywać w plastiku. Wytrawni znawcy krytykują też pojemniki szklane. Optymalnym środowiskiem dla pieprzu jest metal. Idealem byłby złoty sejfik (ach, te związki pieprzu ze złotem!), ale wystarczy blaszane pudełko. Dorzućmy jeszcze, że pieprze biały, zielony czy tak zwany afrykański są bękartami pieprzu jedynie naprawdę pieprznego: Czarnego Pieprzu.

Pończochy

Znamy wszyscy opowieść o tym, co zaszło w kwietniu 1348 podczas balu wydanego przez króla Anglii Edwarda III. Oto podczas tańców hrabinie Salisbury odpięła się i wypadła na podłogę podwiązka. Dworzanie wybuchnęli rubasznym śmiechem. Wówczas król osobiście podjął podwiązkę z podłogi, spojrział zimnym okiem na rozdziawione sprośne gęby i wycedził przez zęby: *Honni soit qui mal y pense*, co można przetłumaczyć: „niech się wstydzi, kto ma brudne myśli”. Niech nas nie dziwi, że król mówił po francusku, bo tego właśnie języka używała wtedy angielska arystokracja i dopiero Joanna d'Arc zmarnowała ostateczną szansę zromanizowania wysp brytyjskich i narzucenia im francuskiej dominacji kulturalnej.

Następnego dnia powołał Edward, na pamiątkę zdarzenia, zakon rycerski Podwiązki, który z początku obejmował tylko króla – wielkiego mistrza, księcia Walii i dwunastu rycerzy. W 1805 Jerzy III rozszerzył liczbę członków–rycerzy do dwudziestu pięciu, z tym że musieli mieć oni godność lordów. Dopiero w XX wieku stała się kapituła Orderu Podwiązki dostępna bez liczbowego limitu dla tych, którzy w służbie koronie angielskiej oddali nieśmiertelne zasługi. Nadanie „The Most Noble Order of the Garter” poprzedza jednak zawsze uszlachcenie. Doprawdy łatwiej już dostać Nagrodę Nobla, niż dostać się do tego towarzystwa.

Dlaczego kwestia głupiej podwiązki miała dla Edwarda III takie znaczenie? Niestety, nie lubimy tego specjalnie, ale odwołać się musimy do psychologii. Ojciec Edwarda III – Edward II był homoseksualistą, z czym nie umiał, a może nie chciał się kryć. Matka – Izabela, córka Filipa Pięknego, wiąże się więc, też zupełnie jawnie, z hrabią Mortimerem, który obala Edwarda II i żeby pohańbić, każe go zgładzić w sposób przypominający jego seksualne upodobania. Do odbytu króla wciśnięty zostaje przedziurawiony na końcu róg, przez który wepchnięto z kolei do wnętrza rozpalony pręt. Cała Anglia o niczym innym nie mówi, zgorszona i przerażona obyczajami monarszej rodziny. Można sobie tylko wyobrazić, jak przeżywa to młodociany Edward III. To wiemy, że od dzieciństwa był skryty i surowy; nie znosił sprośnych żartów, które zawsze uważał za aluzję do dziejów swoich bliskich. Okazał się też później wzorowym i wiernym mężem, chorobliwie aż uczulonym na punkcie honoru żony. Doprawdy, źle się wybrali dworzanie ze swoim sprośnym rechem.

Dlaczego jednak tyle emocji wzbudziła właśnie podwiązka? Otóż podwiązka podtrzymuje pończochę. W pismach pornograficznych spotykamy niezwykle często zdjęcia kobiet ubranych tylko w pas do podwiązek i zamocowane na podwiązkach pończochy. Najczęściej białe lub czarne. W słynnych burdelach francuskich okresu międzywojennego był to wręcz obowiązkowy uniform usługujących pańienek. Nie biustonosz, nie majtki, ale właśnie pończochy wpływać miały najbardziej podniecająco na samczą klientelę.

Ma to swoje historyczne uzasadnienie. Przez wieki otóż suknie damskie łączyły w sobie zdobycze krawiectwa i – nie zawahamy się użyć terminu – architektury. Do swobodnego szczytu doprowadzona została ta moda w XVIII wieku, kiedy to damy nosiły na sobie przyczepioną do gorsetu istną klatkę zbudowaną z kilkunastu obręczy, na których dopiero

układana była tkanina. Jednak wiek XIV i następne też miałyby się czym w tej mierze pochwalić.

Wytworne damy owych lat ubierały się, i to przy pomocy wyćwiczonej służby (mamy obfitość danych z okresu francuskiej Regencji), około godziny. Tyle czasu zajmowało wiązanie gorsetu, podwieszanie rusztowania, nakładanie na nie sukni, formowanie fałd etc. Rozbieranie się nie było o wiele krótsze, a też praktycznie niemożliwe bez cudzej pomocy. Raz tak zainstalowanej kreacji nie można było oczywiście rozluźnić, poprawić (kobieta nie sięgała po prostu rękami trenu swojej sukni), a już tym bardziej podkasać. Cóż więc zrobić w wypadku potrzeby?

Nic prostszego. Suknie sięgały z reguły do ziemi. W paru zaś dziesięcioleciach, kiedy były nieco krótsze, wystarczało lekko zgiąć nogi w kolanach. Zastosowanie tej, jedynej zresztą możliwej, techniki wykluczało rzecz jasna noszenie majtek. Toteż ich wykwintne damy nie nosiły. W tym jednak momencie właśnie pończochy stawały się fragmentem odzienia najbliższym intymnym częściom kobiecego ciała, obiektem erotycznej fascynacji, dwuznacznych aluzji i fetyszyzmów. Potem moda minęła – tradycja została.

Teraz dopiero zrozumieć możemy reakcję Edwarda III.

I jeszcze małe wyjaśnienie. Mówi się i pisze, że pończochy nosili także mężczyźni. Jest to po prostu małe nieporozumienie terminologiczne. Przez parę wieków paradowali wykwintnie w spodniach do kolan. By zakryć resztę nogi, wkładali więc pod-, a ściślej, nadkolanówki. Nie było jednak, poza wyjątkowymi przypadkami, męskich podwiązek. Pończochy nie sięgały więc u panów tak daleko, by wzbudzić to mogło grubiańskie asocjacje.

Cóż więc w gruncie rzeczy powiedział nam Edward III? – „Niech wstydzi się ten, kto widzi w kobiecie tylko obiekt seksualny”.

Bo to zresztą nudne spojrzenie.

Piękne natomiast, że rzecz się stała dewizą państwową.

Syfilis optymistyczny

Historia syfilisu jest w gruncie rzeczy pocieszająca i serca krzepiąca. Pierwszym autorem europejskim, który poświęcił dzieło syfilisowi – zwanemu wówczas, na skutek symptomów zewnętrznych dolegliwości Joba opisanych w Biblii, chorobą tego świętego – był niejaki Jacques de Béthencourt z Rouen. Napisał on w 1527 roku: „Jest zniewagą dla błogosławionego Joba wiązanie go w jakikolwiek sposób z tym plugastwem. Jest też ostateczną profanacją przypisywanie świętemu mężowi choroby zrodzonej z grzesznych namiętności i nieczystej rozpusty. Zaniechajmy tego świętokradztwa i nadajmy złu jedyne miano na, które zasługuje: choroby bezbożnej Wenery”. Tak powstał termin. W dalszym ciągu pisze Béthencourt o karze za zbrodnie ludzkości i końcu świata. Jest to zrozumiałe. Nie chodzi nawet o rzeczywistą śmiertelność spowodowaną przez pierwsze epidemie syfilisu. Ale zło było nieuleczalne, uderzające niespodziewanie i bez widocznej przyczyny (o tym, że pierwsze objawy pojawiają się dopiero w parę tygodni po zarażeniu, ludzie renesansu jeszcze nie wiedzą), nie oszczędzające zdawałoby się nikogo, porażające poprzez związane z wyuzdaniem organy. Czegóż więcej trzeba dla eschatologicznych wizji!?

Syfilityczna śmierć Franciszka I jest długa i patetyczna. Kronikarze pozostawili nam nazbyt detaliczne opisy pojawiających się i niknących wrzodów, ataków i odpływów nieszczęścia. A przecież Franciszek to nie byle kto, to boski pomazaniec, sam obdarzony mocą uleczenia. Więc jeśli nawet on... Groza pada na Europę. Piekło jest tuż.

Z biegiem wieków, a i łagodnieniem objawów choroby, przyzwyczajają się ludzkość do kiły. Oczywiście, jest ona nadal straszakiem, ale daleko jej już do Lucyfera. Wchodzimy w okres choroby sentymentalno–drobnomieszczański. Pisze (1925) profesor medycyny Emil Wyrobek (a nie możemy się oprzeć przyjemności przytoczenia obszernych fragmentów historyjki): „Nasz młodzieniec, będąc już trzeci rok z rzędu na studiach w Krakowie, odnajmował pokój u pewnego starszego i poważnego małżeństwa, mającego jedynaka syna w ostatniej gimnazjalnej klasie i prócz dwóch córek, milutkich podlotków, jeszcze jedną najstarszą, której ślub z zacnym człowiekiem miał się już odbyć owego roku w karnawale. Pani domu, niewiasta podobno pobożna i surowych zasad dla siebie i swych młodych córek, wyrozumiała jednak była na błędy i ułomności ludzkie i na potrzeby ciała mężczyzny młodego. Młodemu krew się burzy, więc i naturalne ujście znaleźć musi, mawiała nieraz do swoich sąsiadek, chcąc okazać im swą wyższość nad ich przestarzałe pojęcia i zacofane na kwestie płciowe zapatrywania. (...) Liberalność zapatrywań tej kobiety na stosunki płciowe w tem także się objawiła, że do domu swego przyjęła na służbę młodą i piękną dziewczynę, w tej nadziei, że jednak jej łatwo zdobędzie łaski służącej, a palony żądzą, nie pójdzie do domu publicznego. (...) Dziewczyna dobra i potulna nie przeczuwała nawet niebezpieczeństwa jej grożącego, gdyż mętów życia jeszcze nie poznała; toteż gdy razu pewnego pani z mężem i panienkami do teatru się wybrała, a panicz w domu z powodu bólu głowy pozostał, biedna dziewczyna nie powzięła ani nawet cienia podejrzenia uplanowanego na swą cnotę zamachu. Skorzystawszy z nieobecności rodziców, zaprosił wtedy ów student do siebie naszego

młodziana i gdy ta dziewczyna do kuchni się udawszy, już na spoczynek nocny się ułożyła, wtargnęli obaj młodzieńcy do jej łóżka i tam prośbą, zakłęciami, wreszcie przemocą! siłą tę młodą dziewczynę zdobyli. Prędko minęły kilka tygodni rozkoszy, jaką na przemian owi młodzi ludzie w objęciach dziewczyny używali, bo koniec tego stosunku był już rychło bardzo żaloszny... – Pani domu wprawdzie zauważyła bladłość i pewną ociężałość służącej, lecz domyślając się sprawcy tego w swym synie, do jądra rzeczy nie dochodziła, będąc pewną, że jak się dziewczyna do takiej miłości przyzwyczai, rumieniec dawny, świeżość i swoboda wrócą jej na nowo. Tymczasem stan zdrowia służącej coraz bardziej się pogarszał, przyszedł dziwny i ciągły ból gardła i jakieś szalone po kościach łamanie, równocześnie zaś i panicz coś zbyt tajemniczo jął się zachowywać i na zdrowiu cokolwiek zapadać. Wezwano pomocy lekarza, a ten badając długo i sumiennie, wyświecił dla wszystkich sprawę bardzo smutną. – Oto służąca miała już wybitne zmiany syfilityczne drugorzędne na całym ciele i na błonach śluzowych gardła; toż samo miał i ten młody synalek, a na domiar nieszczęścia całego lekarz straszną diagnozę dodał, że przez używanie tych samych łyżek, co panicz i sługa, zarazili się od nich kiłą oboje rodziców i ich córeczki. Płacz i lament okrutny powstał w całym domu, służę zabrano do szpitala, a cała rodzina poczęła aplikować sobie szpilki rtęciowe. W kilku już słowach skreślę dalszy bieg wypadków; młoda narzeczona nie mając odwagi i siły, aby zerwać swe małżeństwo lub straszną prawdę narzeczonemu powiedzieć, skoro tylko jako tako zniknęły u niej zmiany kiłowe, wyszła za męża. Oszukawszy zaś w ten sposób swojego małżonka, w rok niecały później z rozpaczki omal nie oszalała, wydawszy na świat, wrzodami i ranami okrytą dziecinę. (...) Pozostali w domu rodzice, panicz i panienki wszyscy ciężko chorowali, a najbardziej ojciec, który zgryźlszy się tem nieszczęściem strasznie, niedługo potem ten padół łez opuścił, przenosząc się do lepszej, jak twierdził, krainy. Młoda zaś dziewczyna, biedna stosunków służbowych ofiara, nie odzyskała straconego zdrowia, wskutek bowiem dziedzicznej skłonności do gruźlicy, nie mogąc znieść leczenia rtęcią, już w parę miesięcy potem wśród cierpień i nędzy młodego żywota dokonała. (...) Wrócił nasz młodzieniec po paroletnim pobycie w Krakowie do swej biednej i nieszczęśliwej matki, która utraciwszy w tym czasie obie swoje córki, poprzednio uwiedzione i sponiewierane podstępem nieuczciwych kochanków, przytuliła do siebie swe nieszczęśliwe dziecię, i wszelkich sił i resztek majątku nie żałowała, aby go z nałogu pijaństwa wyrwać i na uczciwą skierować drogę. Niestety, próby te poszły całkiem na marne, młodzieniec staczał się coraz bardziej w kałużę upadku i nędzy i po takim ataku delirium już mu ratunku i zdrowia wcale nie rokuje”.

Zauważmy cały zespół więzi nie mających niby medycznego ani logicznego związku, a jednak koniecznych: syfilis – alkoholizm – utrata „resztek majątku” – liberalne poglądy – chodzenie do teatru – pospolitowanie się ze służbą („stosunków służbowych ofiarą”). Oto syfilis mieszczański i pedagogiczny. Nie ma już w nim cienia metafizyki, jest za to kategoryczna socjologia: zarażasz się w wyniku naruszenia norm społecznych, a twoje zarażenie ostatecznie tkankę społeczną rozpruwa. Jesteś nie tylko świnią, ale i burzycielem porządku, obywatelu zarażony... Wstydz się podwójnie.

Niby lepiej się wstydzić niż mieć poczucie ostatecznego potępienia. Ale... Chory na kiłę (wówczas z kolei mówiło się „lues”) znakomity socjolog i etnograf polski, Jan Stanisław Bystron, tak był porażony wizją ośmieszenia w środowisku, tak bał się wskazujących palców kolegów, iż by ukryć chorobę – zrezygnował nawet z prób jej leczenia... Cóż, wychował się, jak i „nasz młodzieniec”, w Krakowie i patrzył na świat oczyma tamtejszej jagiellońskiej profesury...

W tym samym czasie „u wód”, w Marienbadzie czy Karlsbadzie inaczej już bywało. Chorzy tworzyli tutaj zgoła wesole kółka towarzyskie, w których opowieści o okolicznościach zarażenia, im bardziej skandaliczne, tym lepiej, należały do obowiązkowych atrakcji. We Francji Guy de Maupassant przechwalał się swoim syfilisem na lewo i prawo, a w liście do Roberta Pinchona, w marcu 1877 (Bystronia nie było jeszcze na świecie) pisał: „Mam kiłę! Nareszcie! Najprawdziwszą na świecie. Nie jakiegoś tam mieszczańskiego tryperka, nie byle jakie pryszczki. Nie, nie – wielkiego syfa – takiego, na który umarł Franciszek I. I jestem z tego dumny. A nade wszystko gardzę burzujami. Alleluja – mam syfa, więc nie muszę już żyć w strachu, że go złapię”. Robert Pinchon nie zawiódł przyjaciela i pokazywał jego korespondencję wszystkim z szanowanych obywateli, którzy go jeszcze przyjmowali.

Postępy medycyny, dzięki którym stał się syfilis w pełni wyleczalny, przyniosły ostateczny triumf libertynom. Chorobę leczy się dziś łatwo, ale i (we Francji) obowiązkowo. Obdarzeni przypadłością spotykają się więc w poczekalniach wyspecjalizowanych komisji lekarskich. Francuzi nie są na ogół łatwi w nawiązywaniu kontaktów. Tutaj jednak wspólny los, jak i losu owego dwuznaczna pikanteria, sprzyjają śmiałym żarcikom i – od słowa do słowa – nawiązywaniu kontaktów towarzyskich.

Przyjaciel mój (ze względu na krakowską profesurę zachowam jego anonimowość) nabawił się naszej dolegliwości w pierwszych dniach francuskiej emigracji. – Myślałem, że to pech – mówi – ale oto w przychodni poznałem dwóch antykwariuszy, komisarza policji, sędziego i kontrolera podatków... – Takie znajomości od początku pobytu! Rzecz jasna, dalsza moja asymilacja w Paryżu poszła jak z płatka. Mandatów nie płacę do dzisiaj. Obywatelstwo przyznano mi poza kolejnością. I tylko, widzisz, pech taki. Tamta panienka, której wszystko zawdzięczam, też się już wyleczyła. Nie mogę więc rodakom służyć adresem. No, ale w końcu kiedy się ktoś decyduje na emigrację, musi się wykazać minimum przedsiębiorczości. Niech szuka sam!

Jak widać, nie przesadziliśmy pisząc na początku, że jest społeczna historia syfilisu serca krzepiąca. Nie pierwszy to i nie ostatni paradoks w dziejach dziwnej naszej kultury.

Szampan

Pierre dom Pérignon urodził się w 1638 roku w bardzo bogatej rodzinie mieszczańskiej spokrewnionej – na co wskazuje „dom” przed nazwiskiem – ze szlachtą hiszpańską. Za kilkadziesiąt lat odległy członek rodziny Dominique de Pérignon zostanie markizem i marszałkiem Francji. Oto jaka kariera czekać mogła bardzo zdolnego i inteligentnego Pierre’a. Cóż, kiedy on wybrać postanowił życie zakonne i w 1658 zamknęły się za nim wrota klasztoru benedyktyńskiego w Verdun. Mnisi szybko poznali się na intelektualnej sprawności nowicjusza i powierzyli mu pracę równie odpowiedzialną co zaszczytną – studia nad historią zakonu. Dom Pérignon zabrał się do nich z takim zapałem, że parokrotnie upominany być musiał przez opata za przekraczanie czasu przeznaczonego na pracę. Benedyktyni słynęli zawsze z troski o higienę życia i zdrowia swoich współbraci. Zauważyli więc szybko, że jest ich nowy dziejopis anemiczny i nader słabej kondycji, trzeba więc, aby się maksymalnie oszczędzał. Niełatwo było jednak oderwać upartego dom Pérignona od ksiąg. Zapadła tedy radykalna, ale i mądra decyzja. Brat Pierre przeniesiony został do tonącego w zieleniach winnic, wiejskiego klasztoru w Hautvilliers nad Marną, pięć kilometrów od Epernay, z surowym poleceniem picia na wzmocnienie jak największych ilości białego wina.

Z winem nie było kłopotów, gdyż założone w 650 roku opactwo Hautvilliers dysponowało nie lada relikwią – kośćmi świętej Heleny, matki cesarza Konstantyna, która odnalazła drzewo Krzyża Świętego. Za pielgrzymie pieniądze zakupiono 40 hektarów winnic, z których wino sprzedawano po wysokiej cenie. O tej cenie, o czym przekonał się z przykrym zdziwieniem dom Pérignon, decydowała jednak bardziej bliskość relikwii niż rzeczywista jakość trunku. Tymczasem mianowanemu szafarzem zakonnym dom Pérignonowi polecono właśnie podnieść dochodowość winnic. Dalsze śrubowanie ceny byłoby już jawną nieprzyzwoitością, wydajność była całkowicie zadowalająca. Pozostawała jedyna możliwość: poprawić jakość. Celowi temu poświęcił się młody szafarz bez reszty: szczepił, nawoził, podcinał, degustował, zmieniał drewno beczek, degustował znowu, zmieniał temperatury w piwnicach i degustował raz jeszcze. Okrzepl, wyzdrowiał, a przy okazji stał się takim rzeczy znawcą, że na podstawie owoców winorośli określić umiał z nieomylną precyzją, jaki będzie bukiet smaków z wypędzonego z nich wina. Wszystko to jednak bez widocznego rezultatu, jeśli chodzi o samą jakość wytworu. Kto inny dałby sobie może spokój.

Dom Pérignon zauważył jednak pewną specyficzną właściwość klasztornego i szerzej – okolicznego wina. Oto po otwarciu butelek, do których wlewano już oczywiście wino dojrzałe i gotowe, wydobywała się z nich znaczna ilość bąbelków, jak gdyby w butelce dokonała się druga, ulotna fermentacja. Co więcej – pierwszy kieliszek, wypity natychmiast po odkorkowaniu, w którym wino jeszcze musowało, miał specyficzny i przyjemny smak. Trwało to jednak kilkanaście sekund zaledwie. Bąbelki uchodziły i z kieliszka, i z otwartej butelki. Dalej pozostawało to, co przedtem: przeciętne i banalne *blanc de blancs*. Istna czarna rozpacz.

Jak zatrzymać bąbelki w butelce, sprawić, by trunek zachowywał swoje musujące właściwości? I znowu nastąpiły lata żmudnych eksperymentów. Nie darmo mówi się „benedyktyńska cierpliwość”. Tyle że tym razem cel był jasno wyznaczony. Ratować bąbelki! Aż wreszcie przyszedł ten dzień! Węzeł gordyjski, jajko Kolumba! Przypomnijmy, co znaczą te symbole. W Gordian, dawnej stolicy Frygii, pokazano Aleksandrowi Macedońskiemu rydwan, którego dyszel związany był tak misternym węzłem, że oba końce sznura niknęły we wnętrzu supła. Proroctwo orzekało, że kto rozwiąże węzeł, będzie królem świata. Nie wahając się ani chwili dobył Aleksander Wielki miecza i rozciął płataninę na pół. Podobnie Kolumb, gdy kazano mu dla kpiny postawić jajko na sztorc, uderzył nim w stół i nadtlukując skorupkę – dzieła dokonał. Lubimy te opowieści o ludziach, którzy szli naprzód, nie oglądając się na wymaginowane przeszkody. Dom Pérignon dokonał jednak czegoś znacznie większego.

Wojska Aleksandra dotarły aż do granic Indii, Kolumb odkrył Amerykę, Kopernik obalił kanony astronomiczne Ptolemeusza... Zmieniały się epoki, teorie, style, ustroje, mocarstwa... Przez cały ten czas, od tysięcy lat, wino niezmiennie leżakowało w piwnicach. Leżakowało, czyli – co samo słowo definiuje – spoczywało i dojrzewało w leżących poziomo butelkach. I oto dom Pérignon przedstawia butelki szyjkami na skos do dołu. Cóż za nieprawdopodobna zuchwałość przeciwstawienia się odwiecznej, ginącej w mrokach dziejów tradycji. To przecież i herezja, i rewolucja, i trzęsienie ziemi do kupy. Rzecz niebywała w kultury dziejach!

Lecz staje się cud. Odstałe w ekstrawaganckiej pozycji butelki nawet po otwarciu zachowują bąbelki. Wino musuje i pieni się w kieliszkach. Zyskuje też delikatny bukiet smaków, który w szampańskim *blanc de blancs* tłumiony był przez dominującą cierpko–kwaskowatość. Eureka!

Pierwsza zakochała się w nowym trunku Madame de Pompadour. – Jedyne to wino – orzekła – które może pić kobieta bez obawy, że twarz jej opuchnie, a cera brzydko się zaczerwieni. Czyż można nie podzielać fascynacji osób, które kochamy? – Toteż następny szampanem zachwycił się król. Od tej chwili sukces nowego trunku był przesądzony. W ciągu następnych lat stanie się on nie tylko jednym z najpopularniejszych, ale i najbardziej francuskich win. Ponieważ serwowano go podczas dworskich, świątecznych audiencji, skojarzy się wkrótce z czasem uroczystym i radosnym. Nie ma święta bez szampana, a i rzadkością jest szampan bez święta.

Dom Pérignon zmarł w wielce sędziwym na owe czasy wieku 77 lat, będąc żywym dowodem, że obfite zraszanie organizmu szampanem czy szerzej – białym winem, jest zbawienne dla zdrowia i jasności umysłu. Pochowany został, na własne życzenie, pośród klasztornych winnic. Podczas rewolucji opactwo zostało zniszczone, a prochy spoczywających w krypcie mnichów sprofanowane. Grób Pérignona pozostał nietknięty. Co jak co, ale są na tej ziemi świętości, na które nawet najsroższy jakobin nie poważy się podnieść ręki.

Osierocone winnice wykupili w 1794 panowie Moët i Chandon. Najlepszemu ze swoich szampanów, pochodzącemu z najbardziej nasłonecznionych stoków, wyróżniających się też niezrównaną, tak zwaną szarą glebą, nadali imię „Dom Pérignon”. Taki jest pomnik benedyktyna, geniusza i wynalazcy, który jak może mało kto inny rozpromienił i upiększył nasze życie.

I jedna tylko uwaga praktyczna. Jeżeli nie dopijecie państwo butelki szampana, nie zatykajcie jej prowizorycznym korkiem, lecz włóżcie w szyjkę srebrną łyżeczkę. Szampan nie wywietrzeje. Dlaczego tak się dzieje – nikt nie wie. Ale rzecz działa. We wrześniu 1997 złożył prezydent Jacques Chirac wizytę w Moskwie. Dyskutował z Borysem Jelcynem o NATO, kształcie świata, prawach człowieka i broni nuklearnej... Uzyskał jeden wspaniały sukces. Rosja zgodziła się wycofać z etykietek swoich gazowanych win nazwę „szampanskoje”. Historia potoczy się swoją drogą. Jakie będą wojny, przymierza, katastrofy – ani Chirac, ani Jelcyn, ani żaden z nas przewidzieć nie może. Natomiast nikt już plugawieć nie będzie imienia jedyne go w swoim rodzaju, tutejszego i narodowego szampańskiego trunku. Francja potrafi dbać o swoje interesy. *Chapeau bas – monsieur Chirac!*

Śledź

„– Panie! Wymów po grecku następujące zdanie: Jezus Chrystus, Boga Syn, Zbawiciel.

– Dobrze. Oto mówię!... Cóż z tego?

– A teraz weź pierwsze litery każdego z tych wyrazów i złóż je tak, aby stworzyły jeden wyraz.

– Ryba! – rzekł ze zdziwieniem Petroniusz.

– Oto dlaczego ryba stała się godłem chrześcijan – odpowiedział z dumą Chilon”.

Chilon z „Quo vadis” Sienkiewicza ma tylko częściowo rację. Owszem, pierwsze litery formuły *Iesus Christos Theou Yios Soter* układają się w słowo *ichthys* – po grecku ryba. Specyficzna pozycja ryby w świecie chrześcijańskich wyobrażeń ma jednak również wiele innych uzasadnień. Nie zapominajmy, że pierwsi apostołowie byli rybakami, że właśnie chleb i ryby rozmnaża Chrystus, że reprodukuje się ryby na sposób w ludzkim rozumieniu aseksualny, czyli niepokalany; że żyją w wodzie, którą dokonuje się sakramentu chrztu etc. W średniowiecznej tradycji astrologicznej wspomina się też o kolejnych erach zodiakalnych: byka (złoty cielec), ryby i barana (Baranek Boży gładzący grzechy świata)...

Tak czy owak ma ryba w chrześcijaństwie status specjalny. Mięso jej (w przeciwieństwie do mięsa zwierząt lądowych) jeść można i w piątki, i w czas Wielkiego Postu, i przy okazji postów pomniejszych. Rzecz to wcale niebagatelna, gdyż w XIII wieku liczba dni postnych dochodziła do stu dwudziestu, czyli jednej trzeciej roku. W mięsożernym społeczeństwie europejskim nawet z dala od rzek, jezior i mórz rosło więc gwałtownie zapotrzebowanie na ryby.

Spośród ryb morskich najpospolitszy, a więc i najtańszy, był przez wieki śledź. W początkach XIII wieku odnotowuje Saxo Grammaticus, że śledzie w Bałtyku można było łowić ręką, a ich nieprzebrane ławice utrudniały wręcz nawigację. A jeszcze w XVIII wieku pisze Bernard Germain Etienne de Lacépède: „Los iluż ludzi związany jest ze śledziem! – To on decyduje o chwale i potędze imperiów. Nie ziarna kawy, nie liście herbaty, nie kokony jedwabiu, nie orientalne korzenie, ale śledź właśnie!” Zaś bardziej sceptyczny Voltaire komentuje: „Aczkolwiek solenie i sprzedaż ryb nie wydają mi się sprawą najważniejszą w historii ludzkości, przyznać jednak uczciwie trzeba, że wiele miast wyrosło dzięki śledziom – Amsterdam w szczególności”. Czyż dziwić nas w tej sytuacji może entuzjazm Galla Anonima, który widząc drużynę Bolesława Krzywoustego opanowującą bałtyckie plaże, słowem wiązonym chwalił zdarzenie: „Naszym przodkom wystarczyłyby ryby słone i cuchnące, my po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!” Działwę szkolną, która chciałaby zwrócić sędziwemu kronikarzowi uwagę, że Bałtyk to nie ocean, pouczamy solennie, iż morze czy ocean są to pojęcia względne. Na przykład Morze Sargassowe (tam, gdzie zapładniają się węgorze) leży pośrodku oceanu. Z kolei aż do Gibraltaru sięga Ocean Atlantycki. Dalej jest Morze Śródziemne. Jakby dobrze wcelować, to można się kąpać od kręgosłupa na lewo w oceanie, a na prawo w Morzu Śródziemnym. Kochana wasza szkoła

wiele podobnych przyniesie wam paradoksów. Wiedza szkolna, nawet ta, którą przekazuje wam ksiądz katecheta, jest to bowiem najczystszy postmodernizm. Gdyby chciano wam zaprzeczać, zapytajcie księdza, kim była Maria Magdalena, i na czym polegał jej zawód, i jak to się w ogóle robi...

*Apage, Satana! Wróćmy już lepiej do śledzia (*Clupea harengus*).*

W Polsce śledzik kojarzy się natychmiast i jednoznacznie z wódką. Błąd! Od czasu kiedy (około 1350) wpadnie Wilhelm Beuckelszon na pomysł peklowania śledzi, do chwili pojawienia się wódki nad Wisłą, miną jeszcze dwa stulecia. Nawet rolmops wynaleziony został przed wódką! Czym więc zapijali śledzia przodkowie? Z pamiętników Jeana d'Hauteville: „Na deser podano śledzie i sok brzoskwiniowy. Rybka lekko podlana miodem i posypana cynamonem. Znakomite!” Znaców kuchni śledź na słodko na pewno nie zdziwi. Zaskoczyć ich mogą natomiast jego własności, chciałoby się powiedzieć – metafizyczne. Nadmierne spożywanie śledzi – pisze Hermami Katz – ma złowrogie skutki dla mózgu. „Widziano wielu ludzi, którzy po zjedzeniu przesadnej ilości ryb popadali w stan szaleństwa, w którym porywali się na życie małżonek, a nawet niewinnych dzieci...”

Innymi słowy mamy do wyboru: albo pogańsko nie pościć, albo zatruwać życie żonie i potomstwu do ostateczności włącznie.

To właśnie dlatego nasz geniusz narodowy dodał do śledzia wódeczkę. Zjesz dobrą rybkę i popijesz bez żadnych teologicznych ani psychiatrycznych problemów. Te ostatnie pojawią się, owszem, następnego dnia, ale będzie to ból głowy, niespójność ruchów i pilne zapotrzebowanie na piwko. W sumie nic niezwykłego. Trzy czwarte rodaków przeżywa rzecz na co dzień. I ojczyzna trwa.

Ślimak

Archeologowie poświadczają, że spożywano ślimaki już w czasach prehistorycznych. Pierwsze świadectwa o tym przysmaku pochodzą ze starożytnych Grecji i Rzymu. Pierwszy znany przepis na ślimaki pieczone znajdujemy u Apicjusza. W średniowieczu zjadają się naszymi mięczakami niemal wszyscy mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego. Dzisiaj, co jest częściowo tylko słuszne, jedzenie ślimaków kojarzy się przede wszystkim z Francją. Mamy tu zresztą do czynienia ze swoistym paradoksem: Francuzi, owszem, za ślimakami przepadają, ale prawie ich dzisiaj nie hodują. Rabunkowe zbiory w pierwszej połowie XX wieku przetrzebiły pogłowie wszystkich najlepszych gatunków i obecnie produkcja miejscowa zaspokaja zaledwie 8–9 procent narodowych potrzeb. Ślimaki zwane nadal dumnie „burgundzkimi” importowane są w rzeczywistości z Grecji, Turcji, Niemiec, Słowacji, Czech... Wbrew rozpowszechnionym u nas legendom, Polska znajduje się poza pierwszą dziesiątką dostawców.

Jedzono od wieków ślimaki nie tylko ze względów odżywczych i smakowych, lecz także symbolicznych i magicznych. Ślimak jest to bowiem bydlę dziwne i tajemnicze, najróżniejsze budzące skojarzenia. Zaczniemy od tego, że wraz z pierwszymi zimowymi przymrozkami zwierzę chowa się w skorupę, którą hermetycznie zamyka i... spokojnie zamarza. Wydaje się, że wszelkie czynności życiowe ostatecznie ustały. A przecież na wiosnę skorupa otwiera się i mięczak wystawia rogi na świat jakby nigdy nic. Czyż trzeba więcej, by uczynić go znakiem wiecznego powrotu, zmartwychwstania, odradzania się życia? – Toteż w okresie renesansu misy ślimaków były w południowej Francji, we Włoszech, w Dalmacji czy na wyspach greckich niezbędną rytualną okrasą witających wiosnę karnawałowych szaleństw.

Nie jest to bynajmniej najbardziej frapująca z osobliwości naszego zwierzęcia. Ślimaki są też wyjątkowymi erotomanami. Będąc jajorodnymi hermafrodytami lubią równolegle (dla czystej wydawałoby się przyjemności) kopulować, i to tak zażarcie, że niekiedy padają potem z wyczerpania. Dodać należy, że narządy genitalne usytuowane mają w pobliżu otworu gębowego. Piszący o tym Jean–Pierre Coffe nie bez kozery zauważa: „Kiedy człowiek o tym myśli, to rozumie, że ewolucja go oszczędziła!” Jest oczywiste, że tak sprośne stworzenie wcielić w siebie musiało wszelkie właściwości afrodyzjakalne. Zresztą już sam fakt, że wysuwa rogi, potem je chowa, potem znowu wysuwa... „Ślimak, ślimak, pokaż rogi...” W wyobraźni francuskiej nie łączy się to bynajmniej z „mąką na pierogi”. O ile jednak żeńska ostryga oddziaływać ma przede wszystkim na płęć męską, o tyle ślimak rzecz jasna zmiękcza opór pań.

„Przed przyrządzeniem trzeba ślimaki przez dwa dni przegłodzić, a następnie karmić samą sałatą przez dwa tygodnie, żeby oczyściły się ze wszelkich szkodliwych substancji. Następnie szoruje się i płucze muszlę w kilkakrotnie zmienianej wodzie zmieszanej z octem i solą. Ślimaki, które nie wysuwają głowy ze skorupki, powinno się odrzucić, pozostałe wrzuca się żywcem na wrzącą wodę i gotuje przez pięć minut. Po odsączeniu i ochłodzeniu wyciąga się

je ze skorupki i odcina worki trzewiowe. Następnie gotuje się ślimaki w małej ilości rosółu, aż zmiękną. Skorupki obgotowuje się w wodzie z dodatkiem sody i osącza”.

Jest to receptura jedna z wielu, gdyż często zamiast cackania się z sałatą wpuszcza się ślimaki do zamkniętego pomieszczenia pokrytego solą, gdzie odśluzowują się szybciej i skuteczniej. Jest także niepełna, gdyż nie wspomina o sosie maślano–pietruszkowo–czosnkowym, którym zalewa się zwierzę po powtórnym wepchnięciu do skorupki. Tymczasem sos ten, acz pojawił się dopiero w 1825 roku („Nouveau Dictionnaire de cuisine” Borela), jest dziś nierozzerwalnie związany, w odczuciu smakoszy, już nie tylko ze ślimakiem jako takim, ale wręcz całą parotysiącletnią ideą ślimactwa.

Ale ślimak jak to ślimak. Może być odrodzeniowy, może być podniecający. Prawdziwy cymes to dopiero ślimacze jajka. Kilogram ślimaczych jaj kosztuje dzisiaj w ekskluzywnym sklepie Fauchon 1200 dolarów amerykańskich, czyli 840 złotych za 200–gramowy słoiczek. To dopiero interes! Problem w tym, że jaja trzeba pobrać i schłodzić natychmiast po zniesieniu. Złośliwy ślimak zachowuje się jednak niezwykle podobnie przed sjęstą, nocnym snem i porodem. Trzeba wieloletniej, eksperymentalnej wiedzy o psychologii ślimaków, znajomości ich obyczajów i najsztelniejszego drgnięcia rogów, by wiedzieć, kiedy będzie znosić. A w warunkach hodowlanych musi się obserwować parę tysięcy ślimaków jednocześnie. Nie bez znawstwa, umiejętności obserwacji i refleksu. Są takie profesje na ziemi, o jakich się nie śniło naszym kapitalistom.

Oczywiście, smutne jest, że ślimaki najpierw są torturowane, a potem żywcem wrzucane do kotła. Same sobie winne, gdyż kopulują bez myśli o prokreacji. Dokładnie to samo i nas czeka w czeluściach piekielnych.

WC czyli gdzie król piechotą chodzi?

Ponocrates, jak pamiętamy, wykladał Gargantui Pismo Święte. „Pod wpływem przedmiotu i treści tych lekcji nieraz w sercu Gargantui budziło się uczucie czci i zachwytu, potrzeba modlitwy i obcowania z dobrym Bogiem, którego majestat i cudowną sprawiedliwość poznawał z onego czytania. Później szedł na ustęp, aby wydzielić z siebie produkty naturalnego trawienia. Tam preceptor powtarzał mu to, co wprzód czytano, wykładając najbardziej trudne i niejasne punkty”.

Wbrew naszym dzisiejszym pojęciom, nie ma w tych liniach Rabelais’ego nic bluźnierczego. Ustęp był w średniowiecznej i wczesnorenesansowej Francji, jeśli zaś chodzi o klasy niższe niemal aż do czasów Rewolucji, miejscem lektury, edukacji, dyskusji, a przede wszystkim spotkań towarzyskich. W wieloosobowych (od dwóch do dziesięciu dziur) latrynach ustawiano deski naprzeciw siebie lub też w czworobok, by ułatwić konwersację. W klasztorach, gdzie nacisk kładziono na medytację nabożnych tekstów, dostawiano często przed deski stół. Niech więc nas nie dziwi fragment reguły zakonnej świętego Lafranka (rozdz. IV, kol. 486), w którym zaleca on sprawdzenie podczas wieczornego obchodu, czy bracia nie pozasypiali w ustronnym miejscu. Król Ludwik VI przyjmował w ustępie petentów, że zaś niejednen z nich cierpiał, jak pisze kronikarz, na *cacoëthes loquendi* (niepohamowane gadulstwo) lub inne dolegliwości, spędzał tam, na wysłuchiwanie skarg i po parę godzin dziennie. Kolejni interesanci czekali w tym czasie na przygotowanej w rogu przybytku specjalnej ławce. Kres salonowym funkcjom latryny przynosi dopiero odrodzeniowa pruderia.

Stop. Powiedzmy sobie od razu: pruderia niejedno ma imię. Nie chodziło bynajmniej o wstydlivość samych czynności fizjologicznych. Raczej, a właściwie wyłącznie, o niestosowność pomieszczenia. Architektura światła, splendoru i apoteozy piękna ciała ludzkiego nie chciała i nie mogła znaleźć miejsca dla tegoż ciała przyziemności. Brud jest być może niezbywalnym elementem brutalnej realności, nie ma dlań jednak miejsca w idealnej wizji, kreującej świat nieskazitelnej, harmonijnej symetrii. I tak oto w nowo powstających pałacach i rezydencjach (zainteresuj się tym, turysto, zwiedzając zamki nad Loarą) nie ma już klozetów. Słowo mody jest rozkazem. Zaczynają więc znikać ustronne miejsca i z budowli wcześniejszych.

Co (a właściwie: gdzie?) robić w tej sytuacji? Bogactwo wątków defekacyjnych (przeważnie zresztą humorystycznych) w literaturze francuskiej XVI i XVII wieku jest pośrednim świadectwem zaistniałych trudności. Owszem, podczas uczt krąży wciąż wokół stołów roznosiciele nocników. Przynaglony gość bierze naczynie i usuwa się z nim za najbliższą kotarę. Odbierając napelniony *pot*, wręcza lokaj wypróżnionemu biesiadnikowi kielich wina reńskiego – najlepiej dostosowanego do sytuacji, mającego bowiem ponoć właściwości wstrzymujące. Kiedy jednak nie ma wyspecjalizowanej służby lub też jest jej za mało? Załatwia się z konieczności gdzie tylko popadnie: w przyległych komnatach, na

schodach, tarasach, balkonach... Sikający do kominka panowie nie przerywają sobie nawet subtelnej konwersacji.

Stwarza to oczywiście niejaki problemy higieniczne. „W 1578 – pisze Jean-Claude Bologne – zdenerwowany Henryk III (nasz Walezy – LS) wymógł na służbie conocne czyszczenie zamku, które ukończone być musiało obowiązkowo przed jego przebudzeniem. W 1606 Henryk IV zakazał wszelkiego wypróżniania się w murach zamku Saint-Germain; cóż, kiedy tegoż samego dnia zobaczył własnego syna, sikającego po ścianie sypialni. Ludwik XIV jedną znalazł tylko ucieczkę przed powodzią łajna w Wersalu – comiesięczne przeprowadzki w trójkącie Wersal-Luwr-Fontainebleau.

Kiedy jeden pałac zanieczyszczano, szorowano dwa pozostałe”.

Cudzoziemcy spoglądali na te francuskie brewerie z mieszanymi uczuciami. Przeważało zapewne obrzydzenie, dość liczne były jednak głosy wychwalające wolność i naturalność miejscowego obyczaju. Przypomnieć warto, by oddać hołd galanterii epoki, iż hrabia Berg – spryskany rozwolnieniem księżny d'Aubigné, gdy wstępował na schody zamku Chambord – rzecz miał, iż honorem jest dla niego tak intymne z nią zbliżenie i do końca wieczoru nie pozwolił służbie zmyć śladów przygody z peruki.

Zasada „gdzie popadło” obowiązywała także na zewnątrz domostw – w parkach, miejscach publicznych, na ulicach miast. Tallemant de Réaux przytacza charakterystyczną anegdotę o Jamesie Hailbrunie – pułkowniku szkockich gwardzistów kardynała Richelieu. Oto przynaglony potrzebą wpadł on w Paryżu do pierwszego z brzegu domu, gdzie też obficie zanieczyścił korytarz. Rzecz nie w smak była właścicielowi, który oderwany przez hałas od obiadu, użył słów uznawanych pospolicie za obelżywe. – Mój Panie – odpowiedział Szkot – jestem w służbie Jego Eminencji. – W takim razie – zmytygował się gospodarz – możesz pan srać, gdzie tylko dusza zapagnie. I szerokim gestem wskazał wewnątrz mieszkania.

Z tej właśnie epoki pochodzą tysięczne paryskie opowiadki o lubieżnych spryciarzach podglądających załatwiający potrzeby naturalne panie z okien suterren; czy też o paniach szacujących walory siusiających męskich instrumentów, co prowadzić miało później nie raz (jeśli okaz oceniony został pozytywnie) do erotycznych zbliżeń. Pamflet mieszczański wykpiwa też niemiłosiernie czyściochów (więc jednak byli tacy?), usiłujących uchronić swoje domostwa przed skalaniem. Było to wszakże o tyle nierealne, że długie suknie dam, płaszcze mistrzów cechowych czy sutanny księży nieuniknienie zamiatały i przemieszczały ozdoby chodników. Trzeba by więc było wyrzec się towarzyskiego życia.

Wprowadzenie, na mocy rewolucyjnych zarządzeń, pierwszych szaletów publicznych wywołuje u części społeczeństwa egzaltowany entuzjazm (poeci opiewają w sonetach instalowane pisuary); spotyka się jednak również ze zdecydowanym oporem. Obawa pierwsza: szalet jako potencjalna broń polityczna. – Któż zabroni jakobińskim merom wyznaczania miejsc nieczystych przed kościołami, klasztorami czy figurami świętymi? Albo pod bramami rezydencji przeciwników politycznych? Obawa druga: ekonomiczna. Poprzez odpowiednie rozmieszczanie pisuarów sterować można spekulacją nieruchomości. „Jest

oczywiste – pisał Michel Bauret – iż po ustawieniu podobnego obiektu wydzielające się zeń sosy (*sic!*) dokuczliwością swych woni zmniejszą atrakcyjność okolicznych kamienic, a więc przyczynią się do obniżenia ich ceny. Jeśli nabywający podówczas, może następnie zdecydować o oddaleniu owych świątyń plugastwa (powtórne *sic!*), uzyskuje oszukańczą korzyść”. Obawa trzecia: moralna. Jest, owszem, przykrą nieskromnością obnażanie się, kobiet w szczególności, w dowolnych zakątkach miasta. Miejsce jednak, w którym następuje konieczność, wyznacza wyłącznie przypadek. Ludzie powodowani złymi i sprośnymi intencjami nie mogą więc folgować im z premedytacją! w sposób systematyczny. Zmienia się to zasadniczo przy wprowadzaniu szaletów zbiorowych, w których – oddajmy raz jeszcze głos Bauretowowi – „skoncentrowanie nieprzyzwoitości na wyznaczonej, ograniczonej przestrzeni, nie ma co do tego wątpliwości, podniecać będzie chore zmysły już choćby poprzez słuchanie odgłosów i odmalowywanie w wyobraźni wydających je części ciała...” Obawa czwarta: moralna również. Defekacja w otwartych miejscach publicznych odbywała się siłą rzeczy pod obiektywną kontrolą społeczną. Przeniesienie jej w miejsce izolowane i cieszące się specyficzną opinią, sprzyjać może wszelkiego rodzaju perwersjom, a nawet do nich zachęcać.

Argumenty powyższe były przez cały XIX wiek niejednokrotnie dyskutowane i rozważane przez najpoważniejsze gremia. Zaowocowało to wreszcie okólnikami zachęcającymi oficjalnie architektów i właścicieli nieruchomości mieszkalnych do zakładania „gabinetów” na strychach i klatkach schodowych kamienic, a nawet (to już druga połowa wieku), jeśli takie będzie życzenie lokatorów, w głębi ich apartamentów. W tym ostatnim przypadku zaleca się jednak łączenie ubikacji z łazienkami. Nie, nie ze względów oszczędnościowych bynajmniej. Jest po prostu niepotrzebne, i wpływać może źle na harmonię rodzinną, tworzenie enklaw, w których małżonkowie mogliby się od siebie wzajemnie izolować. Co innego – pisze ówczesny moralista – gdy oddając się przedśennym zajęciom we wspólnym pomieszczeniu, skonfrontować będą mogli poglądy o wydarzeniach minionego dnia, uzgodnić projekty na dzień następny i „wymienić owe słowa serdeczne, na które w wypełnionych pracą i opieką nad dziećmi godzinach zabrakło dotąd czasu...”

Tak oto zatoczyła historia koło i raz jeszcze, acz bardzo zawężony grono uczestników, przywróciła wychodkowi jego społeczną funkcję. Łazienka zrosła się z ubikacją i nikogo dziś bodaj nie dziwi koegzystencja tych dwóch instytucji w naszych M-2, 3, 4 etc. Tyle tylko, że nie umiemy z życia cymesu czerpać. To, co stworzone i wymyślone zostało w celu wykorzystywania jednoczesnego, użytkujemy w trybie albo – albo.

Puka mąż do drzwi sławojki-łazienki i słyszy gromkie: „zajęte!” Gdyby znał sens tradycji, odpowiedziałby bez wahania: „Dlatego właśnie wchodzę, kochanie”.

Znaki zodiaku

Jednym z najgłupszych zabobonów ludzkości jest wiara w gwiazdy. Jedynym jej pozytywnym skutkiem jest to, iż daje utrzymanie wcale sporej gromadzie cyników, którzy co miesiąc wysysają z palca horoskopy dla mniej i bardziej poczytnych periodyków. Przy tej okazji mogą załatwić parę spraw osobistych. Jedna z moich znajomych dziennikarek trudniących się ubocznie (pieniądz nie śmierdzi) wypisywaniem zodiakalnych przepowiedni miała głupią – najlepszy dowód, że wierzyła w gwiazdy – a co więcej, nieznośną sąsiadkę. Babsko było ze znaku raka i do tego czytało pismo redagowane przez moją znajomą. Innymi słowy okazja sama pchała się w ręce. W kolejnych numerach przeczytać było można, że koziorożców oczekują meduzy i w trzech smakach drób; świat się uśmiecha do wodnika; baran zrobi karierę; byki będą miały miesiąc po byku, skorpion wielką miłość etc. etc. Na jednego tylko raka spadać miały wszelkie klęski i choroby. Babsko czytało, przejmowało się i wysychało z przerażenia. Zeszło też na zawał serca pod znakiem koziorożca, ku radości całego osiedla. Skądinąd wyznawcy horoskopów mogli z wydarzenia wyciągnąć wniosek o ich słuszności. Na styczeń bowiem sugerowała rakom nasza znajoma choroby wieńcowe. Żeby jednak przekonać państwa, rodzić się mogą (choć niby już po sprawie) w dowolny dzień roku i żadne z tego fatum nie wynika, oto przykładowo parę co ciekawszych zestawów ludzi urodzonych już nawet nie pod tym samym znakiem zodiaku, ale wręcz w ten sam dzień:

- 1.01. Andrzej Towiański i Zbigniew Nienacki
- 3.01. Cynceron i Zygmunt Konieczny
- 6.01. Joanna d'Arc i Wiesław Górnicki
- 8.01. David Bowie i święty Maksymilian Kolbe
- 12.01. Herman Goering i Bolesław Leśmian
- 15.01. Molier i Janusz Kusociński
- 16.01. Romuald Traugutt i Ewa Demarczyk
- 18.01. Monteskiusz i Alan Milne (ten od Kubusia Puchatka)
- 19.01. Janis Joplin i Leszek Balcerowicz
- 21.01. Wanda Wasilewska i Jacek Wójcicki
- 26.01. Paul Newman i Stanisław Królak (Wyścig Pokoju)
- 3.02. Daniel Mróz i błogosławiona Dorota z Matowów (ascetka)
- 4.02. Mikołaj Rej i Tadeusz Kościuszko
- 6.02. Ronald Reagan i Władysław Gomułka
- 12.02. Karol Darwin i Wacek Kisielewski („Marek i Wacek”)
- 16.02. Michał Tuchaczewski i Kazimierz Kutz
- 18.02. królowa Jadwiga i Bolesław Piasecki
- 19.02. Władysław Bartoszewski i Mikołaj Kopernik
- 22.02. Fryderyk Chopin i Karol Świerczewski
- 4.03. Eddie Murphy i Kazimierz Pułaski

- 5.03. Róża Luksemburg i święta Kinga
- 6.03. Bronisław Geremek i Walentyna Tierieszkowa
- 9.03. Władimir Mołotow i Omella Muti
- 12.03. ksiądz Tischner i Liza Minelli
- 17.03. Gabriel Narutowicz i Borys Polewoj
- 22.03. Ludwik Stomma i Katarzyna Figura
- 27.03. Ludwik XVII i Siergiej Kirow
- 28.03. Maksym Gorki i święta Teresa z Avila
- 30.03. Eric Clapton i Gabriela Zapolska
- 1.04. Otto Bismarck i Józefa Hennelowa
- 3.04. Hanna Suchocka i Marlon Brando
- 10.04. Omar Shariff i Ewa Szemberg–Zarembina
- 14.04. Wojciech Żukrowski i Pola Raksa
- 15.04. Kim–Ir–Sen i Claudia Cardinale
- 17.04. Nikita Chruszczow i błogosławiona Julia Ledóchowska
- 18.04. Bolesław Bierut i Tadeusz Mazowiecki
- 20.04. Adolf Hitler i biskup Józef Michalik (z Gorzowa)
- 22.04. Włodzimierz Lenin i Izabela Katolicka
- 26.04. Rudolf Hess i Jan Pietrzak
- 2.05. Katarzyna II Wielka i Wojciech Pszoniak
- 5.05. Karol Marks i Henryk Sienkiewicz
- 18.05. Jan Paweł II i Bertrand Russell
- 20.05. kardynał Franciszek Macharski i Joe Cocker
- 23.05. Hans Frank i Maria Konopnicka
- 24.05. Jean–Paul Marat i królowa Wiktoria
- 30.05. Aleksander Fogg i Aleksander Newski
- 2.06. markiz de Sade i święty Pius X
- 4.06. Ireneusz Iredyński i błogosławiony Antoni Kowalczyk
- 6.06. Tomasz Mann i Eliza Orzeszkowa (niby ten sam zawód, ale...)
- 12.06. Anna Frank i Otto Skorzeny
- 18.06. Jan Maria Rokita i bracia Kaczyńscy. Już byśmy byli skłonni powiedzieć, że coś w tym jest, bo jeszcze admirał Horthy, ale również Paul Mc Cartney!
- 22.06. Józef Oleksy i Tadeusz Konwicki
- 26.06. Sławomir Mrożek i Willy Messerschmitt (od samolotów)
- 30.06. Walter Ulbricht i Czesław Miłosz
- 5.07. Klara Zetkin i kardynał August Hlond
- 13.07. Juliusz Cezar i Maria Koterbska
- 22.07. Bolesław Wieniawa–Długoszowski i papież Klemens XI
- 26.07. Magdalena Samozwaniec i Mikę Jagger
- 3.08. Jerzy Urban i Antoni Macierewicz

- 4.08. Witold Gombrowicz i papież Urban VII
- 5.08. Janusz Tazbir i Roman Bramey
- 8.08. Stefan kardynał Wyszyński i Marcei Nowotko
- 13.08. generał Józef Haller i Fidel Castro
- 16.08. Edward Ochab i Madonna
- 18.08. cesarz Franciszek Józef i Roman Polański
- 29.08. Henryk Dąbrowski (marsz, marsz...) i Michael Jackson
- 5.09. Ludwik XIV – król Słońce i Waldemar Pawlak
- 8.09. Mme de Lamballe (nie komentujemy) i Najświętsza Marya Panna
- 18.09. Greta Garbo i Jerzy Połomski
- 29.09. Lech Wałęsa i Trofim Łysenko
- 2.10. Mohandas Gandhi i Paul von Hindenburg
- 13.10. Margaret Thatcher i Nana Mouskouri
- 23.10. święty Ignacy Loyola i Leszek Kołakowski
- 24.10. Szymon Szymonowicz i Aleksander Ford (od „Krzyżaków”)
- 29.10. Joseph Goebbels i Zbigniew Herbert
- 3.11. Monica Vitti i Andrzej Micewski
- 7.11. Lew Trocki i Maria Skłodowska–Curie
- 25.11. Jan XXIII i generał Pinochet
- 30.11. Kazimierz Jagiellończyk i Jan Himilisch
- 5.12. Józef Piłsudski i Walt Disney
- 10.12. Jerzy Turowicz i prokurator Andriej Wyszyński
- 19.12. Hanka Sawicka i Edith Piaf
- 24.12. Adam Mickiewicz i Józef Berman

Wróżyć można też z ręki, z ucha, z kryształowej kuli, z kuli szklanej, ale nie kryształowej, z odchodów, z imion, z kart, ze zwierciadła etc. etc. Zawsze jednak wyjdzie to samo: że Pawlak = Ludwik XIV. Kto uznaje ten aksjomat, niech sobie wróży dalej.

Zupa cebulowa

Cóż prostszego nad zupę cebulową? Potrzeba (dla czterech osób): 1,25 litra rosółu, sześć cebul średniej wielkości, 50 g masła, 5 kromek chleba, soli, pieprzu i ewentualnie, acz niekoniecznie, 120 g tartego, żółtego sera.

Obieramy i tniemy cebule. Leciutko przypalamy chleb. Wkładamy cebule i masło do garnka i gotujemy aż do chwili, gdy minimalnie się zażółci. Teraz dolewamy rosół (może też być dodatkowo szklanka białego, wytrawnego wina), solimy, pieprzymy i gotujemy na małym ogniu około 30 minut. Na dno talerza kładziemy chleb i posypujemy serem. Zalewamy chleb zupą i czekamy chwilę, aż rozmięknie. I to już wszystko. Smacznego!

Zupa cebulowa była przysmakiem Karola VIII i Ludwika XIII ale także, by nie popadać w: zbędny arystokratyzm. La Fayette'a, Dantona i Maupassanta. W Paryżu istnieje nawet sekta religijna Wielbicieli Cebuli zarejestrowana najzupełniej oficjalnie w Prefekturze Policji.

Ostatnio karierę na zupie cebulowej zrobił pewien rodak z Jasła zakładając koło paryskich Hal małą knajpkę z tą właśnie specjalnością. Zaczynał od kotła podgrzewanego na ulicy małym, turystycznym palnikiem gazowym. Potem była budka. Dziś już lokal z prawdziwego zdarzenia.

W roku 1987 zebrano w Polsce 815 000 ton cebuli – odpowiednik 2,5 biliona talerzy zupy cebulowej, czyli 70 talerzy na głowę mieszkańca rocznie, bez odliczania niemowląt, starców i uczulonych. Lecz nic z tego. Z lekkomyślną abnegacją rezygnujemy z takich możliwości. W Polsce nie je się zupy cebulowej!

Dla Francuza jest to sytuacja niepojęta. Nie tylko ze względów smakowych, acz jest ci ta zupa przysmakiem nie lada, ale i kulturowych zgoła.

Polska legenda historyczna twierdzi, iż gdy pod Samosierrą wydał Napoleon szwależerom Kozielskiego rozkaz szarży, zdumiony Murat wykrzyknął: „Trzeba być pijanym, by takie zadanie wykonać!” W parę godzin później pośród rozbitych hiszpańskich lawet, przypinając zwycięskim Polakom ordery, miał Cesarz oświadczyć: „J'aimerais que tous mes soldats soient ivres comme les Polonais. – Chciałbym, by wszyscy moi żołnierze byli pijani jak Polacy”. Pojęcie „pijany jak Polak” miałyby więc swój heroiczny wymiar, wiązało się z honorem, spełnioną misją i ofiarą krwi...

Niestety Francuzi są przeważnie wielce na bakier z nauką historii. Zachowali więc tylko sens trywialny i bezpośredni powiedzonka. Słaniający się na nogach i zmordowany alkoholem pojawia się więc Polak w piosenkach Moustakiego, Sardou czy Ferré. Takim też, jakże niewinnie, ugrzązł w miejscowym stereotypie.

Wróćmy teraz do zupy cebulowej. Kiedy ją Francuzi piją? – Przeważnie po północy, nawet o drugiej, trzeciej nad ranem. Po kinie i kolacji, po teatrze i kolacji. Jest bowiem nasza zupa wspaniałym, niezawodnym środkiem profilaktycznym na kaca! Po paru butelkach wina niezbędnych przy paryskiej kolacji zagrożenie kacowe jest całkiem realne.

Postawmy się teraz na miejscu racjonalnego i kartezyjskiego narodu, zakładającego, słusznie lub niesłusznie, że jego bracia znad Wisły za kołnierz nie wylewają. Wylewającym

grozi zaś często przykra poranna dolegliwość, której tak łatwo zapobiec. Ale, masz tu babo placek—w Polsce nie je się zupy cebulowej!...

W dodatku, przyznajmy szczerze, dobre wino z rzadka tylko uboczne ma skutki. Oto perwersja kultury: jedni leczą się, na co nie cierpią; drudzy uporczywie trwają w cierpieniu, odrzekając się leku smacznego i dostępnego. Jeden Dostojewski może by zrozumiał.

Żaba

Czytamy w Księdze Wyjścia: „To mówi Jahwe: Wypuść lud mój, aby Mi służył. A jeśli ich nie wypuścisz, to dotknę cały kraj twój plagą żab. Nil zaroi się od żab. Wejdą do pałacu twego, do sypialni twojej, do łoża twego, do domów sług twoich i ludu twego, jak również do twoich pleców i do dziez twoich. (...) I wyszły żaby i pokryły ziemią egipską. (...) a ziemia wydawała przykrą woń”. Albo też w Apokalipsie: „I ujrzałem wychodzące z paszczy smoka, i z paszczy bestii, i z ust Fałszywego Proroka trzy duchy nieczyste, jakby żaby”.

Eucheriusz z Lyonu uważa żabę za wyobrażenie szatana, a także heretyków, którzy tkwią w mule najniższych namiętności i bezustannie pustą gadaniną czynią wokół siebie wiele hałasu. Dla Alberta Wielkiego jest żaba figurą grzechu i diabelskiego plugastwa... – Jak widać, w tradycji katolickiej nie mają biedne żaby nazbyt wysokich notowań.

W 1612 roku staje przed sądem w Labourd niejaka Jeanne z przysiółka zwanego La Pyle, oskarżona o czary i obcowanie z diabłem:

– Azali prawdą jest, że zjadała żaby, by – występkiem się nasyciwszy – diabła tym ochootniejszego do wszeteczeństwa przywabić?

– Azali prawdą jest, że diabeł w postaci żaby nasieniem swym ją darzył, które, na swoje potępienie, do lubczyków mieszała?

Nie znamy sentencji wyroku ani dalszych losów Jeanne. Sądząc jednak po dorobku zawodowym jej sędziego – Pierre’a de Lancre, bez stosu się nie obeszło, a co było wcześniej, też można sobie zasadnie wyobrazić.

W tym samym mniej więcej czasie pojawiają się żaby na niektórych stołach francuskiej arystokracji. Wiemy to od Champiera, który jednak – przynajmniej mu uczciwie – odnotowuje ów fakt ze wzdrganiem i najwyższym obrzydzeniem.

Uznany pokarm stają się we Francji żaby dopiero w 1775 roku. Wtedy to bowiem włącza je do menu swojego zajazdu w Riam, w Owernii, niejaki Simon – znany smakosz i przyjaciel okolicznych libertynów. Wkrótce jądanie żab *à la Simon* staje się prowokacyjną modą rozpustników całego kraju. „Lubię żaby, mam bowiem wrażenie, że pachną siarką” – napisze książkę de Rohan Guamene; a hrabia Lauraguais dorzuci. – „Gdy głaszczę wargami żabie udko, wydaje mi się, że należę do zakonnic”.

Jest rzeczą naturalną, że Rewolucja poprzec musiała z entuzjazmem tak jednoznacznie świecki pokarm. W 1794 roku przenosi się Simon do Paryża, gdzie wkrótce robi fortunę. Żaby, sprowadzane z rodzinnej Owernii, trzyma w wielkich rezerwuarach zainstalowanych w piwnicach i ogrodzie. Prefektura miasta Paryża oddali w najbliższych latach kilkanaście sąsiedzkich skarg na zakłócające spokój, nadmierne nocne kumkania. Po Simonie odziedziczy restaurację syn Legar. Sława jego kuchni przetrwa aż do czasów Drugiego Cesarstwa, kiedy to dopiero zniszczy go konkurencja sprowadzająca żaby z Fresnes – tańsze i podobno tłustsze. A potem, to już wiadomo – bezbożny naród żabojadów...

Jakże daleko jesteśmy od dni, kiedy święty Marcin cudownie uciszał żaby, by grzesznymi swoimi głosami nie obrażały Pana Boga.

Wiemy już teraz, dlaczego żaby na pewno nie przyjmą się w Polsce.

I tylko ten Mickiewicz, twierdzący, iż „żadne żaby nie śpiewają tak pięknie, jak polskie...”

Dwuznaczne, bardzo dwuznaczne...

1:0, czyli ludzie jak bogowie

Zawodnicy stają na starcie. Wszyscy mają równe szansę. Zaczyna się rywalizacja. W jej wyniku jedni będą zwycięzcami, inni przegranymi; jedni lepszymi, inni gorszymi. Z chaosu wyłoniła się hierarchia, z bezładu klasyfikacja. Oto istota sportu.

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem (...) Wtedy Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość! I stała się światłość. Bóg wiedząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą. A potem Bóg rzekł: Niechaj powstanie sklepienie w środku wód i niechaj ono oddzieli jedne wody od drugich. Uczyniwszy to sklepienie. Bóg oddzielił wody pod sklepieniem od wód ponad sklepieniem; a gdy tak się stało. Bóg nazwał to sklepienie niebem...”

Akt rywalizacji sportowej przekształcającej niezorganizowane w zorganizowane, bezład w porządek, jest więc powtórzeniem aktu stwórczego. Tłumaczy to doskonale zarówno odwieczność sportu, jak i eksplozję jego popularności w naszych ześwieczonych czasach. W miejsce sakry królewskiej i uświęconych podziałów społecznych wprowadziliśmy pojęcie ogólnoludzkiej równości. „Ludzie są oczywiście nierówni: jedni są młodzi, inni starzy, jedni silni, inni słabi, mądrzy i głupi, szlachetni, zbrodniczy i tak dalej. Mało jest więc zabobonów tak idiotycznych jak wiara, że ludzie są równi” – *dixit* J.M. Bocheński. Wiara w równość jest dziś wszakże narzuconym przemocą przy musem. Pod grozą marginalizacji jako rasiści, reakcjonisci, egoiści etc. jesteśmy sygnatariuszami zbiorowej umowy wiary w chaos. Sport staje się więc niezwykle istotnym wentylem bezpieczeństwa. To dzięki niemu stwierdzać możemy naocznie, że jednak jesteśmy lepsi, że jednak istnieje porządek na tym świecie, gdyż nasi tamtych dołożyli. Możemy bezkarnie śmiać się w nos mitycznej równości i odtwarzać ład na nowo. Liderzy byłej NRD – niebywałego tworu wykrojonego dowolnie z narodowej tkanki – postanowili stworzyć nieistniejącą tożsamość, coś z niczego, poprzez sport. Pomysł błazeński? – Wcale nie. Raz wydzielona, bo sklasyfikowana w hierarchii, zyskała eneradowskość swoje miejsce pod słońcem. Z bezładu wyłonił się fakt.

Są dwa typy rywalizacji sportowej: indywidualna i zespołowa. W tej pierwszej istnieje oczywiście podział na zawodników „naszych” i „tamtych”. Jest to jednak opozycja płynna i ciągle zaburzana. Przede wszystkim nie zatarte są tu cechy jednostkowe sportowców – ich osobowość, styl, wygląd zewnętrzny... Utożsamienie kibica dokonuje się więc często, szczególnie w stosunku do indywidualności ekspresywnych, jak na przykład: Nicklaus czy Ballesteros w golfie, Mc Enroe lub Nastase w tenisie, Hagler, Duran, Clay, Ray Leonard w boksie etc., niezależnie od dychotomii grupowych. Skłania do tego dodatkowo fakt, iż *a priori* „nasi” często walczą między sobą; w wielu zaś spektakularnych i popularyzowanych przez środki masowego przekazu dyscyplinach (Formuła 1, żeglarstwo, boks) są „nasi” praktycznie nieobecni, co zmusza do szukania preferencji pomiędzy potencjalnie „tamtymi”. Nic więc dziwnego, że w wielu sportach indywidualnych (tenis, golf, jeździectwo, automobilizm) insygnia grupowe nie pojawiają się wcale lub też (kolarstwo, szermierka, łucznictwo, lekka atletyka) tylko w przypadkach specyficznych imprez. Zastępują je za to

coraz częściej, ewokujące mit Kopciuszka, listy płac zawodników. Cóż prywatniejszego od pieniądza? – *Ego* w znacznej mierze dominuje *Nostris*. Klasyfikacja ustanawiana przez sporty indywidualne staje się więc, z powodu nakładania się wielu elementów, nazbyt skomplikowana i nazbyt szczegółowa, by uruchomić prawdziwie masowe i żywiołowe reakcje.

„Na jedną tylko rzecz, nawet gdyby ją uważały za najistotniejszą dla swoich celów, nie poważą się ani ruchy studenckie, ani rewolty miejskie, ani najzjadlejsi nawet kontestatorzy: na najechnanie boiska podczas niedzielnego meczu.

Sama już proporcja takiej akcji uznana zostanie za absurdalną kpinę. Spróbujcie ją przedłożyć: zaśmieją wam się wnos. Spróbujcie ją powtórzyć: uznają was za prowokatorów.

Hordy studentów mogą zabawiać się w niszczenie koktajlami Mołotowa samochodów jakiegokolwiek policji. Ze względu na rację stanu, prestiż państwa, wymogi jedności narodowej... represje będą stonowane, więc i starcia nie nazbyt krwawe: czterdziestu zabitych, co najwyżej. Natomiast atak na stadion podczas meczu spowoduje natychmiast straszliwą i ślepą masakrę dokonaną przez obywateli porażonych miarą zniewagi, którzy nie mając nic ważniejszego do obrony niż owo najwyższe, pogwałcone prawo, gotowi byłiby do generalnego linczu.

Spróbujcie zająć katedrę: biskup będzie oczywiście protestował, znajdzie się paru oburzonych katolików, ale także popierających rzecz dysydemtów; lewica będzie wyrozumiała, antyklerykałowie koniec końców zadowoleni. Albo zajmijcie siedzibę którejkolwiek z partii politycznych: inne partie – pokrewne czy nie – myśleć będą naprawdę, że dobrze tak tamtym, mają, na co zasługują. Gdyby jednak ktokolwiek targnął się na stadion, liczyć nie mógłby na niczyją solidarność. Kościół, lewica, państwo, palestra. Chińczycy, Liga Kobiet, anarchiści, związkowcy... potępiliby zbrodniarza jednogłośnie. Istnieje więc taka sfera wrażliwości społecznej, której podrażnić – czy to z przekonania, czy z oportunistyki – nie poważą się nikt. Istnieje więc taka najgłębsza struktura społeczna, której spójność nie może być naruszona bez zagrożenia wszelkich form życia zbiorowego i w konsekwencji samej obecności ludzkiej na tym świecie”.

Owa „struktura” to podług Umberta Eco sporty zespołowe. Jest rzeczą ogólnie znaną, że Eco–publicysta lubuje się w paradoksie i retorycznej przesadzie. Od czasu jednak ukazania się w „Quindici” jego wyżej cytowanego artykułu miały miejsce wydarzenia na Heysel, w Bogocie, w Leeds, w Cali...

Najistotniejszą cechą sportów zespołowych jest ich emblematyczność. Co przez nią rozumiem? – Oto skład reprezentacji narodowej Francji w piłce nożnej podczas „Turnieju Francuskiego” 1988: Martini–Amoros, Ayche, Boli, Kastendeuch – Casoni, Femandez, Ferreri, Passi – Stopyra, Fargeon. Znajdujemy tu trzech imigrantów włoskich: Martini, Ferreri, Casoni; dwóch hiszpańskich: Amoros, Femandez; jednego Polaka; Stopyra, Żyda: Ayche; Murzyna: Boli; pół–Araba: Passi i tylko dwóch Francuzów, z których jeden (Kastendeuch) jest wszakże – o ironio – Alzaczykiem, drugi zaś (Fargeon) ma również obywatelstwo szwajcarskie. To samo powtarza się w drużynach klubowych, z tą tylko

różnicą, że tutaj zbędna jest uciążliwa formalność naturalizacji. Olympique Marsylia: Olmeta – Amoros, Boli, Moser, Di Meco – Stojkovic, Cantona, Vercruysse – Waddle, Pelé, Papin. Jest tu przedstawiciel Ghany: Pelé, Anglii: Waddle, Jugosławii: Stojkovic, Wybrzeża Kości Słoniowej: Boli, Brazylii: Moser... Pozostaje rodzimy rodzynek – Papin – ale i on także nie z południa kraju rodem. W Polsce nie mającej prawie środków na zakup zawodników zagranicznych (jedynie Marozzi w „Śląsku”, Michajłow w „Motorze”, Niefiodorow, Sołodownikow w „Jagiellonii”, Anaszkin, Kaniszew w „Pogoni” i paru innych) zjawisko sytuuje się na innym nieco poziomie: policzmy – ilu jest warszawiaków w „Legii”, ilu lubinian w „Zagłębiu” Lubin...

Tego samego, szanowanego, obywatela miasta Lubina, który na określenie Murzyna nie znajduje innych stów niż „asfalt”, „goryl”, „smoluch”, nie raził zgoła czarny koszykarz „Startu” – Kent Washington. Był przecież „nasz”. Podobnie francuski burzuj gardzący imigrantami i wszelkiego rodzaju mieszancami (*métèque*), gdy tylko włożą odpowiednią koszulkę, zauważać przestaje kolor skóry Boliego, Trésora, Tourégo, Pelégo, Fofany’ego, Weahe’a, Omam Biyka etc. Nikną nagle uprzedzenia regionalne, społeczne, nawet estetyczne (naga czaszka Ben Mabroucka, plereza Ziobra, homoseksualny *look* kostiumów Bella...). Emblemat znosi przeciwieństwa, wcielając oznaczonego całkowicie i nieodwołalnie (to znaczy, aż do zmiany barw) w grono „naszych”. „Naszych” w sensie mitycznym, pozbawionym jakichkolwiek konotacji realnych, uzyskującym za to wymiar mistycznej harmonii.

Mit przenosi się na trybuny. Połączeni komunią z tymi samymi, zapominamy o obowiązujących poza stadionem podziałach klasowych, wiekowych, płciowych, ekonomicznych... Razem krzyczymy, zrywamy się z miejsca, wpadamy sobie w ramiona po bramce. Jak starzy znajomi dyskutujemy, wymieniamy komentarze, klniemy i trącamy się butelkami piwa. Nie ma ciasnych gorsetów codziennego *savoir-vivre*. Znika wstyd. Pamiętam dziewczynę, którą całowałem w usta i w piersi po zwycięstwie Auxerre nad Bordeaux wiosną 1983. Trwa to jednak tylko do końcowego gwizdka lub ewentualnie wygaśnięcia pozwycięskiego amoku. Żegnamy się, obcy sobie jak przed meczem. Nie zobaczyłem już nigdy tamtej dziewczyny. Normalne życie przywraca swoje prawa. Koniec chaosu. Świat został znów stworzony.

To chwilowe zawieszenie praw społecznych charakterystyczne jest dla wielu świąt plemiennych typu karnawałowego – jakby powiedział Bachtin. Świąt, podczas których uczestnicy upoważnieni są do lekceważenia obowiązujących tabu, a nawet do odwracania sensu uświęconych reguł dnia codziennego.

To ostatnie tłumaczy zapewne szczególną popularność piłki nożnej, której sam już regulamin wspiera i ilustruje zasadę karnawału. Podstawą jest tu wszakże rezygnacja z posługiwania się w walce rękoma. Rzecz jednoznacznie i rażąco sprzeczna z naturą. Po francusku „poznaje się rękę” artysty w jego dziele, „wyrabia się rękę”, czyli uczy profesjonalnego działania, „pożycza rękę”, czyli wspomaga kogoś, atakuje się nie „martwą rękę”, ale „rękę zbrojną” względnie „silną”, chwyta się sytuację „w rękę”, umiając wiele

rzeczy – ma się „wiele rąk” etc. Po polsku podobnie: załamuje się ręce, umywa je, leci przez nie, nosi na nich lub patrzy na nie, zostawia się wolną rękę, przychodzi z rękami pustymi lub pełnymi, idzie się komuś na rękę, ma się rękę szczęśliwą lub dwie lewe, trzyma się rękę na pulsie, przykłada się ją do czegoś, bierze sprawę w swoje ręce, podnosi się ręce na znak kapitulacji, „tymi rękami” buduje się szklane domy... Pozbawiony rąk może być godnym litości kaleką lub przewrotnym kpiarzem. Jeśli jednak postrzegany nie jest żaden z tych sposobów, świadczy to, iż znajdujemy się w kontekście ogólnego odwrócenia porządku świata, bo w ten dopiero wpisuje się logicznie wojownik dobrowolnie wyrzekający się instrumentu rąk.

A przecież nie jedyna to inwersja w piłce nożnej. Drużyny walczą zaciekle o opanowanie piłki. Celem ostatecznym tej walki jest jednak... zwrot zdobyczy do bramki przeciwnika, przekazanie jej w samo serce okupowanego przezeń terenu. Desmond Morris widzi w tym symbolikę „ukrytych łowów”: „Gracze usiłują wyprzedzić jedni drugich, by jako pierwsi dokonać liturgicznej ofiary – strzału w paszczę bramki”. Niestety, interpretacja taka nie wyjaśnia w niczym inwersji ręce : nogi, jedynej, która odróżnia football od piłki ręcznej, koszykówki, rugby etc. Tymczasem Morris sam podkreśla, że „popularność piłki nożnej jest, w skali światowej, nieporównywalna z którymkolwiek innym sportem”. Dlaczegoż więc? Skojarzenie na przykład polo i łowów powinno być przecież o wiele łatwiejsze i bardziej sugestywne. Zaproponujemy inną odpowiedź, bardziej osadzoną w specyfice ukochanej naszej dyscypliny.

Życie społeczno–ekonomiczno–polityczne postrzegane jest najczęściej (na poziomie tak zwanego zdrowego rozsądku uczyniono z takiego spojrzenia istny paradygmat) jako nieustanna wojna mająca na celu przywłaszczenie sobie dóbr innego, innej grupy, innego narodu. Układy i prawa to tylko odwieczne preteksty. „Nie chcemy ginąć za ropę” – wołali pacyfiści w dniach wojny w Zatoce Perskiej. W grze, która odzwierciedlałaby taki sposób myślenia, widzieć winniibyśmy dwa zespoły wrywające sobie piłkę i odnoszące ten symboliczny łup do siebie, do swoich włości, a więc dokonujące działań dokładnie przeciwnych tym, które obserwujemy na boisku. Uprawnione wydaje się więc przypuszczenie, że owa inwersja zdobyczy i daru, równoległa do inwersji nogi : ręce, ma swój głębszy symboliczny sens.

Jerzy S. Wasilewski analizował parokrotnie funkcje postaci bohatera–złodzieja pośredniczącego pomiędzy tym i tamtym światem. Najbardziej znanym z tych tricksterów jest dla nas oczywiście Prometeusz, ale podobne postacie odnajdujemy we wszystkich bodaj mitologiach. Nie wchodząc w detale i nie pretendując do syntezy *à la* Dumézil, wyszczególnić możemy trzy etapy działania *trickstera*:

1. Samotnie, dzięki szczególnym, nadprzyrodzonym najczęściej, umiejętnościom, zbliża się on do magicznego miejsca.
2. Stawia czoło sile miejsca strzegącej (najczęściej potworowi: cyklopowi, wielogłowemu smokowi, bazyliškowi lub podstępnyim zasadzkom: ścianom ognia, szklanym górom, podchwytliwym zagadkom...).

3. Kradnie pożądany obiekt i odnosi go do ojczyzny – do „naszego świata”.

Nietrudno spostrzec, że mecz piłkarski jest odwróceniem, a może semantyczną parodią, tego mitycznego schematu:

1. Cała drużyna, kolektywnym wysiłkiem, wypracowuje jednemu ze „swoich” korzystną pozycję.

2. W decydującym momencie pokonać on musi jedyne normalnego (zgodnego z naturą) – używającego rąk bramkarza.

3. Piłka-łup pozostawiona zostaje na terytorium wrogim, na „tamnym świecie”.

Piłkarz strzelający bramkę jest więc anty-Prometeuszem zwracającym ogień bogom. Jaki sens ma taka figura metaforyczna? – Otóż świat został już przez Boga raz stworzony i ustanowiony. Gdyby jednak zachować go w pierwotnym ładzie, człowieczeństwo straciłoby cel i rozmyło się w bezprzedmiotowości. Stąd bunt Adama i Ewy. Trzeba więc odtworzyć chaos, by móc powtórnie dokonać aktu stworzenia, choćby nie na kosmiczną, ale społeczną tym razem skalę.

Oto prawdziwa, najgłębsza stawka sportu. Jedna z drużyn zejdzie z boiska zwycięska i dzieląc ze „swoimi” barbarzyńską liturgię triumfu i klasyfikacji, uczyni ich lepszymi, mieszkańcami środka świata, prawdziwymi ludźmi!

Aż do następnego meczu.

Albowiem geniusz kultury nie uznaje ciągłości, równości ani jednorodności. Zapomnieli o tym bogowie wracając na Olimp. Człowiek przejął więc ich zadania i stał się – na tę chwilę meczu – bogom równy. Jak Maradona. Jak Jacek Ziober.

Spis treści

Wstęp
Armagnac
Bidet
Camembert
Corrida
Croissant w kawie
Cukier
Dzieciństwo
Gilotyna
Imiona
Kanapa i inne słowa
Kartofel
Kawior
Kąpiel
Kot
Krew
Królik
Łzy
Miś
Mocz
Musztarda
Nagość
Nazwiska polskie
Ortografia francuska
Paryskie symbole czyli uroda ludzkiej pomyłki
Pieprz
Pończochy
Syfilis optymistyczny
Szampan
Śledź
Ślimak
WC czyli gdzie król piechotą chodzi?
Znaki zodiaku
Zupa cebulowa
Żaba
1 : O, czyli ludzie jak bogowie